



# Scenariusz na Orawę

Krzysztof Strauchmann

*Krzysztof Strauchmann*  
Scenariusz na Orawę

# Rozdział I

*Jak i za czyją sprawą na świat przybył Franek Michalak.*

Pierwszy był Karol. Mój starszy brat. Urodził się 7 miesięcy po ślubie rodziców. Trochę się z tego powodu proboszcz gniewał, natomiast dziadkowie zdążyli się wcześniej oswoić z narodzinami Karola. Dziadek Maciej, ojciec mojego ojca Wendelina Michalaka, był tak zapatrzonny w swojego syna, że przymykał oko na każdy jego wyczyn. Co innego dziadek Stefan, ojciec mojej matki Marii Michalak z domu Zbela. On do końca życia patrzył na zięcia nieufnie, podejrzliwie. Może dlatego, że za jego przyczyną stracił kontrolę nad córką, którą wcześniej obowiązywała dyscyplina wyjątkowa jak na warunki naszej wsi. A może dlatego, że ten zięć był obcym, krzakiem, dopiero drugim pokoleniem w Chyżnem na Orawie, czyli na Górnych Węgrzech. Wszyscy we wsi jeszcze dobrze pamiętali, jak Maciej Michalak z Polski, z Cichego na Podhalu, kupił w Chyżnem gospodarkę i postawił drewniany dom. Na dodatek majstrów ściągnął też górali. Dom dziadka Macieja, choć tak samo drewniany jak i większość miejscowych chałup, wyróżniał się od orawskich. A nieufny i surowy Stefan Zbela, gruby gazda, właściciel morgów pola w Chyżnem, Liesku, trzech udziałów w urbarze chyżniańskim, śmiał się do rozpuku, kiedy mały Karol ciągnął go za wąsy i za nos.

Dziadek Maciej miał 25 lat, kiedy z Cichego pojechał do Ameryki. Akurat wracali pierwsi znajomi z dolarami zarobionymi w Stanach, pierwsze ścieżki zostały przetarte. Maciej z domu pola dostał tyle, że ledwie na postawienie chałupy starczyło, a ci wracający z Ameryki zaraz dokupowali pola po okolicy. Myślał więc dziadek Maciej, że zarobi i po powrocie zacznie poważnie gospodarzyć. Wywiedział się, gdzie można szif - kartę kupić na statek, jak do Hamburga dojechać, ile trzeba pieniędzy przy sobie. Zapożyczył się, żonę Hankę z Galiców z Poronina zostawił w chałupie w Cichem i nakazał rodzinie, żeby jej dobrze pilnowała. Wypowiadał się na drogę i pojechał. Trafił do wyrębu lasu, ciężka robota, ale był z nią obeznany. Po dwóch latach dostał list z Podhala od jednej z ciotek, że Hanka przyjęła pod dach jakiego frajera, a w kościele modli się, żeby Maciek w tej Ameryce kark skręcił pod jakim pniakiem.

- A co by mu ozór skołowaciał, temu bajcarzowi, co na mnie jak pies naszczeakał. Co ten łajdak gada, wart żebyś mu w kufę zaraz wypalił – odpisała babka Hanka na list zaniepokojonego dziadka. Babka zawsze miała barwny język, zaś dziadka zapamiętałem jako milczka. Jak wypił, to mu się zdarzało powspominać lata w Ameryce. I wcale nie wyglądał na świętego za tą Wielką Wodą. Kiedy nie miał roboty, włóczył się z kolegami po amerykańskich burdelach i wydawał z trudem uciulane dolary na dziewczęta „białe jak anieli”. Za każdym razem wychodząc z domu publicznego męczył go koszmar, że ktoś wielkimi nożycami odcina skibę z tego zagonu, który już sobie wymarzył kupić.

- Odsyłam ci ten list, zjedz go sobie. Takich listów mi nie przysyłał, bo ja jeszcze na takie listy nie zasłużyła – pisała babka Hanka w kolejnej korespondencji. Dziadek nosił w sobie zasiane ziarno niepokoju, a jego rodzina w Cichem podlewała je skrzętnie nowymi doniesieniami. Pewnego więc dnia Maciek Michalak zapakował uciulane tysiąc dwieście sześćdziesiąt siedem dolarów i 50 centów, wsiadł na statek i ruszył w powrotną drogę. Chciał się przekonać osobiście, jak to jest z tą wiernością Hanki.

Wrócił, a proboszcz z Cichego zanotował w korespondencji do kurii, że pobyt jego w Ameryce pozostał bez szkody dla wiary i obyczajów. Mimo niespodzianki frajera w swoim

domu nie zastał. Sąsiedzi nie chcieli gadać, co się pod jego nieobecność działo. Pozostało mu tylko uwierzyć w przysięgi żony, że na obcego wzroku nie podniosła.

Konflikt w rodzinie jednak narastał, bo temperamentna babka takiej zniewagi nie mogła popuścić. W trzy miesiące dziadek Maciej znalazł wolną gospodarkę aż w Chyżnem. Tam, na Górnych Węgrzech, jego dolary starczyły na kawał ziemi, a na Podhalu ledwie zagon by z tego wykroił. Kupił ziemię od Żyda Netki, co miał karczmę w Jabłonce. Żyd ziemię wyprocesował w sądzie w Trstenie od jednego chłopca z Chyżnego za ostatkowe pijaństwo, a sprawa była głośna na całą Orawę. Do karczmy Netki chodzili wszyscy z całej okolicy. Największy ruch miał co roku w Ostatki. Chłopy przez trzy dni nie wychodzili wtedy z karczmy. Baby im obiady nosiły w garach, a oni tylko pili i debatowali. Ważne decyzje zapadały w ostatkowe pijaństwo - kto z kim przez wiosnę robić będzie, bo konie dwójkami jeździły, więc i gospodarze musieli się w pary dobierać. Kto komu przyjdzie orać, kto komu pomoże. Każdą zgodę trzeba było zapisać wódką bo inaczej nieważna. W czasie takich ostatków zapytała karczmarka chłopca:

- Co dziś będzie?

- Wszyscy piją! - odparł jej, zgodnie zresztą z prawdą i sam przystąpił do picia. A głupia karczmarka na jego rachunek zaczęła zapisywać wszystkie stawiane przez trzy dni trunki. Mocno się zdziwił, kiedy przyszło do płacenia rachunku. Zapłacił za swoje i poszedł. Żyd spryciarz zrobił mu jednak wniosek do sądu o zapłatę za wypitą gorzałkę i wygrał morgi na sporą gazdówkę.

Na przepitą ziemię przenieśli się dziadkowie do Chyżnego, ku wielkiemu zadowoleniu babki Hanki. Dziadek też o swoich podejrzeniach szybko zapomniał, bo w przepisowym czasie po jego burzliwym powrocie, na świat przyszedł mój ojciec Wendelin Michalak. Jedyne dziecko moich dziadków.

Kiedy dziadek Maciej sprowadził się do Chyżnego, dziadek Stefan był tu jednym z najbogatszych gospodarzy. Mnóstwo ziemi, dokupionej też po sąsiednich wioskach, bydło, które dzieciaki wypasały przez lato na własnej polanie w borach, udziały w urbarze leśnym. Dziadek był bogaty z domu, kolejne pokolenia Zbelów skrzętnie pracowały na orawskiej ziemi, odkładając każdy grosz do skrzyni. Ale Stefanowi powinęła się noga, kiedy odstąpił od starych zwyczajów. Zwiódł go zapach spodziewanych zysków, co nie wymagają żadnego wysiłku. Za namową znajomego z miasta wsadził wszystkie swoje pieniądze do banku do Trsteny. Nie on jeden zresztą. Co kto miał większego, odkładał do banku. I jeszcze płacili ludzie dodatkowe kwoty, niby za ubezpieczenie swojego wkładu. W Trstenie bank zbankrutował. Właściciel wywiesił notę o bankructwie i wezwaniu do zgłaszania swoich wkładów, ale w sądzie w Bratysławie, wtedy na Orawie zwanej Preszporkiem. A że nikt z miejscowych w Preszporku nie bywał, to się zgapili ludzie i pretensji nie zgłosili. Stracił Stefan Zbela całe rodowe oszczędności. Biedy jednak w rodzinie matki nigdy nie było, bo przecież i pole zostało i las, i nie dokończony murowany dom, który mi w dzieciństwie zawsze przypominał dworek. Z gankiem pod daszkiem, beczkowatym sufitem w kuchni i dwoma izbami. Dziadek musiał jednak poszukać dodatkowego zajęcia. Najmował się za flisaka, do zwożenia drzewa rzeką Orawą. Żydzi z Węgier przyjeżdżali pod Babią Górę kupować drewno. Zwozili im ludzie drzewa z całej okolicy. Żydzi płacili, wiązali w tratwy po dziesięć, piętnaście pni. Zostawiali na brzegu i czekali, aż większa woda przyjedzie i zabierze na dół. Po wiosennych roztopach ruszali flisacy z żydowskim drzewem w dół. Pływał też Stefan aż do Preszporku, a potem pieszo wracał do domu.

Babka Hermina, Stefanowa żona, wywodziła się z Fatlów, ponoć najstarszej w Chyżnem rodziny, która jeszcze przed wiekami wieś zakładała. Przyszli tu jakoś z owcami na wypasy i

zostali wśród borów. Babka była smarowaczką. Potrafiła smarować ludzi spirytusem, masłem, bańki stawiała. Wiedzę tę prawie medyczną wyniosła z rodzinnego domu. Jej ojciec i dziadek i jeszcze pradziadek mieli w Chyżnem duże poważanie pochodząc z bacowskiego rodu, wypasającego kiedyś na Hałeczkowej Polanie na Babiej Górze, póki ich nie przegonił pan z Orawskiego Zamku. Sąsiedzi bali się ich i szanowali, bo jak to bacowie, potrafili na despekt uczynić. Babka Hermina zabrała mnie kiedyś na bory, na borówki. Diabeł rogaty wstąpił wtedy we mnie, bo wcale mi się nie chciało iść. Zła na dzieciaka, żeby wywołać posłuch, zaczęła mi pleść straszne opowieści. Zapamiętałem je sobie do końca życia i już wiem, że stara babka wcale ich nie wymyśliła, ale musiała je usłyszeć albo podpatrzeć w rodzinnym domu. Może ją też straszono takimi historiami, bo przecież kobiet nigdy blisko tajemnic bacowskich nie dopuszczano? Przynosiły pecha.

Tego dnia ciągnięty za rękę na borówki dowiedziałem się o babraczach. Złych czarownikach, którzy drugim na despekt robią i czasem walczą między sobą. Tacy babracze siedzieli i w Chyżnem, a najwięcej na tajemniczej Hałeczkowej Polanie pod Babią Górą, gdzie nikt teraz już tracić nie potrafi. Wrogom zsyłali męki i cierpienia, robactwo i choroby, nawet zatwardzenie. Żeby się przed ich czarami przestrzec babka kazała mi uważać na węzełki z włosami, skórkami czy sierścią zwierząt, bo ktoś mógł zamówić coś na mnie u babracza z zazdrości, zawiści czy strachu. Jako smarowaczka Hermina Zbela musiała się też nieźle znać na czynieniu i odczynianiu. Mama opowiadała, że kiedy się urodził Karol, a potem Weronka i ja, babka Hermina przychodziła do łóżka położnicy i porozwieszała płótna. Na trzy dni odgradzała ją od reszty domu, żeby nikt na dziecko nie rzucił uroku.

Babka Hermina umarła kiedy miałem 13 lat. Rak się jej chwycił piersi, potem kręgosłupa. Lekarzy wtedy wielu nie było, poszła na trochę do szpitala w mieście, potem wypuścili ją na jej własne żądanie. Męczyła się z chorobą, może sobie też pomagała magią, ale tylko wydłużała życie w cierpieniach. Chodziła po domu z laską i biła po drzwiach tak mocno, że dziadek Stefan słyszał to wezwanie nawet na sto kroków za domem. Zaglądałem czasem do ich izby przez okno od ogrodu. Po podłodze wały się bandaże, waty od ran odjęte, krwawe, a Stefan smarował sobie ręce spirytusem czy bimbrem dla odkażenia i lał na jej rany świeżą śmietanę.

Pochowano ją w straszliwą listopadową zawieruchę. Nagle niebo zrobiło się czarne i na ziemię runęły w wichurze wielkie śnieżne płaty. Kiedy ludzie wracali z cmentarza śnieg sięgał już kostek.

Kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem, mama bardzo lubiła mi opowiadać o borach. Zanim sam tam poszedłem, poznałem z jej opowieści skarby torfowiskowych lasów, stepowych polan porośniętych bujną trawą. Grzyby i żurawiny. Rosiczka, roślina, która zjada komary i muchy. Mnóstwo ziół i dziwnych roślin, niespotykanych nigdzie indziej. Po pierwszej światowej wojnie zioła z torfowisk zaczął skupować w Jabłonce aptekarz Eugeniusz Styrcula, a potem Jan Neupauer, z apteki Pod Zbawicielem. Gospodynie z Chyżnego suszyły przy piecach skrzyp, kąkol, bławatki. Odnosiły aptekarzowi. Najpiękniejsze opowieści matka snuła jednak o mrocznych tajemnicach torfowisk. Zaszywaliśmy się w naszych łózkach, kiedy matka wieczorami snuła opowieści o światłach błyskających spod ziemi, diabłach, białych psach. O żołnierzu z armii Napoleona, który zgubił w bagnach swój bagnet. O zatopionym kościele, z którego wystaje tylko krzyż na wieży i o karczmie, co się też zapadła pod ziemię. O studni na środku torfowisk. Jak kto przysiądzie na jej cembrowinie, to zaraz zasypia i śni najbardziej nieprawdopodobne rzeczy.

Matka знаła dobrze torfowiska na Hamrzyskach, bo niedaleko dziadek miał swoją polanę z letnim szałasem. Kiedy matka podrosła, razem z młodzieżą ze wsi chodziła na całe lato wypasąć bydło na borach. Tak poznała Wendelina Michalaka. Najładniejsza dziewczyna i

największy zawadiaka w okolicy. Ładna para. Nigdy nie wspominali o tym, jak mijały im dni na borach. Ale ja swoje wiem.

- Dana jeno, dana, pod kopecką siana, czterech kawalerów, a ja jeno sama.

- Przyjdź ku mnie, wleź na mnie, mnie ulzys, sobie dogodzis.

Tak śpiewały dziewczyny na wypasach, w czasie sianokosów, kopania gruli. Jeszcze w moich czasach było we wsi kilka panien z bęsimi z nieprawego łoża, choć odkąd na parafię przyszedł ksiądz Moś, zaczęła się ostra walka z rozluźnionymi obyczajami. Bo co tu kryć, stare pokolenie przez palce patrzyło na dziewczyny, wymykające się wieczorami na siano do stodoły. A już na to, co kto robi w czasie letnich dni i gorących nocy, spędzanych z bydłem poza domem, to nikt nie zwracał uwagi. Im dziewczyna miała więcej zalotników, tym lepiej. Były baby, które młodych wprost zachęcały, żeby pannę wypróbowali przed ślubem. Pod okiem matki niejeden spędził noc z dziewczyną na pięterku. Następnego dnia już oficjalnie przysyłał swatów. Ksiądz Moś pierwszy zaczął mówić o tym głośno na kazaniach. Choć i on nowe obyczaje wprowadzał stopniowo. Pamiętam jak radził kiedyś na niedzielnym nabożeństwie:

- Ty matko nie broń im, niech se idom na szope spać, ale idź z nimi spać, a weź se i starego ku sobie. Nie puszczaj samych dziewek na szopę! Pilnuj ich, bo ciężko za nie odpowiesz przed Panem Bogiem. Zjadom się tu różni ludzie, źli i dobrzy, a baciary koło ścian będą się zawijać. Wiem, że ojciec z matką baciarzyli, choć dziadek Stefan z babką Herminą należeli do przybocznych księdza Mosia. Surowi byli od zawsze, dzieci starali się trzymać krótko. Niemniej jednak mój brat Karol począł się w łonie matki dopiero wtedy, kiedy ojciec wrócił z włoskiego frontu. Mama czekała na niego wiernie dwa lata, puszczając mimo uszu wieczne gderania swojego ojca, że już powinna się wydać za kogo bogatszego niż ten krnąbrny chłopak od Michalaków.

Ja byłem trzeci. Ja, Franciszek Michalak z Chyżnego na Orawie. Urodziłem się cztery lata po moim bracie Karolu. Przez pierwszy rok zawinięty w kołysce patrzyłem na matkę, jak uwija się po izbie, gotuje przy kuchni. Lubilem, jak otwierała drzwiczki pieca i wypychała do paleniska kolejne polano. Po kuchni szło wtedy ciepło, a w mroku migał czerwony blask. Słuchałem jej śpiewu. Bulgoczącej zupy i odgłosów strzelającego w piecu drzewa. Wąchałem zapach chleba, wsadzanego na kapuścianych liściach do gorącej szuflady pomiędzy rzędem wypalanych kafli. Przez trzy następne lata plątałem się po domu, wypuszczałem się coraz dalej w świat obejścia. Krowy w oborze, koń, kury i indyki. Gumno za stodołą, gdzie kidało się obornik ze stajni. Dół na gnój zarastał w ciągu lata pokrzywą i chaszczami, trzeba je było kijem ciąć jak maczetą drogę przez dżunglę. Ciągnęło mnie tam, do tajemniczych, obcych krain, choć matka zawsze mnie straszyla, że wpadnę do gnojówki i nikt mnie nawet nie znajdzie.

Od czwartego roku zacząłem się włóczyć po wsi. Wystawiałem na podwórkach u sąsiadów. Podpatrywałem ich życie, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Zanim jeszcze poszedłem do szkoły, moim pierwszym przyjacielem został wiejski dziwak, na którego wołali Heródek i nikt nie pamiętał, jak się naprawdę nazywał.

Heródek wyglądał jak obdartus i czasem dzieci się go bały, ale Heródek był dobry. Krowy pasał, nawet gdy go zagniewały, nigdy nie uderzył żadnej kijem. Najwyżej w wielkiej złości ugryzł w ogon. Koguta nie pozwalał zabić na obiad. Z rzeźnią gospodarz musiał czekać, aż sobie gdzieś Heródek pójdzie. Kiedy wracał, wiedział już o koguciej śmierci. Płakał za nim, lamentował: *"Juz go ni ma, juz go ni ma, juz go zabili, juz mi nie zaśpiewa"*.

Jeden z gospodarzy Ignacy Smreczak przygarnął go, gdy nie wiadomo skąd znalazł się jakoś w naszej wiosce. Pasał mu Heródek krowy, pomagał w zagrodzie w zamian za miejsce do spania w izbie. Siennik kładł prosto pod piecem, pod drzwiczkami, aż dziw, że nigdy na niego

polana nie wypadły. Lubił wysoko pod głowę podłożyć stołek i tak przysnąć. W ubraniu, ledwie, że buty gwałtem z niego ściągnęli. Golić się sam nie potrafił, brzytwę trzymał na sztorc, ciągnął po twarzy, a z brodawek krew się lała. Lepszych ubrań też na siebie nie zakładał. Gadał, że jak pójdzie czysty, to nikt mu niczego nie da. Chodził więc zawsze w długim chałaciku - surducie. W kieszenie wkładał kawałki chleba, ciastka podarowane na weselnych przyjęciach. Wyciągał je sobie potem, pogryzał. Nie opuścił żadnego wesela czy chrzcina. Brał smyczek z patyka i grał na zrobionych przez siebie skrzypczkach, przyśpiewywał, tańczył. Jak wesele jechało drogą, stawał na drodze i przytupując śpiewał do pana młodego: *piknom mos, fajnom mos*. A jak orszak wracał z kościoła Heródek, dalej w tym samym miejscu śpiewał tylko: *jakoś wzion, takom mos*.

Poznałem Heródka przy pasieniu krów nad potokiem Jeleśnia, który się wije wzdłuż Chyżnego. Była jesień, on pierwszy pokazał mi, jak ogrzać bosc stopy, wsadzając je do świeżego krowiego łajna. Na pewien czas mojego rozwoju został moim mistrzem. Przewodnikiem po świecie. Chodziłem za nim i pomagałem mu w jego ekscentrycznych pasjach naprawiania świata. Heródek naprawiał świat na dwóch frontach, jak by to powiedzieli wojskowi albo politycy. Gałęzie z lasu ciągnął, sam albo krowy zaprzęgał do wleczenia konarów. Wrzucał je do dziur w drodze, żeby przejazd był sposobniejszy. - Żeby się wóz z sianem na dziurze nie przewrócił - mówił mi, zapędzając do pomocy. Heródek bronił też zagonów przed wodą. Nocami się wymykał, jak już w chałupie wszyscy spali. Szedł nad potok, wiadrami kamienie nosił, gałęzie. Układał na brzegach, żeby woda ziemi nie zabrała. Trzecią pasją Heródka było zbieranie starych gratów. Nieraz go gospodarz Ignacy Smreczak skłął, kiedy w sianie dla krów znalazł jakąś sprężynę czy żelastwo. Albo wyszukiwał kłoc drzewa i wbijał weń kawałki desek czy same pokrzywione gwoździe. Wapnem malował oczy i mówił, że to biskupi. Moja przyjaźń z Heródkiem skończyła się gdy miałem 7 lat, bo Heródek umarł. Zachorował, w środku lata poczuł zimę. Zawieźli go najpierw wozem do aptekarza Neupauera w Jabłonce. On kazał jechać do szpitala w Nowym Targu. Na następną niedzielę pojechał do niego Ignacy Smreczak w odwiedzinach. Strasznie go prosił Heródek, żeby go zabrać ze szpitala do Chyżnego, bo chce zobaczyć pola i potok Jeleśnię. Ignacy mu powiedział, że przyjedzie znów za tydzień. - To mnie już nie będzie - powiedział Heródek. I umarł w środę. Zmarł, kiedyśmy kosili zboże.

Innym ważnym wydarzeniem w moim życiu było spotkanie z Helenką w I klasie szkoły powszechnej w Chyżnem. Pani Wiktoria, nasza nauczycielka, posadziła nas razem. Mnie ukarała, bo darłem koty z chłopakami. Ale za jakie grzechy Helence dostało się moje towarzystwo, nie wiem. Jej ojciec Emanuel Stein przyjechał do Chyżnego z żoną i dwójką dzieci - Helenką i jej malutką siostrą Różą. Osiedlił się i założył sklep. Choć byli Żydami, ludzie ich zaakceptowali.

Helenka Stein była najlepszą uczennicą w szkole. Chodziła na lekcje w butach nawet we wrześniu. Nigdy nie miała brudnej buzi i rąk. Jakoś się cholera nie brudziły, nawet kiedy wyciągałem ją na włóczkę na bory. Helenka nie zostawała z resztą klasy na religii. W niedzielę nie chodziła do kościoła, za to w sobotę jej ojciec zamykał sklep i nie pracował. Zaprzęgał karego konika do bryczki i jechali całą rodziną do Podwilka za Jabłonką, gdzie była drewniana synagoga i więcej Żydów zjeżdżało się z całej górnej Orawy na modlitwy. Poza tym Mano Stein nie przypominał specjalnie Żyda, nie miał pejsów i długiej brody, nie chodził w chałacie. Tyle, że lubił nosić furazerkę, co go odróżniało od góralskich kapeluszy. Kiedy kierował bryczką, wkładał wąskie spodnie, bryczesy i wszystkie dzieci po drodze śmiały się z niego, że w rajtuzach jedzie.

Helenka była inna od dziewcząt z Chyżnego. Pociągnięta za warkocz nie skakała zaraz, żeby zaczepką odpowiedzieć na zaczepkę. Trzymała się z boku, a jak jej ktoś mocniej dokuczył, szklily się jej zaraz czarne oczy. Sam to kiedyś przeżyłem i zrobiło się tak przykro, że postanowiłem więcej jej nie dokuczać. Droga ze szkoły wypadła nam kawałek razem. Nasz dom był prawie na wyżnim końcu wsi od strony borów, ich murowany dom ze sklepem mniej więcej w połowie wsi, poniżej kościoła. Kiedyś wracając razem zaczęliśmy rozmawiać. Następnej niedzieli zabrałem ją nad Jeleśnię, pokazać pstrągi. Zupełnie nie rozumiała lasu, dziwiła się wszystkiemu. Od tego czasu parę razy udało mi się wyciągnąć ją popołudniami ze sklepiu ojca na włóczęgę po borach czy nad potok. Lubiłem jej opowiadać o puchaczu, który mieszka w kępie drzew wśród pól i zawsze go słyszać we wsi gdy zapada noc. O śladach niedźwiedzia, jakie z ojcem i bratem widzieliśmy w Urbarskim Lesie poprzedniej zimy. O tym, że nawet w najcieńsze mrozy bagniska nie zamarzają i można w nie wpaść, jak jeden chłop z Dzikich pod Jabłonką. Choć się wygrzebał, to zamarzł, zanim doszedł do domu. Znaleźli go leżącego na drodze, kilometr od wsi. Strasznie wyglądał i dzieci lubiły się nim potem straszyć, robiąc dziwne miny. Albo o wiosennym tokowaniu cietrzewi. Helenka bardzo chciała zobaczyć tokującego koguta, jak wdzięczy się do swoich kur stosząc pióra. Obiecałem, że na wiosnę wybierzemy się razem, nawet gdyby jej matka nie chciała puścić. Nie zdążyliśmy. Nagle Helenka wraz z Różą wyjechały. Matka przyprowadziła ją do szkoły pewnego dnia, na pożegnanie. Patrzyłem, jak stoją z panią nauczycielką Wiktorią pod tablicą. Matka trzymała Helenkę za rękę, jakby się bała, że jej dziewczyna ucieknie. Daję słowo, wydawało mi się, że znów się jej oczy szklą. Nigdy więcej nie zobaczyłem Helenki Stein. We wsi mówili, że matka zabrała córkę do Wiednia, gdzie miała dalszą rodzinę.

Dużo później, gdy zacząłem dostrzegać złożoność świata, dowiedziałem się co się stało z tym wyjazdem. Żona Mano Steina wzięła sobie do pomocy na kucharkę miejscową dziewczynę, Marysię Kacprzyków. Z Marysi była powabna dziewczyna, miała pełne biodra i duże piersi. Pewnie ją Mano przyciskał tymi miękkociami do ściany czy kredensu. Jak Marysia zaczął rosnąć brzuch, to we wsi wybuchł skandal. Ojcowie wykleli Marysię, a Steinowa w trzy dni spakowała swoje rzeczy, wyjechała z Chyżnego i dzieci zabrała ze sobą. Bryczką z karym koniem pojechały do Trsteny na pociąg. Mano zaś został. Przyjął do siebie Marysię jak żonę, dalej razem prowadzili sklepik. Urodziła mu po kolei trzy córki. Ponoć się nawet przechrzczył na wiarę katolicką, ale nie zrobił tego w Chyżnem, a przynajmniej żadnych papierów proboszczowi nie dostarczył, nie bardzo więc mu uwierzono w to przechrzczenie. Z Marysią i tak bez ślubu siedział. Kiedy Mano do kościoła przyszedł, to go nowy proboszcz, ksiądz Antoni Zaremba przeganiał z krzykiem.

Na bory chodziłem dalej z moim starszym bratem Karolem. W lutym wyprawialiśmy się na poszukiwania rogów jelenich. Jeleń od jesieni zaczyna szlifowanie poroża. Żywa jeszcze skóra na rogach śwędzi go czy piecze, dlatego czochra się i ociera po gałęziach. Kiedyś widziałem uciekającego byka, ociekającego farbą - krwią z poroża, z ciągnącymi się płatami zerwanej skóry. Po wytarciu zostaje mu sama kość, poroże jest gotowe do walki na rykowisku. Potem już mu jest niepotrzebne. Podstawa rogów zaczyna go śwędzić, trze je tak długo, póki nie spadną. Po drzewkach najlepiej widać jak się czochrają. Kora jest otarta, gałązki połamane. Takich gałęzi trzeba szukać, gdy się poluje na poroże. W Lipnicy Wielkiej była strażnica Korpusu Ochrony Pogranicza. Jeden ze strażników kupował od ludzi rogi. Za dobrze rozwinięte poroże koronne z trzema odnogami na samej górze dawał nawet 5 złotych, co dla nas było fortuną. Tej zimy po wyjeździe Helenki znaleźliśmy tylko jeden róg, bez żadnej bocznej gałęzi. Wyglądał jak szabla, albo jak róg nosorożca, tyle, że cienki. Nie leżał wcale w gęstwinie, ale w miejscu, gdzie na potoku było rozmarznione miejsce i zwierzyna przychodziła do wodopoju. Zanieśliśmy go do strażnicy,



przekonani, że dostaniemy marne grosze za taki marny okaz. A strażnik ucieszył się jak nigdy. Dał na dwóm po pięć złotych. Mówił, że to bardzo rzadkie, spotkać takie szydła i jemu brakuje akurat drugiego do oprawy, bo czaszkę ma już gotową z jednym rogiem. Ten byk co je nosił, był śmiertelnie niebezpieczny dla swoich rywali na rykowisku. Jego szydła nie trafiały na opór, na przeszkodę u rywala. Wchodziły w jego ciało jak noże.

Pod koniec nauki w I klasie sołtys wywiesił we wsi afisze, że przez trzy dni zabronione jest wychodzenie mieszkańcom na bory i prowadzenie tam wypasu, bowiem będą prowadzone ćwiczenia wojskowe.

Z drugiej strony borów, od Podhala przyjechał polski pociąg pancerny na ćwiczenia artyleryjskie. Przez Podczerwone szła austriacka linia kolejowa od Nowego Targu, potem przechodziła przez granicę, Suchą Górę, Głodówkę i północnym skrajem borów szła do Trsteny. Jeszcze kiedy wszystko było w jednych Austro- Węgrzech, pociągi kursowały tędy do Wiednia. Odkąd nastąpiła granica, polski pociąg jechał do Podczerwonego, słowacki do Suchej Góry. Na trzeci dzień wyznaczonego terminu pancerny pociąg stanął w Podczerwonym i zaczął kropić w bory. We wsi słyszeliśmy wybuchy. Następnego dnia rozeszła się wiadomość, że pociąg strzelając trafił w piekielniczych lasach w coś dziwnego. Natychmiast pognaliśmy tam z Karolem. Po dwóch godzinach szukania znaleźliśmy miejsce pilnowane przez wojsko, na szczęście zeszło się tam też sporo chłopów z Piekelnika i Podczerwonego. Kończyli odkopywać to, co odsłonił wybuch artyleryjskiego pocisku. Kanonierzy trafili w brzyzek, który był na granicy gruntów trzech miejscowości. Takie miejsce było od wieków ziemią niczyją, gdzie grzebie się tych, co nie zasługują na pochówek w poświęconej ziemi. Tam akurat, na tym wisielaków cmentarzysku, pochowano jakiegoś bacę z Podczerwonego, który się kiedyś obwiesił. Nikt nie pamiętał, jak się nazywał, ale zaraz go okrzyknięto Czarnym Ujkiem. Torf go świetnie zachował, jak mumię, z czarną skórą wiszącą na czaszce, która zaraz też na powietrzu zaczęła się sypać w proch.

W domu było biednie. Dzieci czwórka, bo nie wspominałem jeszcze o moich dwóch siostrach – Weronice i Jance. Drugiej i czwartej w kolejności. Na jesień matka szykowała dwie beczki z kapustą kwaszoną, które jej pomagaliśmy deptać umytymi świeżo nogami. W piwniczce koło domu grule z własnego zagonu. Na początku grudnia ojciec bił świnie. Zapraszał do pomocy rzeźnika z Jabłonki, który przynosił ze sobą cienki, długi nóż. Nie powiem, lubiłem świnie. Śmieszyło mnie, kiedy im nosiłem w wiadrze jedzenie do chlewu. Wchodziły sobie do koryta kopytami ubłoconymi i umazanymi własnym łajnem. Ale jak tak stałem nad nimi, zawsze znad tego chlewu podnosiły łeb i patrzyły przez chwilę na mnie, spod klapniętych uszu, takimi mądrymi oczami, podobnymi do ludzkich. Rzeźnik wchodził do chlewu z solidną pałą i zamachiwał się nad głową. Potem z ojcem wywlekali cielsko i rzeźnik liczył palcami pod lewą, przednią nogą, gdzie ma wbić długi, wąski nóż. Z małej szczeliny sączyła się krew do wiadra na kaszankę. A ja patrzyłem na te oczy, które jeszcze wczoraj patrzyły na mnie. Miałem się potem naogłądać takich martwych, ludzkich oczu.

Sąsiedzi się śmiali z ojca, że za Polskę walczył w Legii Orawskiej, a tymczasem Polska przyszła i on klepie biedę taką jak ci, co stali za Czechosłowacją. Nic mu z tego poświęcenia nie przyszło, jakby Polska o nim zapomniała. Ojciec był hardy, nigdy się nikomu nie skarżył. Myślę, że nosił w sercu żal. Dopiero na cztery lata przed drugą wojną ojciec niespodziewanie dla nas pojechał do Krakowa, na kurs dla miśkarzy szkolonych do kastrowania zwierząt w gospodarstwach. Potem dostał swój rewir, chodził po wsiach od Myślenic aż po Lubień i kastrował barany, byki, ogiery, knury. Nareszcie nam się wtedy zaczęło lepiej powodzić, choć ojca całymi tygodniami nie było w domu.

Dziadek Maciej Michalak, który przyjechał z Cichego na Podhalu przez Amerykę do Chyżnego na Orawie, przywiózł ze sobą Polskę. W odróżnieniu od sąsiadów, którzy nie bardzo wiedzieli kim są, ani mój ojciec, ani ja i moje rodzeństwo, nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że jesteśmy Polakami, choć nasz drugi dziadek Stefan Zbela odkąd go pamiętam, nigdy nie miał wątpliwości, że Polakiem nie jest. Polska to dla mnie były opowieści o królach, jakie snuła moja babka Hanka z Galiców z Poronina. Jak król Jan Kazimierz uciekał na Spisz, goniony przez szwedzkie wojsko i jak go w wózku pod Czorsztynem górale podhalańscy wyratowali z zasadzki. O tym jak piechota wybraniecka z gór wraz z królem Stefanem Batorem szła na Moskwę. U babki w domu były pergaminowe dokumenty, obwieszone czerwonymi pieczęciami. Pisane po łacinie, nikt ich nie rozumiał, nawet proboszcz z Szaflar, choć mszę po łacinie odprawiał. Ojciec babki Hanksi był jednak przekonany, że to nadania królewskie na polany w Tatrach, dla jego przodka Jędrzeja Galicy za udział w wyprawie moskiewskiej.

Polska to były także wyciągane od dziadka Macieja skąpe wieści o jego strykach. Miał ich dwóch, o żadnym nie bardzo lubił wspominać, choć jeden był bohaterem. Najstarszy z braci Michalaków Franek w 1846 roku poszedł do powstania w Chochołowie, ledwie się zwiedziało, że chłopcy ruszają na składnicę celną. Wbrew woli swojego ojca uciekł po nocy z domu i pieszo poszedł do Chochołowa. Franek znał wcześniej księdza proboszcza z Chochołowa Leopolda Kmiotowicza i organistę Andrusikiewicza, bo często ich woził, zabierany z domu na podwoły.

Gościej było z drugim bratem dziadka, średnim według starszeństwa Janem Michalakiem. Jasiek nie cieszył się w rodzinie estymą, na uroczystościach i zjazdach rodowych milczano na jego temat. Tyle było wiadomo, że przesiedział w austriackim więzieniu 10 lat. Trochę więcej zdradziła mi dopiero babka Hanka, kiedy już podrosłem.

Jasiek Michalak siedział skazany za udział w napadzie rabunkowym na dom Józefa Blaszyńskiego w Chochołowie. Blaszyński był bratem słynnego proboszcza z Sidziny księdza Wojciecha Blaszyńskiego, który na całe Podhale puszczał szkolone młode baby, do nawracania ludzi ze złych uczynków. Znany był też ze spowiadania, setki ludzi chodziły do niego, kiedy spowiadał na cmentarzu w Chochołowie siedząc między grobami na górze. Nikt nie potrafił tak przenikliwie spojrzeć w głąb pokręconej, góralskiej duszy. A najbardziej znanym jego dziełem był kamienny kościół w swojej rodzinnej wsi, który ufundował. Sam go niemal zbudował, w każdą wolną chwilę przyjeżdżając do Chochołowa. Ksiądz Wojciech trzymał pieniądze, zbierane na budowę, u swojego brata Józefa. Pewnej czerwcowej nocy sześciu zamaskowanych zbirów włamało się do Józefa. Drewnianymi pałkami pobili do nieprzytomności zaskoczoną we śnie bratową księdza, Katarzynę Blaszyńską. Nie oszczędzili nawet kilkuletniej córki gospodarzy. Kiedy dziecko rzuciło się z płaczem do nieprzytomnej matki, ktoś odepchnął je brutalnie, raniąc na twarzy. Włamywacze wywalili drzwi do komory na końcu budynku, potem siekierami wyrąbali wieko leżącej się tam skrzyni. W środku, w góralskich obońkach znajdowało się złoto i pieniądze. Dokładnie 4172 złote reńskie i 5 cetnarów.

Bratowa księdza Blaszyńskiego rozpoznała tylko jednego ze sprawców napaści. Jaśka Michalaka, którego znała przez wzgląd na starszego brata Franciszka, zasłużonego powstańca chochołowskiego. Żandarmi austriaccy złapali 6 osób oskarżonych o napad, ale po kilku rozprawach wyrok objął tylko Jaśka i niejakiego Jakuba Jawolczyka z Witowa. Obaj nie przyznali się ani razu, nie znaleziono też u nich zrabowanych pieniędzy. Sąd powiedział, że je widzieć przepili i przetracili, ale nawet największemu pijusowi ciężko tyle pieniędzy przetracić w tak krótkim czasie. Po rodzinie też tych pieniędzy nie było. Żona Jaśki ciężki żywot wiodła ze swoimi dziećmi, kiedy on siedział w sądeckim więzieniu. Kiedy Jasiek wyszedł, ufundował kamienną figurę Jana Nepomuka, świętego, przy wjeździe do Chochołowa od

strony Czarnego Dunajca i od Cichego. Napisał na nim, że to przeproszenie Boga, co dla wszystkich było wiadomym przyznaniem się do winy. Podobno lata później ktoś podkopał figurę, przekonany, że znajdzie pod nią ukryte pieniądze księdza Blaszyńskiego. Ale ich nie znalazł.

Babka Hanka mówiła też, że ksiądz Blaszyński przeklął złodziei, którzy mogli obrócić w niwecz jego plan budowy świątyni. Mieli wyginać aż do siódmego pokolenia. Nie wiem, czy to prawda, ale potomstwu Jaśka Michalaka nie powiodło się. Syn, który uczył się na księdza, umarł na galopujące suchoty. Drugi nigdy się nie ożenił. Pozostały tylko trzy córki, ale wszystkie poszły z Podhala w świat.

Mój ojciec Wendelin Michalak dostał imię po świętym Wendelinie, patronie pasterzy, żeby go patron pilnował na borach, jak będzie chodzić z bydłem na wypasy. Dziadek Maciej był bardzo praktycznym człowiekiem. Ojciec trzy lata chodził do szkoły w Chyżnem i to wystarczyło mu za całą edukację. Nauczyli go tam trochę gadać po węgiersku, bo wtedy akurat Węgrzy przykręcili swobody Słowaków i wprowadzili do szkół naukę po węgiersku. Pisać i czytać po polsku uczyła go matka, na zaprenumerowanej Gazecie Podhalańskiej. To także wyróżniało nasz dom spośród sąsiadów. Kiedy ojciec skończył 17 lat, dostał wezwanie do wojska, do cesarsko – królewskiej armii i poszedł na front włoski. Po roku trafił do kawalerii, bo w domu przy koniach zawsze była robota. Z jego wojennych opowieści pamiętam tylko historie o ojcowym przyjacielu, Słowaku Petro z Namiestowa, który w cywilu był murarzem. Oprócz tego był też żarłokiem, więc gdy moje siostry nie chciały jeść, ojciec wyciągał jedną z wielu opowieści o Petro.

Petro cierpiał na naukowo zbadaną, rzadką przypadłość: nie odczuwał sytości, tylko ciągle głód. Tak więc potrafił zjeść bardzo wiele. W Namiestowie miał znajomego masarza, który kiedyś zaprosił go do jakiejś murarki. Od słowa do słowa założyli się masarze z Petro, że za jednym posiadem nie da rady zjeść całego cielęcia. Umówili się na następny dzień, że jak zje cielę, to masarze płacą, a jak nie zje, to sam płaci. Przez wieczór masarze zasięgnęli języka o obżartuchu i wykombinowali, że przecież można cielaka ugotować w potrawce, dołożyć warzyw, kaszy, innych zapychaczy. Obrali mięso z cielaka, dodali wszelkich możliwych rzeczy i wyszedł potężny kocioł zupy. Petro przyszedł na zawody, wacha, bo ładnie pachniało: Co tam macie? Taka zupa! Dajcie spróbować! Chlapnął sobie zupy do makutry zamiast talerza. Dajcie chleba. Dali mu bochenek. Zjadł faskę zupy, ale zostało mu chleba, no to dołóż do miski. Zjadł chleb, zostało w makutrze, no to daj bochenek. Zanim chłop spasował, trafił jednocześnie w koniec bochenka i faski, z kotła została połowa. Zatrzymał się i powiada: Nie mogę dalej. Smaczna, ale przecież jeszcze cielę muszę zjeść. Jak mu przerażeni powiedzieli, że już ma za sobą połowę, spokojnie wyjadł do końca i wygrał zakład. Na froncie zaś kiedyś we Włoszech musieli Petra ratować, żeby nie pękł. Kucharz niedorajda źle dolał wody do kaszy i nie dość, że jej nie uparzył, to jeszcze przypalił. Batalion stacjonował akurat w winnicy, żołnierze najedli się winogron i nikt nie chciał jeść przypalonej kaszy. Jeden biedny, ciągle głodny Petro przyszedł do kucharza i mówi: Krajan, ratuj, daj coś zjeść. Wyczyszcze ci ten przypalony kocioł. Wziął i zjadł cały kocioł przypalonej kaszy ze śliwkami, przeznaczony dla kompanii wojska. Tymczasem niedogotowana kasza pod wpływem trawienia w żołądku zaczęła pęcznieć i Petra zaczął własny żołądek rozsadać, choć ciągle był głodny. Żołnierze pościągali kupie, austriackie paski wojskowe i spinali go, żeby się nie rozpadł. W końcu chłop zwymiotował, ale przeżył.

Ojciec też przeżył pierwszą wojnę. Matka, która już wtedy miała nie niego oko, widywała go średnio raz na pół roku, jak przyjeżdżał na urlop. Jako kawalerzysta nosił szablę. Dzwonił w Chyżnem w kościele tą szablą i ostrogami, gdy defilada w czasie mszy szła składać ofiarę za ołtarz. Ojciec wrócił do domu bez szabli i ostróg, ale żyw i cały. Był listopad 1918 roku.

Ważne rzeczy toczyły się na arenie dziejów. Rozpadało się nasze austro – węgierskie państwo. Powstawały dwa nowe – Polska i Czechosłowacja.

## Rozdział II

*Jak na świat przyszła Polska i Czechosłowacja i za czyją sprawą podzielili się Orawa.*

Po słowacku w całej rodzinie matki myślał tylko dziadek Stefan Zbela. Choć cholera go wie, wcześniej jako bogaty gospodarz bywał w powiatowym urzędzie w Trstenie, znał kilku Węgrów, prowadził ich w bory na polowania za niedźwiedziem. Chyba mu imponowały takie znajomości, tylko we wsi krzywo patrzyli na niego za te znajomości z Madziarami. Jego żona Hermina, też z orawskiego rodu i od pokoleń w Chyżnem, myślała jeszcze inaczej.

- My tu są tacy nieutyralni - mówiła mi babka Hermina - Starzy ludzie tak mówili, że my nieutyralni. W Madziarsku my byli tacy i w Polsce. W Słowensku też by my pewnie byli nieutyralni.

Babka Hanka, która bardziej lubiła filozofować o życiu i powikłanym losie, powtarzała mi, że czasy są tym gorsze, im bardziej ludzie zniecierpliwieni. Jak się kończył rok 1918, byli już dość mocno podkurwieni wszyscy. Chłopy na frontach, baby same pilnować musiały pola, na lato nikt nie przyjechał na urlop w ostrogach i z szabelką. Raczej już listy przychodziły wojskową pocztą, że oto wczoraj żony już dziś są wdowami. Grypa hiszpanka i tyfus brzuszny, aż do śmierci przywodzące, przyszły do nas z Podhala,. Węgierscy urzędnicy, notary z Jabłonki dokuczali ściąganiem coraz to nowych kontrybucji wojennych. Skończyło się rozpisywanie pożyczek wojennych, ludzie nie chcieli kupować takich papierów za swoją gotówkę. Potem skończyła się gotówka. Więc po wsiach brało wojsko węgierskie z Jabłonki kontrybucje w naturze – ostatnie żywe krowy, świny.

Jak jednym jest źle, to innym bywa lepiej. I na takich skupia się niezadowolenie, że na wojnie majątek zbijają, krwiopijcy. W naszej okolicy byli to Żydzi. Nawet nie nasz chyżniański Żyd Jakub Frydberger, który oprócz tego, że miał lichą karczmę w dole wsi, to jak inni gazdował na 10 hektarach. Starego Jakuba pamiętam jeszcze jako chłopak. Jego córka Elżbieta wydała się za strażnika granicznego z Lipnicy Wielkiej, kolegę naszego znajomego kupca na poroże jelenie. Najdłużej, choć też zupełnie po cichutku, mieszkała we wsi wdowa po Jakubie, stara Hermina Frydbergerowa. To ona w 1945 roku, w czasie procesu w Trstenie uratowała przed wyrokiem księdza Aurela Michalaka, oskarżonego o kolaborację z Niemcami i przynależność do partii narodowej. Ale do tego trzeba będzie jeszcze wrócić.

No więc naród najbardziej podkurwiony był na Węgrów, bo reprezentowali wojenną maszynę państwa, i na Żydów, bo na wojnie interesy robili, a przed poborem potrafili się wykpić. Najbardziej zniechęceni Żydzi z Lipnicy Wielkiej rozkręcali coraz bardziej handel drzewem z Babiej Góry, przydatnym na wojnie. Zięć znanego już Netki, który po nim przejął karczmę w Jabłonce, też miał wrogów, bo za dużych długów u niego narobili pijąc na borg. Długi mieli ludzie u Żyda piekarza, Żyda rzeźnika, sklepikarza, którzy coraz częściej odmawiali sprzedawania cukru czy soli tylko za wpis do zeszytu. Jak minie wojenna zawierucha, można się było spodziewać, że karczmarz jeden czy drugi wyciągnie ten zeszyt i przystąpi do egzekucji zadłużenia.

No więc kiedy kończył się październik 1918 roku, moja babka Hanka patrzyła uważnie z Chyżnego na świat. Jeszcze dostawała Gazetę Podhalańską, a w niej wiadomości, że w Nowym Targu zawiązuje się komitet polski, że w Krakowie rozbijają austriackich żołnierzy. Dziadek Maciej bardziej się interesował bandami grasantów, którzy pouciekali z austriackiego wojska, jeńcami rosyjskimi, którzy poszli z w rozsypkę z obozów wojskowych i jakoś szczególnie upodobał sobie rejon Babiej Góry. Ojciec mój Wendelin wiał z oddziału we

Włoszech, bo już wszystkim wiadomy był koniec wojny, a nawet rozsyпка monarchii Franza Józefa. Dziadek Stefan był akurat zdezorientowany, jego znajomi Węgrzy z Trsteny stracili rezon i tylko czekali okazji, żeby czmychnąć. Nastroj oczekiwania przeniknął nawet do najmniej zorientowanych w politycznych zawiłościach. Pijaczkowie z Jabłonki postanowili, że sami pójda sobie długi anulować u miejscowego karczmarza. Najpierw rozbroili żandarmerię węgierską. Poszli na posterunek i żandarmi uciekli przez okno na widok tłumu. Został tylko komendant, któremu odebrali pistolet. Wieczorem podeszli pod netkową karczmę w większym tłumie, głównie gapiów. Żyd nie namyślając się więcej skoczył do lasu wraz z babą i dziećmi. W tłumie ktoś pochodnię rzucił na stajnię, ledwie się dało uratować mieszkalne zabudowania w pożarze. Na drugi dzień wszyscy Żydzi z Górnej Orawy chyłkiem pakowali na wozy co cenniejsze rzeczy i uciekali. Akurat był jarmark w Jabłonce i ktoś strzelił na wiwat. Wtedy wybuchła prawdziwa panika, że strzelają do mojżeszowych. Ludzie też potracili rozumy z chciwości, albo szaleństwa. Dopadli jakiegoś dunajeckiego Żyda, co miał stragan na jarmarku z końską uprzężą, przewrócili mu stół z rzeczami, skopali chłopca i sponiewierali, ledwie go ksiądz dobrodziej osłonił przed opresją. Potem już nawet ksiądz tłumowi rady nie dał. Poszli na sklepy, stragany, brali jak swoje, szabrowali po domach, gdzieś dziecko z kołyski wyrzucili. Tłukli nawet stare Żydówki, z zemsty na chciwym narodzie mojżeszowym. A Żydzi, od pokoleń wyczuleni na takie tumulty, uciekali chwytając w pośpiechu co najcenniejsze. Uciekała nawet powszechnie lubiana właścicielka sklepu, wdowa po kupcu Stillerze, który zginął na wojnie, zostawiając dwie córki sierotami. Nasz Frydberger też uciekał, choć sam nie wiedział gdzie. Dziadek Maciej spotkał go wieczorem, jak wjeżdżał na drogę w stronę borów. Kazał mu tam przesiedzieć przez dwa dni i wrócić do siebie, bo przecież w Chyżnem nikt go nie ruszy.

W dwa dni nie było w Jabłonce ani oddziału węgierskich honwedów, żandarmów, ani urzędników – notarów. Babka Hanka wspominała, że do dziadka Macieja, choć jemu akurat polityka mniej była w głowie, przyjechał pacholek od proboszcza lipnickiego księdza Karola Machaya z zaproszeniem na spotkanie u Piekarczyka w Jabłonce. Zapraszającym był brat proboszcza, też ksiądz Ferdynand Machay, o którym powiadali niektórzy, że Węgrem się poczuwał. Studiował w Budapeszcie, gadał świetnie po węgiersku, przed wybuchem wojny nawoływał do posłuszeństwa wobec Węgrów, którzy się prostym ludziom coraz bardziej uprzykrzali. Zwłaszcza w szkołach, skoro małe dzieci musiały się uczyć po madziarsku. Ksiądz Ferdynand całą wojnę był przy wojsku, też niedawno wrócił na Orawę.

Mimo oporów i wątpliwości dziadek pojechał. Byli tam i Ignacy Suwada, i Andrzej Grela i Jan Piekarczyk i trzeci brat księdza Ferdynanda - Eugeniusz Machay. Było wielu, co się wcześniej uważali za Słowaków, a teraz nie wiedzieli co robić. I paru takich, co jak dziadek Maciej przyszło na Orawę z Podhala po kupieniu gazdówki. Ksiądz Ferdynand, choć najmłodszy w całym zgromadzeniu, ledwie 30- letni, tłumaczył im krótko: Nie będzie już monarchii, więc czas pomyśleć z kim Orawie po drodze. Słowacy, którzy w Dolnym Kubinie mocno debatują o przyszłości, będą się jednać z Czechami. A Czechy to wiadomo, husyckie jeszcze towarzystwo, katolickiego Rzymu słuchać nie będzie. Tylko patrzeć, jak na orawskie ziemie przyjdą praskie wojska i strzelać zaczną do kamiennych świętych figur, postawianych przez dwa stulecia przy drogach przez dobrych katolików. Orawiakom nie trzeba tłumaczyć, co oznacza obrona swojej wiary. Nie trzeba przypominać, jak rządził tu pan dziedzic – luter z Orawskiego Zamku. Zamiast kościołów zbory luterzańskie stały po wioskach. Pacholekowi zamkowi kijami obijali katolików bez żadnego powodu. Tak więc pozostaje się przy Polsce opowiedzieć, bo to kraj od wieków katolicki. Zważajcie też, jak was matki uczyły pacierza w domu? Po naszymu, po góralsku. A nasza gwara, język którym gwarzymy, to nic innego niż stary polski język. Bo my są przecież Polacy, tylko zapomniani przez Ojczyznę.

- Czesi biorą swoje, bierzmy i my – wtórowali mu gazdowie.

- Na zebraniu w kościele św. Marcina w Bratysławie o unii z Czechami zdecydowało 60 ludzi. Bez żadnych konsultacji z dwumilionowym narodem Słowaków. Tedy i my mamy prawo zdecydować, co będzie ze 150 tysiącami Polaków na Górnych Węgrzech – mówił Ferdynand Machay.

Jeszcze tego samego dnia powołali polski komitet narodowy i wysmażyli wszyscy pod wodzą księdza Machaya tekst odezwy. Wysłali ją przez umyślnego do wydrukowania u Ignacego Borka w Nowym Targu. Chłopy mieli je wieszać po wsiach.

Polska jest dużą i bogatą, 25 milionów samych prawie katolików mającą – pisali konkretnie do konkretnych bardzo Orawców – Bogactwa ma niezmierzone: sól, naftę, wiele wielkich fabryk. Niezmierzone przestrzenie żyznej ziemi, którymi przez wieki żywiła i inne narody. Dostęp do morza, liczne spławne rzeki, które ułatwiają targi i przewóz towarów, a czego Czechy i Węgry nie mają i mieć nie będą. Polska będzie demokratyczną republiką. Na koniec też padał argument kościelny: Patronami wielu kościołów nie będą już Żydzi, jak to w wielu przypadkach ma miejsce.

Razem z tekstem odezwy umyślny, chłopak od Suwadów, zawiózł do doktora Bednarskiego w Nowym Targu prośbę o przysłanie wojskowego oddziału. Bo na razie na Górnej Orawie żadnej władzy nie ma, resztki zastraszonej Węgry. A władza jest potrzebna, bo bez niej porządek się burzy i na drugi raz tumult żydowski może się nie skończyć na spalonej stodole. Dwa dni potem wjechał do Jabłonki polski oddział. Trzydziestu konnych z porucznikiem na czele. Ledwie tydzień wcześniej byli austriackim oddziałem przydzielonym do ochrony dworca kolejowego w Nowym Targu. Nawet mundurów nie wszyscy zdążyli poprzeszyswać, choć solidarnie zdarli już austriackie insygnia.

No i wtedy też pieszo z Trsteny przyszedł przez pola do Chyżnego ojciec. Weteran wojny na włoskim froncie. Dziadek czuł pismo nosem, wiedział, że będą gorące dni i wcale młodego syna nie zamierzał wciągać w politykę. Nawet niechętnie wieszał tę odezwę nocą po wsi, przekonany, że nikt go nie zauważył. Niestety się mylił, ale o tym dowiedział się potem.

Tata i tak wpłatał się w politykę, bo tydzień po przyjeździe poszedł na jarmark w Jabłonce i spotkał tam byłego znajomego z wojska – Wendelina Dziubka. Dziubek wrócił do Jabłonki niewiele wcześniej. Przed wojną uczył się na księdza w Esztergomie, już wtedy ciągnęło go do Polski. Miał znajomych w Nowym Targu, z czasów przedwojennego zjazdu Związku Podhalan. Pojechał do nich i skierowali go do Andrzeja Galicy, dawnego austriackiego oficera, którego Polacy uczynili podpułkownikiem i kazali mu formować oddział podhalański. Galica przekazał Dziubkowi dowództwo nad ludźmi wysłanymi na Orawę. Nakazał mu z miejscowych wzmocnić te siły i obsadzić kilka wiosek. Zaraz więc Dziubek zaproponował ojcu, żeby się przyłączył do tuzina żołnierzy przysłanych do Chyżnego. Zima już była, śnieg spowił torfowiska, roboty przy gospodarce niewiele. Przyłączył się Wendelin Michalak do polskiego wojska. Pomagał rozdzielać kompanów na popas po domach bardziej zaufanych Polaków. Do dziadka Macieja przyszło na stancję dwóch. Chodzili na patrole po wsi, nosili na szynelach białe- czerwone opaski, ale poza grupą kilku gospodarzy polskie wojsko wcale nie budziło zachwytu miejscowych. Na dzień przed wigilią od Trsteny podeszły polami dwa plutony czeskiej armady. Nasi zobaczyli ich z daleka. Dowódca nawet nie próbował nawiązać walki. Kiedy Czesi z jednej strony wchodzili do Chyżnego, nasi z drugiej saniami odjeżdżali w stronę Czarnego Dunajca. Następnego dnia Wendelin Dziubek przyprowadził od Jabłonki 40 ludzi i z kolei Czesi ustąpili przed taką manifestacją siły.

Ojciec nie chciał opowiadać o wydarzeniach, które rozgrywały się na sześć lat przed moimi urodzinami. Znam je od matki. Maryśka Zbela miała wtedy 17 lat i gorącą krew. Pamiętała Wendka od Michalaków z Wyżnego Końca jeszcze z dziecięcych czasów i pasienia wołów na

borach. Potem zapadł jej w serce jako kawalerzysta węgierskiego wojska z szablą i ostrogami. Wiedziała, że trzyma z Polakami. Ona była Słowaczką, ale wtedy wydawało jej się to bez znaczenia. Spotkali się znów na skubarkach przed Bożym Narodzeniem u wspólnych znajomych. Na skubarkach dziewczyny darły pierze z świeżo ubitych gęsi, a kawalerka zabawiała je rozmową, nie robiąc przy tym nic więcej. Matka myślała, że Wendek Michalak będzie się chwalił swoimi wojennymi przygodami, że opowie coś o dalekich Włoszech. A on nic nie gadał, tylko przysiadł się do niej i zaczął skubać jej gęś. Powiedział przy tym, że jej ręce za delikatne, żeby się we wrzątku parzyły.

Parę dni potem wyjechał saniami z polskim wojskiem do Czarnego Dunajca i przez jeden dzień była w Chyżnem zmiana państwowości. Wtedy dziadek Maciej przekonał się, że ktoś go jednak widział, jak po nocy rozwieszał na płotach propolskie manifesty. Przyszło do niego pięciu Czechów z kapralem. Dziadek kazał babce zamknąć się w piwniczce od pola. Pytali o syna, dlaczego się z polskim wojskiem pokazuje. Kaprał zuchwale popatrzył dziadkowi w oczy, zapowiedział, że byli by go kijami potraktowali, gdyby nie wzgląd na siwe włosy. Dwie kury złapali sobie na kolację i poszli. Nocleg znaleźli zaś u Słowaków we wsi, którzy wtedy coraz głośniejszą zaczęli mówić, że im z Polską nie po drodze i wolą, żeby Orawa własną drogą poszła. Razem z Czecho – Słowacją. Jednym z tych, co im dali kwatery, był też Stefan Zbela. Śmiali się Czesi przy kolacji do ślicznej Marysi, która miała taki gruby warkocz do pleców. Ale ona szybko uciekła na wyzkę.

Po rejteradzie Czechów ojciec wrócił z Polski do rodzinnego domu. Jakoś zaraz po nowym roku wezwali go na naradę do Czarnego Dunajca, do gmaszyska sądowego za Rynkiem. Na spotkanie z doktorem Janem Bednarskim w sprawie Spisza i Orawy.

- Ja wiem, że wasi bracia, sąsiedzi mają się za Słowaków – tłumaczył im Bednarski. – Patrzcie jeno. Jak oni gadają w domach? Po orawsku, a to przecież polska gwara, z góralami bez problemu dogadać się można. A i badania w starych dokumentach potwierdzają, że wyście na Górnej Orawie w większości z Polski przyszli przed wiekami. Jak panowie szlachta przyciskali chłopów pańszczyzną, to ci uciekali w lasy Górnej Orawy, bo tam jeszcze władzy nikt nie sprawował. A teraz budujemy razem demokratyczną Polskę dla ludu i nie będzie w niej już pańskiego ucisku. Przez tyle lat Polska, przygnębiona własną niewolą, zapomniała o rodakach na Spiszu, Orawie, w Śląsku Cieszyńskim, pod Czadczą i na Kisucy. Madziarzy urabiali was na swoją modłę. Teraz zaś Słowacy mają, żeście ich, bo przecież w kościołach śpiewacie słowackie pieśni. A jakie niby macie śpiewać, skoro ksiądz Słowak? Niedługo przyjdzie z Polski i nauczyciel, i ksiądz. Przyjdzie inżynier budować drogi, kto wie, może nawet kolej żelazną. Będzie dla wszystkich praca, może nie w Budapeszcie, ale w Krakowie. Ludzie się przekonają, że są Polakami. Najtrudniej jednak przetrwać pierwszy czas wahania i niepokoju. Czas, kiedy każdemu się zdaje, że wybór będzie miał, niczym piesek przed dwoma miskami. Jak tu wybierać, skoro Polska dopiero wspólnymi siłami dźwiga się z niewoli? Trzeba lud Orawski i Spiski zaprzęgnąć do wspólnej pracy dla Ojczyzny. Pokolenie nie minie, a wszyscy będą powiadali o sobie – Polak jestem.

Nie było jednak różowo z Polską. Drugą część spotkania Bednarski poświęcił analizie politycznej, snując bardziej pesymistyczne wnioski. Bóg jeden wie, jak długo przyjdzie się jej mocować na wschodzie i zachodzie o własne granice w miejscach ważniejszych, niż jakiś skrawek gór. Komitet Spisko- Orawski z Nowego Targu listami o wszystkim informuje naczelnika Piłsudskiego w Warszawie. Za każdym razem śle błagania o batalion wojska, żeby ustabilizować sytuację. Żeby już nikt nie myślał, że dwie kompanie Czechów znów zmieniają czyjąś państwowość. Warszawa tymczasem pozostaje głucha.

- Byłaby to tragedia, gdybyśmy musieli z Orawy i Spisza odejść – mówił wtedy w Dunajcu doktor Bednarski – Polska nie może się zdać na tych ziemiach ani słaba, ani daleka, ani niepewna. Gdyby do tego doszło, musimy się przygotować.



Dwa tygodnie później Wendek Dziubek musiał jednak na rozkaz z Warszawy zdjąć wszystkie posterunki. Ukraińcy oblegali Lwów, a polska misja wojskowa chciała przez Czechy spokojnie przewieźć zakupioną broń z Budapesztu. Drugi raz odjechało polskie wojsko z Chyżnego. Nie daleko, zaraz za granicą Galicji i Górnych Węgier, do Baligówki, która jest już przy Czarnym Dunajcu. Na skraju borów zajęli chłopcy Dziubka stare baraki. Do Chyżnego i Jabłonki przyszło czeskie wojsko i kto inny się we wsi cieszył.

Do marca siedział więc Wendek Michalak w Baligówce. Najgorzej było przez pierwsze dwa tygodnie. Zima zadęła zaspami wszystkie drogi, przez bory nawet nikt nie próbował przejść, choć to ledwie z 10 kilometrów do Chyżnego. W sypkim śniegu tonęły nawet konie. Na dodatek Czesi do pilnowania granicy ściągnęli konne oddziały wojska, które szybko wędrowały od wsi do wsi, najeżdżając znienacka na wędrowców. Dopiero w lutym Wendelin Dziubek wymyślił napaść na czeską strażnicę w Jabłonce. Większość koni przepędził im wówczas na polską stronę. W odwecie między innymi i dziadek Maciek poszedł na tydzień siedzieć w trzciańskim więzieniu.

Na wiosnę wrócił się ojciec na stałe do domu, bo trzeba było w polu pomagać. Dziadkowi więzienie skutkowało bolesną chorobą stawów. Dali na razie Czesi spokój Wendelinowi Michalakowi, tylko miejscowi czechofile krzywo na niego patrzyli. Krzywo też patrzył Stefan Zbela, tak więc jego Maryśka tylko potajemnie mogła się spotykać z Frankiem. Ojciec jednak nie odłożył na kołek polskiej agitacji. Wojsko Dziubka na rozstaniu przemieniło się w tajną Legię Orawską.

Karol, pierwszy z nas wszystkich, przyszedł na świat w marcu 1920 roku. Gdyby odjąć od tego 9 miesięcy, wychodzi, że rodzice musieli go począć w czerwcu 1919. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby ojca zapytać o początki jego miłości z matką. Mama mówiła chętnie o swojej młodości, której elementem było i zdobywanie Wendelina Michalaka. Upatrzonego kandydata na męża. Ale o sprawach dyskretnych w góralskich chałupach nie gada się nigdy. Tak więc muszę się posiłkować wyobraźnią.

Mama – Maryśka Zbela, była dziewczyną nie tylko urodziwą, ale śmiałą i zdecydowaną w życiu. Nie wiem, czy ojca zaklepała sobie na męża już wtedy, gdy mając po kilkanaście lat przeganiali bydło i woły na bory. Czy wtedy, kiedy go widywała raz czy dwa razy do roku w węgierskim mundurze kawalerzysty z szablą. On zapamiętał ją, odkąd na skubaniu pierza wziął w swoje ręce jej dłonie. Przez następne trzy miesiące, znów zaplątany w politykę, nie miał czasu na widywanie się z Maryską. Jak zniknął, wieś plotkowała o jego związkach z polskim wojskiem. Szczegółów nikt nie znał, ojciec się nie zwierzał, a Maryśce wiele to nie przeszkadzało. Tyle, że uczucia i zamysły musiała ukrywać przed swoim ojcem. Potem wrócił Wendelin, przyszła wiosna, Wielkanoc. Trzeba było orać, siać, sadzić. Roboty wiele dla gospodarza, ale jakoś spotykać się musieli, skoro im tak szybko do zgody przyszło. Matka mówiła mi, że ojciec oświadczył się jej, kiedy wracali z przedstawienia teatru Pietra Borowego w Rabczycach. Wybrali się tam na całą niedzielę. Już widzę ich drogę powrotną w gorący, czerwcowy wieczór. Polami, za Lipnicą Wielką. Szli mając za plecami zachodzące słońce i Babią Górę. Przed sobą szeroką dolinę orawską. Czarną kreskę borów. I Tatry, jak cel podróży. W przejrzystym powietrzu najpierw wyraźne, z każdą jedną kreską piargu i skały. Potem, już po zająściu słońca, tylko brunatne jak cień. Nad Podhalem wschodził jasny księżyc. Pachniało sianem na ostrewkach. Przechodząc przez łąkę na rzece poculi jak blisko do domu i nagle przestało się im spieszyć. Zasmakowali wieczoru. Pewnie poszli zmoczyć zmęczone stopy w szemrającej wodzie Czarnej Orawy. Znam i ja te ciepłe wieczory i noce. Nie kochać w taką noc to grzech.

Mama nigdy wcześniej nie słyszała o Pietrze Borowym. Poszła z ciekawości, bo jej Wendek obiecywał przedstawienie niedzielne, a o rozrywkę na wsi niełatwo. Zwłaszcza gdy kto ma większe wymagania niż gadki z dziewczynami i picie wódki z parobkami. Borowy wrócił niedawno z konferencji pokojowej w Paryżu, gadał po amerykańsku z samym prezydentem Wilsonem. Namawiał go do Polski, żeby orawskie ziemie tam należały, a nie do Czechosłowacji. Szczerze go potem za to nienawidzili Słowacy. Borowy wcześniej wcale nie myślał o polityce, tylko całe swoje życie poświęcił Bogu. Miał na Orawie opinię nawiedzonego apostoła, który chodzi po jarmarkach, nawołuje ludzi do gorliwej wiary, wyzywa pijaków. W teatrzyku, jaki urządzał w swoim obejściu w Rabczycach, wystawiał zawsze jasełka, pasję albo inne sceny z życia Pana Jezusa. Przed wojną wręcz bronił prawa do słowackiego języka w szkołach i kościołach przed węgierskimi politykami. Ku zaskoczeniu swoich dotychczasowych sojuszników z końcem 1918 roku Piotr Borowy zmienił front. Czy go może ksiądz Machay przestraszył tymi wizjami czeskich heretyków? W każdym razie katolicka Polska spodobała mu się bardziej niż Czechy ze Słowacją w jednym kompocie.

Na to czerwcowe spotkanie w teatrze w Rabczycy widzowie przyszli popatrzeć na Pają, bo jej na Wielkanoc nie wystawił, przebywając na wojażach w Paryżu. Tymczasem Borowy poczuł w sobie moc misjonarza polskości. Zamiast przedstawienia stanął przed ludźmi sam Borowy. Czerstwy, 60-letni mężczyzna o bardzo przenikliwym spojrzeniu. Baby aż spuszczały oczy pod ciężarem jego wzroku. Do tego z ascetyczną, chudą twarzą. Łatwiej mu było przemawiać za Polską, bo akurat Czesi odpierali na południu gwałtowny najazd Armii Czerwonej z Węgier, gdzie powstała republika rad. Wizja komunistów, którzy zaraz dotrą na Orawę i będą kościoły burzyć, bardzo mocno przemówiła tego dnia do publiczności. – Polska – katolicka i wielka, Polska rycerska obroni nas przez czerwoną zarazą komunardów – prawil Borowy. Choć przez chwilę wydawało się, że na Orawie znów zapanuje bezkrólewie, a oddziały czeskiego wojska i żandarmerii zostaną wycofane. Czesi jednak sami poradzili sobie z najazdem.

Z tego patriotycznego spotkania w Rabczycy, mijając pachnące pola nad Czarną Orawą, wróciła mama do domu z malutkim Karolem w swoim łonie. Kiedy się spostrzegła, że jest w dwóch osobach, Wendek zdecydował – trza ślub brać, zanim brzuch zacznie rosnąć. Jak Stefan Zbela przyjął wiadomość, że jego córka Maryśka wychodzi po pierwsze za chudopachołka, a po drugie za Polaka, o tym milczą rodzeni kronikarze. Zapewne się nie ucieszył, ale co było robić? Chować samemu wnuka, skoro młodzi się mieli ku sobie? Ojciec postanowił wystąpić przed przyszłym teściem hardo i godnie. Nie dał po sobie poznać, że jest gorszym gazdą. Kryzys przeżył przy pierwszym planowaniu wesela. Musiało być odpowiednio huczne, jak przystało na ślub córki największego gospodarza w Chyżnem. Ojciec policzył, że nawet gdyby sprzedał z dziadkiem Maciejem cały inwentarz żywy, to i tak mu nie wystarczy. Z potrzeby wyratował go Wincek Łaś z Czarnego Dunajca. Kolega, którego poznał w oddziale Wendelina Dziubka. Łaś już wcześniej składał ojcu takie propozycje, ale nie budziły w nim entuzjazmu. Teraz jednak nie miał wyjścia. Znalazł ojciec adwokata w Twardoszynie, u którego kupił 3 beczki czystego spirytusu, każda po 150 litrów, ponoć jeszcze z jakiś wojskowych magazynów czy gorzelni. Przywiózł je koniami do Chyżnego, że niby dla siebie szuka na wesele. Potem w księżycową noc zawiózł je borami do Czarnego Dunajca i Wróblówki, gdzie Łaś ukrył beki w gnojowisku u znajomego gospodarza. Ktoś przykablował całą operację do straży skarbowej w Nowym Targu, ale pojechali szukać spirytusu u Łasia w Dunajcu, gdzie spirytusu nie było. Kupił go potem jakiś pan spod Myślenic, a do podziału uczestnikom spisku zostało po 5 tysięcy marek polskich czystego zysku. Weselisko rodziców należało do udanych. Goście spili się drugą partią spirytusu z Twardoszyna.

Po weselu był czas na stawienie chałupy. Dziadek Maciej dał plac koło siebie, dziadek Stefan drzewo ze swojego lasu. Jak się przed nowym rokiem przenieśli na swoje, to matka już brzuch miała całkiem potężny. W marcu urodził się Karol i znów była robota przy dziecku. Świeży żonkoś nie miał czasu na politykę. Przez granicę przestał chodzić do Czarnego Dunajca. Tym razem ważne wydarzenia działy się bez jego udziału. A akurat zmieniło się tyle, że mocarstwa na zachodzie Europy zdecydowały przeprowadzić referendum na Spiszu i Orawie, żeby ludzie sami o sobie postanowili, przy kim chcą być. Dla przeprowadzenia wyborów przyjechała do Trsteny specjalna komisja, paru Francuzów i z tuzin francuskich szwoleżerów, do pilnowania porządku. Co to jest tuzin szwoleżerów na całą Orawę? Nic! Tak więc dalej zostali po wsiach czescy żandarmi i czescy żołnierze. Ale już nie mogli zabraniać agitowania za Polską.

Nie było wcale łatwo przekonać do Polski. Zraziło Orawców bardzo zachowanie polskiego wojska, które przyszło z Żywca pod Babią Górę, do Rabczy i Polhory jesienią 1918 roku, w tym samym czasie, kiedy oddział z Nowego Targu wkraczał do Jabłonki. Na jarmarkach przez całą zimę krążyła opowieść, jak polskie wojsko zastrzeliło babę z Polhory. Bo kiedy oddział rozgościł się we wsi, przyszli Żydzi do dowódcy, prosić o pomoc w odzyskaniu rzeczy zrabowanych w czasie tumultu. Zaczęli żołnierzy prowadzić od chałupy do chałupy, gdzie który gospodarz zabrał żydowskie fanty. Miejscowym w smak to nie było, zaczęli coraz silniej narzekać, pokrzykiwać, wygrażać do wojskowych z Żywca. A ci zamiast negocjować, karabiny nastawili do rozjuszonej wioski. A wreszcie i salwę puścili w obronie już siebie samych, a nie żydowskiego mienia. Poranili kilka osób, jedną babę śmiertelnie trafili w piersi. Zaraz się oddział wycofał pod Żywiec i zostawili tylko po sobie złą pamięć i nienawiść do Polaków. Wrażenie słabości polskiej zrobiły także wieści ze Spisza, po drugiej stronie Tatr. Tam węgierskie wojsko stało dłużej niż na Orawie, a kiedy się wreszcie wycofało, polskie oddziały starły się pierś w pierś z czeskimi. Nasi doszli prawie do Kieżmarku, który był wówczas w większości niemiecki i żydowski. Gra więc szła o to, po której stronie się Niemcy Spiscy opowiedzą. Tymczasem zamiast hardo wchodzić do miasta, ktoś naszym rozkazał odwrót. Kilka dni później doszło do drugiej konfrontacji na Zamagórze, bliżej Tatr i Nowego Targu. Trupów nie było, choć się strzelali i poszła wieść, że będzie wojna z Czechami. Nasi stracili wiarę, czy ich Polska w ogóle chce, czy ich samych nie zostawi Czechom na pożarcie?

Ale i czechofile robili błędy. Słowakom brakowało swojej żandarmerii, wojska, urzędników z wykształceniem. Zaczęli więc przyjeżdżać na Orawę Czesi, zamiast dotychczasowych Węgrów. Pierwsze przyszło czeskie wojsko. Najdziwniejsze, że byli to marynarze, choć przecież Czechy żadnego morza u siebie nie mają. Babce Hance przestała przychodzić pocztą Gazeta Podhalańska. Przez granicę zresztą jeździć mogli tylko kupcy i sklepikarze, ze specjalnym pozwoleniem od starosty z Trsteny, którzy z Nowego Targu sprowadzali sól i naftę. Wśród Orawców, którzy wcześniej jawnie za Polską stanęli, zaczęły się rewizje, poszukiwania książek i gazet. Potem nawet aresztowania. To się nie podobało. Szerokim echem po jarmarkach rozeszła się ekspedycja oddziału marynarzy do Piekelnika przy granicy z Podhalem. Szukając polskich szpiegów wleźli do gospodarstwa i wszczęli kłótnię z gaździną. Nerwowa baba chwyciła z kuchni garnek z gorącą wodą i chlusnęła na wojaków. A te szwejkę za karabin i jeden pchnął babę bagnetem w pierś. Tak nieszczęśliwie, że zmarła zaraz. Tej samej nocy zastrzelili jeszcze głuchego chłopca, co nie usłyszał ich wezwania: stój.

Matka opowiadała, że Karol miał dwa tygodnie i niemiłosiernie płakał po nocach przez kolkę, choć go przecież nabrzmiałymi piersiami karmiła, swojego mleka nie żałując. Jeszcze śnieg był, kiedy ktoś zapukał wieczorem do okna i wywołał ojca na podwórze. Potem się Wendek wrócił do domu i przesiedział godzinę bez słowa. Wreszcie się odezwał, że go wzywają od

Wendelina Dziubka, że ma się stawić do Legii Orawskiej w Czarnym Dunajcu. Matka darła się, jakby to ona miała kolkę, a nie Karol. Darła się na Wendelinę, na Polskę, na tę całą politykę, która każe jej teraz siedzieć z małym dzieckiem samej. Groziła, że wróci do swojego domu, choć jej tam wcale nie wyglądali. Ojciec siedział dalej bez słowa. Następnego dnia wziął kapelusz, krótki kożuszek i poszedł. Tydzień nie minął i wrócił wraz z całą Legią Orawską, z kilkoma księżmi co się za Polską opowiadali i ostatni rok przesiedzieli na Podhalu. Przyszli z procesją do Jabłonki na wielką i uroczystą mszę, żeby po niej prowadzić agitację.

Z Czarnego Dunajca do Jabłonki wozem jedzie się jakieś trzy godziny. Legia szła pieszo, dla oficerów i księży wzięli w Dunajcu podwozy – dwa góralskie wózki z płóciennymi daszkami. Jechał z nimi i ksiądz Ferdo Machay. Woźnica ćmił ciągle „hawryk”, fajkę góralską, puszczając podróżnym w twarz tumany dymu. Że był przy tym elegant, zamiast pomady do włosów stosował masło, jęlczejące we włosach. Ile razy pojazd przejeżdżał obok świętej figury czy kaplicy, góral uchylał kapelusza, a podróżni z wrażenia zatykali nosy. Za którymś razem komendant Dziubek kazał chłopu oddać lejce któremuś legionście i padło na ojca, bo szedł przy nich. Ucieszył się, bo znalazł okazję, żeby księdza Machaya zapytać o sprawę, która go od dawna gniotła na sercu.

- Księżu Ferdo, powiedzcie mi jak to z wami jest. Powiadali o was, żeście byli Węgrem jeszcze przed wojną, żeście nawet w ojcowym domu z braćmi, też jak i wy kształconymi, po węgiersku mówili. A teraz tak za Polską zabiegacie?

Odpowiadał po długim zastanowieniu:

- Zgadnijcie Wendelinie, dwa lata przed wybuchem wielkiej wojny - ilu nas było takich, co na Orawie mieli się za Polaków? Trzech. A jeszcze między nami zgody nie było. Ja jest Orawiak z Jabłonki. Mama uczyła mnie w domu Ojciec Nasz po naszymu. W kościele uczyli mnie po słowacku, a w szkole po węgiersku. W szkole w Trstenie, gdzie trafiłem mając 11 lat, musiałem gadać po madziarsku, ale już na stacji – byłem swój, kiedy mówiłem jak Słowak. A koledzy przedrzeźniali mnie wołając: Polok, Polok idzie. Jeszcze później, gdy mi przyszło studiować w Budapeszcie, myślałem, że jestem Węgier, bo tak wypada, żeby wszyscy bardziej kształceni byli Węgrami w tym kraju. Wydawało mi się, że wraz z wyższą szkołą człowiek nabywa prawa do awansu narodowego. Ale miałem to szczęście w życiu, że spotkałem paru szczerých Polaków z Krakowa, z Nowego Targu, którzy mi podsunęli książkę, gazetę, którzy mi otworzyli oczy, że przecież nie muszę się wstydzić tych rodzinnych korzeni z domu ojcowego. Bo za nimi stoi wielki naród, kultura żywa i silna. Słowo pisane, poezja, książka, myśl naukowa. Ja dopiero jako student mogłem pierwszy raz pojechać do Krakowa. I wielkie było moje zdziwienie słysząc na ulicach polską mowę. Bo mi się wydawało, że w austriackiej Galicji wszyscy wykształceni ludzie po niemiecku gadać między sobą będą. Nasz orawski język to starodawny polski, oderwany jak na wyspie od macierzy. Nasz język jest jak mucha, co wpadła do miodu i przez wieki zastyga w bursztynie, ale swojej postaci nie zmieni na jotę. Co się w polskiej mowie nowego znalazło, tego w naszej gwarze orawskiej nie znajdziesz, bo kontaktu między nimi nie było przez ponad sto lat. Kiedy więc zacząłem czytać Sienkiewicza, to płakałem, bo nic nie rozumiałem. Słownik węgierski cały czas musiałem trzymać przy sobie. A jak z delegacją orawskich księży pojechaliśmy do Zakopanego i przyjaciele zabrali nas na przedstawienie do teatru, to my wszyscy księża niczego zrozumieć nie mogliśmy. I może dobrze, bo sztuka była Zapolskiej, mówili mi potem, że mało obyczajna. Zacząłem ze studiów listy pisać do ojca w Jabłonce po polsku, to się rozgniewał na mnie i zakazał mi takiego pisania. Bo cóż ludzie mogą pamiętać sprzed czterech pokoleń? Co nam zostaje z naszych pradziadków? Nawet ich imion nie znamy, ani grobów. Zostaje nam tylko wiara i mowa, bo nawet stara chałupa więcej niż sto років nie wytrzyma. Mój ojciec, surowy i sprawiedliwy, skąd miał wiedzieć, że Polak, skoro wszędzie

dokoła Słowacy? Może gdyby Polska sama nie popadła w tarapaty, to i o nas na Orawie, czy na Spiszu, w dolinie Czacy, bardziej by pamiętała? Ale skoro ją trzej sąsiedzi potargali między siebie. Skoro się nawet sami Polacy w Wielkiej Polsce musieli bronić przed zniemczeniem, a w Królestwie przed zruszczeniem, to kto miał dbać o nas? A my sami za słabi byliśmy, żeby dbać o swoje. I tak zesłowaczyliśmy się w tym czwartym, węgierskim zaborze.

Ojciec otworzył przed księdzem duszę i swoje zwątpienie:

- Ale czemu my teraz tak musimy stawiać przeciwko Słowakom? Bić się prawie z braćmi z tych samych wiosek?

- Ja Słowaków bardzo szanuję. Z księdzem Andrzejem Hlinką, co się tułał po węgierskich więzieniach za dopominanie o słowackie prawa, na jednej parafii byłem. Na parafii w Rożembarku nasłuchiwałem się od niego, jak Węgrzy potrafią traktować tych, co się za bardzo za słowiańszczyzną wstawiają. Pierwszy pojechałem do Dolnego Kubina, w listopadzie 1918 roku, gratulować słowackiej radzie niepodległości. Ale Górna Orawa jest polska – powiedzieliśmy im wtedy. - Mamy nie tylko prawo do niej, ale i obowiązek wobec tych, którzy mieszkają na tej ziemi, choćby i czuli się Słowakami. Już wtedy wiedziałem, że się będziemy wadzić o te ziemie, jak dwóch braci kłóci się czasem o ojcowiznę.

Mam wrażenie, że ojciec wstydził się tego okresu w swoim życiu, jaki nastał po wejściu Legii Orawskiej do Jabłonki. Jeszcze tego samego dnia wrócił do domu, przytulił żonę, wyściskał i przez kilka dni była uspokojona. Potem nie patrząc na zaczynającą się wiosnę, czas roboty w polu, Wendelin Michalak coraz częściej wymykał się z domu na całe dni. Wieczorami przyjmował w oborze gości, którzy potajemnie pukali w okno. Czasem gdzieś z nimi wychodził na całą noc. Sprawiał też sobie jasionowy kostur, całkiem solidny kij, niby do wędrówki, ale jakoś wcześniej nigdy takiego nie potrzebował. Teraz nigdzie się bez niego nie ruszał.

Mama zorientowała się, że sprawa idzie nie na żarty, kiedy pewnego majowego wieczoru ojciec ledwo się dowłókł do domu i zaraz legł na łóżku w białej izbie. – Jezus Maria, Wendek – powiedziała, kiedy na białą pościel zaczęła przesiąkać krew. A potem płakała i darła swoje płócienne koszule na bandaż. Ojciec miał bowiem na żebrach, przez całe plecy, długą szramę od noża.

- Na Boga, Wendek, co się z tobą dzieje! Czy ja po to za ciebie wyszłam, żeby teraz nawet nie wiedzieć, gdzie mi męża nożem dźgają? Kto ci to zrobił?

- Twój... Twój brat.

Mama miała o dwa lata młodszego brata Jaśka. Ambicją dziadka Stefana było dać chłopakowi wykształcenie i choć nauka szła mu przeciętnie, dziadek kazał synowi siedzieć w Trstieniu i chodzić do miejscowego gimnazjum. Kiedy matka zalała łzami ranę ojca, ten wreszcie zaczął jej opowiadać, co robi. Leżał w łóżku na wznak, patrzył w belki na suficie i w sosręb, na którym sam niedawno rznął datę i napis bożego błogosławieństwa dla swojego domu i rodziny. I opowiadał.

Uparli się w polskim Komitecie plebiscytowym, żeby zrobić wiec w Trstieniu.

- W Trstieniu? – dziwił się ojciec – Przecież tam już same Słowaki mieszkają. W mieście jest inaczej niż po wioskach!

Wiec miał poprowadzić ksiądz Machay, który wcześniej przyjechał na miejscową plebanię. Wendelin Dziubek ściągnął ze 200 chłopców z Legii, żeby zabezpieczać zgromadzenie. Naszło się trochę naszych, trochę Słowaków gotowych krzyczeć za sojuszem z Czechami. Kiedy pojawił się na podeście ksiądz Machay, nasi dalej krzyczeć: Niech żyje Polska, niech żyje ksiądz Ferdynand. A Słowacy: Precz ze zdrajcą Machayem. Tu jest Czecho - Słowacja. Zwarli szyki chłopcy z Legii wokół mównicy, ale tumult zrobił się taki, że przemawiać się nie dało. I zaczęła się wielka bijatyka na kije, na pięści. Ojciec tłukł równo, po gębach i

słomianych łbach i nagle poczuł, jak ktoś nożem jedzie mu po plecach. Odwrócił się i zdzielił go kosturem przez głowę. A dopiero potem zawołał:

- Jasiek? Szwagier?!

Mama, biedna, nie wiedziała, po którym płakać. Ojca opatrzyła sama. Brata zanieśli do lekarze w Trstenie, razem z kilkudziesięcioma innymi ofiarami bijatyki. Stracił trzy zęby, ale nie odpuścił. Zamiast do gimnazjum trafił zaraz do czechosłowackiej milicji. Kiedy kilka miesięcy później zamknęli granicę, wujek Jasiek został już na stałe w Trstenie, a ja zyskałem bliską rodzinę za bliską granicą.

Przez tydzień miał Wendelin Michalak urlop chorobowy, ale długo mu komendant Dziubek nie odpuścił. Jakoś niebawem matka znalazła w oborze, w żłobie krasuli, co ją dostała we wianie, a na którą jeszcze w domu wołali Wiśnia – rewolwer z bębniem.

- Moją Wiśnię chcesz mi zabić? – darła się mama. Ojciec zabrał jej rewolwer i schował gdzieś indziej, już dokładnie.

Daremnie się przychodziła łąsić do niego, ledwie mały Karol zasnął. Biust nabrzmiały od mleka, kształtny rozsadał jej koszulę nocną. Włosy długie i rozpuszczone. Pachniała snem małego dziecka. On zamiast przyjąć to zaproszenie niewypowiedziane, zabierał się i szedł w noc. Rano nie pytał o zapłakane poduszki. Po jednej takiej nocnej wyprawie przyjechał na koniach patrol dwóch Francuzów, którzy ani słowem po naszymu nie rozumieli. Razem z nimi przyszło po chwili dwóch czeskich żandarmów. Gdzie Wendelin Michalak? Poszturchując wyciągnęli ojca i skutego poprowadzili przez wieś. Poszła matka za nimi. Karola zawinęła w chustę, jak Matka Boska Bolesna poszła aż do sądu w Trstenie. Przez pola, które się już złotem przykryły od zboża. Nie zatrzymana przez nikogo poszła do sędziego, który siedział z międzynarodowymi komisarzami. Wysoka i ładna, z dzieckiem przy piersi zrobiła wrażenie. Ale niczego nie załatwiła. Powiedzieli jej tyle, że ojciec jest bandytą, który napadł w nocy na posterunek żandarmerii w Podwilku, rzucał granatami do żandarmów, strzelał z pistoletu, który znaleziono w jego objęciu. Będzie teraz siedział z innymi swoimi kamratami w więzieniu i czekał na proces. A po procesie zabiorą go do więzienia w Bratysławie, bo mniej niż 5 lat nie dostanie z pewnością.

Matka wróciła do Chyżnego, prosto do domu dziadka Macieja. Następnego dnia to on powędrował do Trstény załatwiać zwolnienie syna. Chodził tak dni parę, nic nie wskórał. Tyle, że mamę puścili do ojca, żeby mu zaniósła świeżą koszulę i kalesony oraz koszyk z jedzeniem. Już leż nie miała, żeby płakać dalej.

- Módl się Maryśka, żeby po tym plebiscycie tu szybko przyszła Polska – mówił jej Wendek ze ściśniętym gardłem. – Jak przyjdzie Polska, to już cię nigdy nie zostawię. Słowo ci przysięgam przenajświętsze. Jak przy Czechosłowacji zostaniemy, to przyjdzie mi zgnieć w więzieniu. Ucałujże nasze maleństwo ode mnie, niech mnie zapamięta. Ja je zawsze zapamiętam. Choć musiałem częściej kij ścisnąć i pistolet, odkąd się urodził.

Matka żarliwie modliła się nad kołyską za Polskę. Widząc, jak najpiękniejsza córka usycha mu ze zgryzoty, ruszył się wreszcie dziadek Stefan. Pierwszy Słowak ze wsi. Zaprzągnął kare konie do bryczki. Pojechał do Trstény, niby na jarmark, ale chciał odświeżyć znajomości. Zwolnienie zięcia kosztowało go te dwa kare konie. Strażnikiem w trzciańskiej tiumie był stary Józef Kasanicki. Jego syn zaś kochał konie nad wszystko. Za jednego karego konika zrobił synalek tak, że ojciec nawet nie spostrzegł, jak pewnego wieczoru nie nosił już kluczy przy sobie. Młody Kasanicki wlaż do celi ojca, a ten mu gada: Sam nie idę. Nie mnie jednego wsadzili tu za ten posterunek w Podwilku. Siedziało ich z tego powodu aż sześciu. Wszyscy kosztowali w sumie dwa kare konie. Nigdy też ojcu nawet tego nie powiedział, ile mu zawdzięcza. Dla upozorowania napaści wyłamali siekierą drzwi od więzienia, tak dobrze, że Czesi zaraz wszczęli dochodzenie, kto jest sprawcą takiego sabotażu. Na parę dni wsadzili do

odremontowanej turyzmy miejscowego komendanta wojskowego, który z Polakami trochę trzymał.

Tej nocy ojciec tylko na chwilę pokazał się w domu. - Jestem już, jestem. Nie wrócę do celi – zaręczył matce. Po czym z kolegami zniknął w borach orawskich. Przyjechali jeszcze po niego ze dwa razy żandarmi, ale nic w obejściu nie znaleźli. Ktoś matce opowiadał, że widział Wendka w Jabłonce, kiedy była napaść na czeską żandarmerię. Ale czy to była prawda? Znow matka się modliła po nocach za Polskę. Znow czesząc warkocz wieczorami, patrzyła po oknach, czy ktoś się nie zbliża.

- Widzisz Maryś. Mówiłem ci, że głupstwo robisz. – wyrzekął jej dziadek Stefan, który szczerze żałował córki, choć zupełnie nie żałował zięcia. – Ledwie żeś synka powiła, a już wdową niemal zostałaś.

- Nie mówcie w złą godzinę – obruszyła się.

Wysłuchał Bóg i Rada Ambasadorów matczynej modlitwy. Nie czekając na plebiscyt, przy coraz bardziej gorących nastrojach wśród ludzi, siedli ambasadorowie w Paryżu i palcem po mapie narysowali granicę na Orawie i Spiszu. Mieli już dość Polaków, Czechów, Słowaków, wszystkich do kupy i problemów, jakie ciągle sprawiają. Jak wszy po łbie żydowskiego sklepikarza, kolejny raz przemaszerowały do Jabłonki bardzo uroczyście polskie oddziały. Przyszli jak kosiarze, pomagać w zaczynających się żniwach. Dawniej nasi chodzili tak kosić na Węgry. Teraz sami na Orawie przyjęliśmy robotników z Podhala.

Matka poszła patrzeć na mszę do Jabłonki, czy się tam ojciec z wojskiem kręcić nie będzie. Ale już ją tam któryś z kolegów ojca uwiidził i kazał szybko wracać do chałupy. Siedział na progu. Otarł rękawem z ust mleko od Wiśni, które sam sobie nadoił. Pocałował.

- Już mi teraz siedź na dupie w chałupie, jak żeś przysięgał – powiedziała mu, kiedy ją kładł na łóżku. Kobięce serce, jak się je nareszcie uspokoi, zaraz wybacz wszystko, ale niczego nie zapomina.

No i ledwie Karol zaczął na bosych nóżkach plątać się po izbie, w maminym brzuchu już Weronka szykowała się na świat.

## Rozdział III

*Jak Niemcy zabili Wendelina Michalaka, a Słowacy zabrali Orawę Polsce.*

W dorosłe życie wkroczyłem kiedy mój brat Karol poszedł do wojska. Wzięli go do Korpusu Ochrony Pogranicza koło Kołomyi. Skończyłem wtedy 13 lat. Ojciec cały tydzień wędrował po wioskach pod Myślenicami, okaleczając wszystkie bardziej męskie okazy koni, świń czy baranów, a ja musiałem go zastępować, jako jedyny mężczyzna w domu. Drugim znamieniem dorosłości było inne traktowanie mnie przez ojca, choć może mi się tylko tak wydawało.

Mama też przestała mnie uważać za dziecko. W styczniowy wieczór, mimo trzaskającego mrozu, kazała mi się ubrać i iść do karczmy po tatę. Ojciec rzadko tam chodził, nawet kiedy w sobotę był już po robocie. Tego dnia miał jednak stypę z dawnymi znajomymi z Legii, co nawet mama musiała zrozumieć. Ojciec nawet wypity wzbudzał szacunek, miał w sobie coś takiego.

Kiedy go zobaczyłem szedł drogą przez wieś na szeroko rozstawionych nogach. Ostrożnie, żeby się nie zataczać. Śnieg skrzypiał mu pod nogami, nad głową błyszczały miliony gwiazd. Bez słowa oparł się na mnie i razem wróciliśmy do domu. Mama nie wychyliła się z kuchni, z sieni weszliśmy prosto do białej izby, gdzie wcześniej napaliłem w piecu. Powoli ściągał kurtkę, buty, sweter. Patrzyłem na niego z boku. I wtedy przemówił do mnie pierwszy raz jak do dorosłego człowieka.

- Kiedy cię wróg kopnie w dupę, to jest w porządku. Od tego są wrogowie. Ale jak cię przyjaciel tak potraktuje, to nie jest w porządku. Nie tak mnie uczyli postępować i nie tak bym chciał, żebyś i ty robił. Chyba, że świat się zmienia, a ja tego nie potrafię zauważyć?

Tego dnia ojciec wrócił z pogrzebu Wendelina Dziubka. Po 1920 roku Dziubek był nauczycielem w Jabłonce, potem kierownikiem szkoły. Rodzice jeździli do niego na urodziny, zapraszał ich na chrzciny swoich starszych dzieci. A potem inspektor szkolny z Nowego Targu wysłał go na zesłanie do Odrowąża na Podhalu, bo Dziubek ośmielił się krytykować nowego wójta w Jabłonce. – A to mnie kurwa, urządzili – mówił ojcu, kiedy pojechał odwiedzić go ostatni raz w Odrowążu, przy okazji swojego miśkowania po wsiach. Był śmiertelnie chory, jeszcze na samo pożegnanie świata urodził mu się synek. – Nie martwcie się, pani Stanisłavo – powtarzał ojciec Dziubkowej żonie, kiedy go odprowadzała do sieni. – No i co ja jej miałem powiedzieć? No co? – pytał mnie wtedy po pogrzebie, siedząc pijany na łóżku. Czułem, że pierwszy raz traktuje mnie jak dorosłego.

Na urodziny i chrzciny kolejnych dzieci rodzice jeździli co roku do Trsteny, do wujka Jaśka Zbeli, czyli brata mamy. Tego samego, który wtedy ojca nożem przez plecy załatwił, a sam dostał kijem po zębach. Odkąd go pamiętam, miał już wprawione nowe zęby. Wujek skończył gimnazjum w Trstenie i został pisarzem sądowym. Dziadek Stefan pomógł mu stanąć na nogi, kupić dom w bocznej uliczce miasteczka. Ożenił się z miejscową dziewczyną. Z dwóch synów wujka Jaśka starszy był w moim wieku. Kiedy jeździliśmy do nich, rodzice zajmowali się biesiadą przy stole, a my z Jirzikiem i jego młodszym bratem Pavlem penetrowaliśmy drewniane szopy, stodółki i przybudówki, jakie ciągnęły się wzdłuż ulicy za szeregiem podobnych domków. Byliśmy kuzynami, ale nasze języki coraz bardziej zaczynały się różnić. Nie dogadywaliśmy się tak swobodnie jak nasi ojcowie.

Kiedy poczułem swoją dorosłość, coraz częściej zamiast włóczyć się z chłopakami, przysiadłem na kanapce koło rodziców i grzebiąc coś w talerzyku, co mi podsuwała ciotka, przysłuchiwałem się rozmowom starszych.



Z rozmów o polityce niewiele do mnie docierało. Zazwyczaj ojciec z wujkiem spierali się zawzięcie, choć do rękoczynów nie dochodziło. Pewnego razu pojechaliśmy jak zwykle z prezentem, ale długo nie siedzieliśmy.

- No i po co było strzelać?! Po co?! – wujek Jasiek krzyczał od razu do taty. – Przecież były wyznaczone terminy, sami byśmy wam dali te wioski, choć to dla nas krzywda tym większa, że od brata, z tego samego słowiańskiego korzenia co i my. Wy zaś z Węgrami chcecie nas pokroić na spółkę.

Wujek jako pisarz sądowy z Trsteny był przydzielony do pracy polsko – słowackiej komisji, która w 1938 roku miała przeprowadzić zmiany graniczne. Polski rząd przy okazji rozbioru Czechosłowacji przypomniał sobie o pretensjach do południowego Spisza i Orawy, w jakieś dziwnie okrojonej formule. Zaczęły się rokowania, prace komisji, a tymczasem nasi nie czekając na ich zakończenie wydali ultimatum i następnego dnia wojsko zajęło kilka wsi. Koło nas była to Sucha Góra i Głodówka, tuż po drugiej stronie borów. Strzelano się na Spiszu. Kiedy polski oddział z czołgami wyjechał z Jurgowa w Tatry, do pałacyku w Podspadach, Słowacy z lasu ustrzelili jednego oficera.

- Nasz dowódca powiedział - Jaworzynę wam dajemy, ale na krótko, a jak pójdziecie dalej, to będzie wojna- relacjonował przy stole wuj Jasiek - I rozeszli się. Ale głupi major z Polski poszedł dalej, koło Osturni i wtedy z lasu padł strzał. Wasze czołgi z Jurgowa ruszyły pod granicę i stanęły, wojsko kazało wozy szykować na rannych. Wszyscy myśleli, że wojna. Na szczęście ktoś w Warszawie zmyślał i w południe przyszedł telegram, żeby wycofać wojsko do koszar.

- A wyście co zrobili w 1920 roku? – zaperzał się na to mój tata. – Jak nam komuniści pod Warszawę podchodzili, to wyście się z ambasadorami, Francuzami i Anglikami dogadali, żeby sobie wziąć Cieszyn i większość Spisza z Orawą. A niechby był wtedy plebiscyt, to byś sam się przekonał, kto za nami stoi. W plebiscycie – tajnym, już nie wpłyniesz na ludzi ani pałką, ani kielbasą nadsyłaną z Bratysławy. Sam zresztą powiedz, boś był przy polskiej komisji, teraz we wrześniu. Kto na nią napadł przy Orawskim Podzamku? Jak wy na naszych dyplomatów pozwalacie napadać, to na negocjacje nie ma już czasu.

- Policja musiała was bronić przed zwykłymi ludźmi, tak byli źli na Polskę za to, że brata Słowaka okrada w chwili słabości.

To były nasze ostatnie odwiedziny w Trstenie na równej stopie.

Mimo obietnic Karol nie dostał urlopu na żniwa. Ojca znów nie było w domu, jeszcze w soboty i niedziele wyjeżdżał stale do Krakowa. Między ludźmi mówiło się o wojnie. Pod koniec sierpnia tata dostał wezwanie do obrony narodowej. Odprowadziłem go do Jabłonki, zdążył mi jeszcze powiedzieć, że idą kopać okopy za Spytkowicami i żebym się nie martwił, bo wszystko będzie dobrze. Przez chwilę z grupą chłopców biegłem za pieszą kolumną, sformowaną z chłopów orawskich, która zaczęła maszerować w stronę Podwilka i przełęczy Spytkowickiej. W domu mama skrobała grule i płakała.

1 września było w piątek. Na wyżnim krańcu Chyżnego nie było słyhać żadnych strzałów, tylko wcześniej nad ranem przeleciał gdzieś samolot. Słowackie i niemieckie wojsko szło bokiem, od strony Namestowa do Lipnicy Wielkiej, i dalej do Jabłonki. Nikt im nie stawiał oporu. Słowakom niektóre baby po wsiach wychodziły naprzeciw z kwiatami.

W sobotę i niedzielę chodziłem patrzeć na główną drogę. Jeździły nią od Spytkowic niemieckie ciężarówki z plandekami, a starsi mówili, że jest bitwa gdzieś koło Jordanowa i że odwożą rannych do szpitali. W niedzielę w południe do wsi przyjechali niemieccy żołnierze. Po dwóch - trzech, z karabinami chodzili od domu do domu. Mężczyznom od 16 do 60 roku życia kazali się zbierać, natychmiast bez chwili zwłoki. Pierwszy raz w życiu cieszyłem się, że nie jestem jeszcze dorosły. Chudy Niemiec obszedł wszystkie izby w domu, pogłaskał w przelocie po jasnej głowie moją siostrę. Poszli chłopci z Chyżnego pod niemiecką eskortą do

Trsteny, a za nimi trzymając się na pewien dystans dla bezpieczeństwa, poszło kilka żon i matek. W Trstenie załadowali żołnierze kolumnę do wojskowego pociągu i baby musiały się wrócić. Następne dziesięć dni, to były najcięższe dni w dziejach Chyżnego. Tylko ptaki w gorący jeszcze czas śpiewały jak szalone. Po 10 dniach wróciło się kilku pierwszych, a nazajutrz byli już wszyscy. Niemcy zabrali ich, jak się okazało, do obozu przejściowego w Rużomberku. Internowano ich profilaktycznie, ale szybko się okazało, że cała polska Orawa i Spisz będzie włączona do Republiki Słowackiej, tak więc nie mogą Niemcy trzymać obywateli sojuszniczego państwa. Nie zmieniając miejsca Chyżne znalazło się w zupełnie innym kraju. Czechosłowację miejscowi znali dobrze, ale Słowację i to w dodatku w stanie wojny, jako sojusznika Hitlera, tego układu dopiero musieliśmy się nauczyć.

Matka przez te wszystkie dni chodziła codziennie do Jabłonki, wypytywała o ojca ludzi kręcących się po Rynku, wracających z podwodami od strony Podhala i Spytkowic. Pokazywała zdjęcie ojcowe. Tylko kręcili głowami i radzili, żeby czekać, bo wojenna zawierucha jest straszna. Po tygodniu takiego pielgrzymowania nie miała już siły chodzić. Kiedy się nasi chłopcy wrócili z obozu w Rużomberku, przyszedł do domu znajomy z niżnego krańca, Karol Łaś. Wszedł do izby, pochwalił Boga. Siadł sobie za stołem. Nie mam dobrych wiadomości – oznajmił. Mama oparła się o stół, żeby nie upaść. Jak byli w tym obozie, to na czwarty dzień zabrali kilku chłopów na ochotnika do pracy przy kopaniu grobów na cmentarzu. Zgłosił się i Łaś Karol. Przygotowali doły, nadjechała ciężarówka ze szpitala z trumnami. Niemców chowano w trumnach, w pojedynczych grobach. W trumnach przywieziono też kilku Polaków, ale każdego przed pochówkiem musieli wyjmować ze skrzynki i tylko w prześcieradle wkładać do wspólnej mogiły. Łaś rozpoznał między nimi tatę. Wendelina Michalaka, znajomego z wyżnego końca.

Pod koniec września w pewną niedzielę przyszedł do nas jeszcze ktoś, zupełnie nieznajomy. Przedstawił się, że jest z Piekieniaka i razem z ojcem był pod Wysoką koło Jordanowa, w oddziale obrony narodowej. Odetchnął wyraźnie, jak się zorientował, że już wiemy o śmierci. Drugiego września siedzieli w okopie i patrzyli, jak z doliny na ich pozycje najeżdżają niemieckie czołgi. Ojciec dostał w nogę z czołgu, który przejechał górą nad ich okopem. Polskie wojsko wstrzymało natarcie, ale oni obaj i kilku innych znaleźli się po niemieckiej stronie linii ognia. Kiedy wśród strzelaniny ktoś odprowadzał jeńców na tyły, jeden z żołnierzy w niemieckim mundurze, któremu przed chwilą pocisk urwał rękę, w szaleństwie zaczął strzelać do bezbronnych jeńców. Chłop z Jabłonki, Czaja się pisał, dostał śmiertelną kulę. W tatę trafiły trzy pociski. Cały dzień przeleżał nieprzytomny w polu, między okopami. Kiedy polskie oddziały cofnęły się, Niemcy zaczęły szukać rannych i zabitych. Znaleźli ojca, włożyli na ciężarówkę i odesłali do Rużomberku. Ostatni raz przejechał wtedy przez wieś, gdzie się urodził, dla której walczył, gdzie był szczęśliwy. W której zostawił ukochaną żonę i dzieci.

Zaraz w następną niedzielę matka kazała nam się ubrać jak na święto. Poszliśmy w deszczu na pociąg do Trsteny. Pociągiem do Rużomberku, ludzie pokazali gdzie jest cmentarz. W górze, pod lasem, dokładnie jak opowiadał Karol Łaś, stał wysoki brzozyowy krzyż z drewnianą tablicą, a pod nią mogiła długa na kilkanaście metrów. Nazwisk nie było, tylko numery malowane na deseczce i napis na tablicy:

- Tu spoczywają polscy żołnierze, polegli za niepodległą ojczyznę w 1939 roku.

Strażnik cmentarza miał księgę zmarłych i znalazł numer Wendelina Michalaka. Numer siódmy. Ukłękliśmy wtedy na błocie, w świątecznych ubraniach, przed tą tabliczką i modliliśmy się w milczeniu. W księdze była też data śmierci ojca, zmarł cztery dni po bitwie pod Wysoką. A więc żył, kiedy jechał przez Chyżne ostatni raz.

Ja go zapamiętam w sierpniowym kurzu, na drodze w Jabłonce, w zgiełku i krzyku, wśród maszerujących mężczyzn. Odwrócił się do mnie, przyłożył dłoń do swojej furazerki. Miał taki

gest, tylko dla mnie, kiedy jednocześnie uśmiechał się i marszczył czoło, żeby dodać mi otuchy.

Padał pierwszy śnieg tej jesieni na ciepłą jeszcze drogę. Buty zostawiają na takim śniegu wyraźne ślady, pod podeszwami zostaje czarna plama. Przyklejony do butów pierwszy śnieg wniosłem do sklepu Mano Steina, gdzie mnie mama wysłała po naftę. Topniał na deskach. Mano wezwany dźwiękiem dzwonka pojawił się za kontuarem i też patrzył na ten śnieg z dezaprobatą. Właściciel sklepu nic nie powiedział, lubił mnie jeszcze z czasów, kiedy za jego cichym przyzwoleniem porywałem jego córkę, Helenkę, na wyprawy do lasu. Ja też lubiłem przychodzić do niego po zakupy i wymienić przy okazji kilka słów.

- No to jesteśmy już oficjalnie Słowakami – powiedział Mano, postukując palcem w stos „Tatrzańskiego Słowaka” piętrzący się na kontuarze. Na pierwszej stronie gazety była wiadomość o tym, że ministrowie spraw zagranicznych Niemiec i Słowacji, Joachim Ribbentrop i Matus Cernak, podpisali pakt, oficjalnie przekazujący Słowacji należne jej tereny, które wcześniej przemocą wcielone były do państwa polskiego.

- To dobrze, czy źle?

- W życiu niczego nie można być pewnym, nawet jeśli się to ma już za sobą – Mano miał dużą skłonność do filozofowania i to w nim lubiłem – Dla starego Żyda źle to wszystko pachnie. Już tam na Podhalu znajomi raz uciekali przed Niemcami, kiedy front szedł. My tu, niby na Słowacji, ale ja czuję, że Niemcy będą mieli dużo do gadania. Prezydentem jest ksiądz, ale to nie znaczy, że można zawsze liczyć na miłosierdzie, zwłaszcza dla żydowin. Papież przecie za daleko, żeby się do naszych spraw wtrącać. Ale opowiadaj, co tam u was, jak się matka trzymają?

Z mamą dobrze nie było. Bez ojca jakby usychała, jak kwiat włożony do cienia. Dobijała ją, że nie ma ciągle żadnych wieści o Karolu. Wojna się skończyła, ze słowackich gazet wiedzieliśmy w miarę na bieżąco, że Polski już nie ma, a ziemie po sam Bóg od wschodu zajęli Sowieci. Tam gdzieś, w przepastnych przestrzeniach Związku Sowieckiego, daj Bóg – siedział gdzieś jeszcze żywy nasz Karol. Matka pocieszała się, że ci, którzy w I wojnę też trafili na Syberię, w końcu wrócili. Przynajmniej niektórzy.

- Musimy się trzymać razem – powtarzała nam co wieczór.

Dziadek Maciej umarł kilka lat przed wojną. Babcia Hanka przeniosła się do nas. Chyba ona miała z nas wszystkich najwięcej sił i wiary, ale dokuczała jej choroba, która wlaźła jej w plecy. Bywały dni, że babka zupełnie nie podnosiła się z drewnianego łóżka stojącego w kuchni, bo cieplej od pieca i zawsze jakieś towarzystwo jest. Gdy zapadała cisza, oprócz strzelania drzewa pod blachą, stale w powietrzu unosił się szept babki, odmawiającej różaniec w pomarszczonych dłoniach. Modliła się do Boga o dobrą śmierć.

- Najlepiej umrzeć nagle, a nie leżeć w boleściach długie dni, nie cierpieć. Żeby nikt nie musiał na łóżku przewracać schorowanego ciała, bo niby kto to miałby robić? – pytała nas, a my słuchaliśmy jej w milczeniu. Tylko kocur łaścił się do jej łóżka.

- No co charczku, Maćku, škrobaku – powtarzała czule, tarmosząc delikatnie kocią sierść.

- U kuzyna mojego ojca urodziła mu się córka bez palców w obu rękach – babka Hanka zawsze w swoim łóżku zaczynała do mnie wieczorną gadaninę – Pamiętam ją, dziewczyna ładna, ale nikt nie chciał na nią patrzeć kiedy dorosła. Tak wszystkich uschniętym kikutkiem odstraszała, że żaden kawaler nawet na jej okrągły zadek nie spojrział. Sama została, bęsia tylko urodziła bo do niej żonaty sąsiad zachodził. Ksiądz proboszcz dał chłopakowi na imię Kazimierz. Proboszcz wszystkim chłopcom od samotnych panien dawał Kazimierz, a dziewczynkom Urszula, co by je łatwiej rozróżnić. Latały potem po wsi całe bandy Kazimierzów – zaśmiała się babka na swoim posłaniu.

- Czemu mi o tym mówicie?

- Słuchaj spokojnie, to się dowiesz. Ten gazda, co mu się skapiąca córka urodziła, młócił w stodole owies. Na plac zlatywały się ptaki, żeby wyjadać ziarna. On nie lubił ptaków, w czasie młócki zastawiał na nie sieci. Kiedy się łąpały, obcinał im nóżki i wypuszczał. Za te ptasie nóżki jego córka urodziła się bez palców.

- Myślicie babko, że nas Pan Bóg zbiorowo każe za ojcowe grzechy? Czy to po bożemu?

- Skąd mnie wiedzieć, ja tylko opowiadam jak było. A pamiętasz, co ci mówiłam o Michalaku Jaśku, który złoto księdza Blaszyńskiego zrabował? Jeśli dobrodziej na niego klątwy nie posłał, to czemu jego ród wykapał? Klątwa to rzecz szatańska, spływa na następnych, co po tobie idą. A ja nie wiem czy nasz ród nie przeklęty?

- Babko, za co? Za te wszystkie wymiśkowane przez ojca knury i tryki?

- Wiesz mało i nie udawaj większego niż jesteś – skarciła babka – Mało to takich było, co z kwiatami szli do Niemców, kiedy w pierwszy dzień wojny jechali przez Orawę? Może trza im było zostawić dziedziny, które do Podhala i tak nie należały? Nie zabierać? Może to nasz grzech pychy, zachłanności, żeśmy jako Polacy sięgali po te ziemie, żeby je rozbić na dwie części? Wina i twojego ojca i powód dla czyjegoś przekleństwa. Żebyś ty synku nie wspomniał sobie w złej chwili na tę gadaninę.

Najlepiej powodziło się dziadkowi Stefanowi. Odżył, nabrał pewności siebie. Zapisał się niebawem do partii ludaków, czyli Hlinkowej Słowackiej Ludowej Partii. Jeździł saniami na partyjne zebrania do Trsteny i odwiedzał od razu syna Jaśko Zbelę. Wuj Jaśko też miał się nieźle. Awansował na sędziego, bo jeszcze przed wybuchem wojny kilku sędziów – Czechów musiało pilnie wracać z Orawy do swojej ojczyzny. Dziadek mieszkał z najstarszym synem Michałem i jego żoną Emilią. Wujek Michał zaś nie miał żadnych politycznych aspiracji. Przejął od ojca całą gospodarkę, oprócz oszczędności w gotówce, które dziadek chciał dopiero w testamencie rozdysponować, żeby wszyscy równo dbali o niego do śmierci. Wujek Michał i ciotka Emilia nie mieli dzieci. Michał poświęcił się gospodarce. Nawet towarzysko nie bardzo się udzielał, u nas jeszcze jak ojciec żył, bywali z ciotką wyjątkowo.

Już przed świętami Bożego Narodzenia zaprosił nas Michał Zbela na niedzielny obiad. W domu było już ciężko z pieniędzmi, mama bez wahania przyjęła zaproszenie. Rosół z kury, a potem pieczone mięso. Ciotka Emilia wygadana nie była, ale gotować umiała smakowicie. Potem na stole wylądowała karafka z likierem, a nam matka kazała iść do domu.

- Już ja czuję, że coś tam szykują. Pamiętacie, kiedyśmy ostatnio byli u dziadka Stefana na proszony obiedzie? Musi być jakaś przyczyna, że tak się chętnie dzielą pieczenią. – niepokoila się Weronika w drodze powrotnej. Weronika po mamie odziedziczyła urodę. Jasną karnacją skóry i mocno niebieskie oczy. Gdyby nie nasze smutki rodzinne, pewnie by się już oglądała za jakimś poważniejszym kawalerem.

- Wujostwo chcą, żebyś ty Janka, zamieszkała u nich. Są gotowi cię adoptować i zapewnić opiekę, może nawet wyłożą na twoje wykształcenie. Obiecałam, że im jutro odpowiem – oznajmiła mama. Janka uciekła na stryszek, krzycząc w drzwiach: Chcecie się mnie pozbyć, mamó?!

Za dwa dni na sankach ciągnąłem rzeczy Janki. Mama uznała, że to będzie najlepsze rozwiązanie, a na dodatek przecież zostaje w tej samej wiosce i co dzień możemy się widywać. Wymykała się do nas, wujowie wcale jej tego nie bronili. U nas był gwar, tam było chłodno między domownikami. Wigilię tego roku zjedliśmy bardzo późno, bo czekaliśmy na Jankę, żeby usiąść do świątecznego posiłku. Trzy puste stołki stały przy naszym wigilijnym stole. Dla Karola, bo przecież w każdej chwili może wrócić. Dla taty, bo jakże tak, wigilię bez ojca. I dla wędrowca, który nigdy się nie zjawiał.

Pieniądzy ubywało szybciej niż domowników w naszej chałupie. Weronika wymyśliła, że musi się zabrać za pracę, bo inaczej powymieramy. W Trstenie Żyd Wencel zatrudnił ją w swoim sklepie i gospodzie zarazem. Podawała chłopom piwo, a babom sprzedawała tłuczony cukier i naftę. Na początku co dzień wędrowała 8 kilometrów do Trsteny i wieczorem tą samą drogą z powrotem. Potem jej Wencel zaproponował mały pokój na zapleczu, żeby przynajmniej przez zimę nie musiała tak chodzić.

Ja kończyłem naukę w gimnazjum w Jabłonce. Rok szkolny zaczął się z opóźnieniem, najpierw przez wojnę, potem przez wymianę kadry nauczycielskiej i podręczników z pomocami naukowymi. Dotychczasowe poznikały. W Jabłonce szybko znikły wszelkie ślady po Polsce, napisy nad sklepami, nad apteką, piekarnią. Wyjechał proboszcz. W Chyżnem kościelne władze przegnały z kościoła księdza Zarembę dopiero na wiosnę. Widać w diecezji nie mieli kogo przysłać wcześniej. Przyjechał na parafię ksiądz Aurel Michalak. Żadna rodzina z nami, po prostu zbieżność nazwiska. Ks. Zaremba przeniósł się do pustego domu, niedaleko kościoła. Zamieszkał sam, ale wieś nie dała mu umrzeć z głodu. Zresztą wygnany to on był, ale bardziej oficjalnie, dla kurii. Ksiądz Michalak pozwalał mu odprawiać msze w kościele. Między dwoma kapłanami nie było wojny. Przeciwnie, widać ich było na wiosnę, jak po wsi spacerowali razem i dyskutowali. Ksiądz Zaremba po cichu zastępował nowego proboszcza, kiedy ten wyjeżdżał do Bratysławy. A zastępstwa były potrzebne często, bowiem z księdza Michalaka to był działacz pierwszej wody. Zapisał się, tak jak dziadek Stefan, do Hlinkowej Ludowej Strany, potem nawet został posłem do parlamentu w Bratysławie. Zaś prywatnie, pasją księdza Michalaka było polowanie. Często przyjmował u siebie na parafii ważnych gości, Niemców z Zakopanego i chodzili razem polować na bory. Mnie ksiądz Michalak brał czasami na przewodnika po borach, płacąc zawsze parę koron, póki się sam nie nauczył miejscowej topografii. Śmiał się, że musi dać zarobić, przecież jesteśmy rodzina, skoro takie samo nazwisko nosimy.

Zostaliśmy w domu we trójkę. Mama chodziła spać do białej izby, nie raził jej chłód. Może śnił jej się ojciec i wołała, żeby nikt nie słyszał jak woła do niego przez sen? Ja gasiłem lampę i wtedy babka czekała aż ja skończę modlitwę i zaczynała snuć mi swoje opowieści. Większość dnia milczała, a w nocy rozwiązywał się jej język. Od niej nasłuchiwałem się rodzinnych historii. Choć byliśmy jak palce, sami wśród ludzi coraz bardziej nam obcych, czułem za plecami obecność pokoleń, które mnie poprzedzały. Myślałem też, że młodość babki, może nawet młodość mojego ojca i matki, były jakieś bardziej radosne od moich czasów.

W szkole Polacy byli na cenzurowanym. Było nas sześciu takich, o których wiadomo, że ich rodziny zaangażowały się kiedyś za Polską. Dwóch od razu relegował nowy dyrektor. Pozostałym dogryzali i nauczyciele i co głupszy koledzy w klasie. Mnie jakoś zostawili w spokoju. Może przez wzgląd na dziadka Stefana albo wujka Jaśko, który był coraz bardziej ustosunkowany.

Przed zakończeniem roku szkolnego mieliśmy w Jabłonce uroczystość. Wiec, z obowiązkową obecnością wszystkich uczniów, władzy gminnej, żandarmerii, oddziału filanców, którzy pilnowali nowej granicy z Trzecią Rzeszą na Podhalu. Przyjechał na Orawę prezydent Republiki Słowackiej, ks. Józef Tiso. Odwiedzał wioski, odjęte od Polski, przyłączone do Słowacji. Odwiedził i naszą szkołę.

Już w nowym roku szkolnym kazano nam wszystkim z najstarszej klasy iść w Dzień Wszystkich Świętych do Podwilka, na następną uroczystość. Na cmentarzu w Podwilku odsłonięto pomnik pięciu niemieckich żołnierzy, którzy tu zginęli we wrześniu poprzedniego roku. Obelisk był piękny, z kamienia, wysoki na pięć metrów, na samej górze hełm niemieckiego żołnierza odlany z brązu, ważący chyba z 50 kilogramów. Na środku tablica z napisem po niemiecku i słowacku, o niemiecko - słowackim braterstwie broni we wrześniu

1939 roku. Pod tym tablice z nazwiskami pięciu poległych. Na odsłonięcie przyjechał pułkownik ze słowackiego ministerstwa, władze okresu z Ružomberku, kompania honorowa z Trsteny. Były rodziny poległych Niemców. Patrzyłem jak kompania honorowa oddała salwę w powietrze i pomyślałem o tacie. Wtedy, pod Wysoką zastrzelił go może jeden z tych Niemców, których teraz tak wynoszą na pomnik. Stałem w ostatnim rzędzie, po trzeciej salwie odwróciłem się i wyszedłem na drogę. Nikt mnie nie zatrzymywał, nie gonił. Pieszko doszedłem do domu. Wydawało mi się, że nawet nikt nie zauważył mojego odejścia, ale widzieli i nauczyciele i uczniowie i sam dyrektor szkoły. Nie chcieli wszczynać zamieszania, żeby oficjalne władze nie odebrały tego jako politycznej manifestacji.

Następnego dnia dyrektor zakomunikował mi, że moja kariera naukowa w Republice Słowackiej właśnie dobiegła końca. Nie mam się nawet co starać o przyjęcie do innej szkoły.

- Dla takich jak ty, jest miejsce tylko przy kidaniu gnoju z obory – krzyczał dyrektor. Jego z początku sucha przemowa bardzo go podnieciła.

Mama nie miała do mnie pretensji. Na cmentarzu w Rožemberku opowiedziałem wszystko na mogile numer siedem. Ojciec uśmiechnął się i zmarszczył czoło. Jak zawsze, żeby dodać mi otuchy.

- Mano, czy dziewczyna, no wiesz gojka, jak się zakocha w Żydzie, to potem musi zmienić wiarę? – dopiero po zadaniu tego pytania zdałem sobie sprawę, że właściwie dotyczy ono Mano Steina z Chyžnego, w którego sklepie właśnie kupowałem cukier i sól.

- Niech ta dziewczyna lepiej się nie zakochuje w Żydzie. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. – Mano bardzo długo szukał czegoś na półkach, odwrócony do mnie tyłem. Widziałem tylko kokardę fartucha starannie zawiązaną na plecach.

- Podejrzewam, że moja siostra, Weronika zakochała się w młodym Szymonie Wenclu.

Powiedziałem, że podejrzewam, ale właściwie byłem pewny. Pewnego dnia poszedłem do Trsteny zanieść Weronce jakieś rzeczy od matki. Do jej pokoiku wchodzi się od tyłu karczmy, z korytarzyka. Wpadłem jak zawsze, nie pukając nawet i zobaczyłem, że się całują objęci. Ona mu zarzuciła ręce na ramiona, on jej dłońmi ścisnął pośladki pod sukienką.

Weronka tłumaczyła mi potem, że kochają się z Szymonem i chcą się pobrać, ale żeby im razem nie zdradzał tego mamie, bo jeszcze nie uzgodnili ze sobą wielu spraw. Choćby tego, w jakiej wierze będą chować swoje dzieci, jeśli im oczywiście Pan Bóg ześle dzieci. Powiedziałem jej, żeby uważała, bo od tego trzymania za pośladki, to jeszcze dzieci będą im zesłane ekspresem, zanim zdążą cokolwiek ustalić.

- Tego studenta, syna starego Wencla z karczmy? Ach przecież, ona tam poszła do pracy – domyślał się Mano.

- Szymon nie jest już studentem. Zabrakło mu trzech miesięcy do dyplomu lekarza na uniwersytecie w Pradze. Przyszli Niemcy do Pragi i wyrzucili Żydów. Ale sporo się na tym zna, ludzie chodzą do niego po poradę, choć nie może leczyć i już go władze ostrzegały.

- Serce nie sługa. Miłość z rozumem chodzą różnymi drogami i rzadko się spotykają – Mano już spokojnie pochylał się nad kontuarem i patrzył mi prosto w oczy. – Ona mu tego nie powie, ale ty, brat, idź do niego i powiedz mu, żeby dał jej spokój. Nawet jeśli ślub będą mieli w kościele w Bratysławie, nawet jeśli wszystkie dzieci ochrzczą, wybierzmują i poślą do komunii jeszcze w pierwszym roku życia, to Żydów od tego nie ubędzie, a przybędzie. Jak ktoś ma być Żydem, to nim będzie, nawet gdyby nim nie był. Rozumiesz?

- Nie.

Poszedłem za radą Mano Steina. Następnego dnia maszerowałem po uliczkach Trsteny. Przed karczmą Wencla stał wóz szklarza. Wencłowa próbowała szczotką zdzierać namazane węglem napisy na białej, wapnowanej ścianie domu. Wencel zbierał do metalowego wiadra szkło z

rozbitego okna. W izbie sklepowej i barowej zarazem nie było nikogo. Po chwili Szymon wyszedł z zaplecza.

- Widzisz, Franek, co nam tu narobili? – zaczął od razu. Na młodej, pociągłej twarzy widać się rzadka broda. Ale fizjonomię miał sympatyczną. - Ty pewnie do Weronki, matka coś znów przekazuje? Ona poszła na posterunek, żeby te szkody zgłosić. Nawet widzieliśmy, kto to rzucał, ale w ubiegłym tygodniu pan żandarm nie przyszedł. Ojcu powiedział, że po co ma przychodzić, skoro żadnego dochodzenia prowadzić nie będzie.

Nalał mi do małego kufła piwa. – Pij szybko, póki Weronka nie wróci – uśmiechał się szelmowsko.

- Mają nam tu przysłać słowackiego administratora. Już nawet jest wyznaczony, jakiś z Dolnego Kubina. Pewnie całe życie kury macał, a teraz za zasługi dla ludackiej partii i prezydenta dostanie karczmę w Trstenie, słynną karczmę Wencłów „Pod psem” – śmiał się dalej Szymon. – Ale powiem ci szczerze. Niechby i przyszedł tu ten ludak z Kubina, bo ja już nie mogę patrzeć na ojca i matkę. Jak im żal, gdy im jakieś głupie kundelki niszczą cały dorobek życia. Zresztą do nas i tak już nikt nie przychodzi. Omijają nas nawet starzy znajomi. Tylko głupi może być dzisiaj przyjacielem Żyda, co Franek? Ale jak się odwróci, to odbierzemy co nasze.

Zagryzłem wargi i nic nie powiedziałem Szymonowi. Nie czekałem nawet na Weronkę, bo się bałem, że jak mnie weźmie na spytki, to jej wszystkie swoje zamiary wyśpiwam.

Ten Słowak z Kubina nazywał się Józef Ziemba. Przyjechał wraz z żoną i trojgiem dzieci. Potrzebowali mieszkania, więc wywalili Wencłów do izby mojej siostry. Ziemba uznał, że Weronka jest już w pracy niepotrzebna. Bo skończyły się czasy, kiedy leniwi Żydzi wysługiwali się służbą z biednych, słowackich dzieci. Skutek antysemitkiej polityki księdza Tiso był taki, że w domu znowu znaleźliśmy się w większym gronie. Nie licząc niedziel, kiedy Weronka wymykała się na całe dni, konsekwentnie odmawiając matce wytłumaczenia. W resztę dni pracowali oboje na swoim, a w soboty Szymon modlił się w pokoiku na zapleczu do Pana Boga. No ciekawe, o co?

Wiele się Szymon nie wymodlił, bo Żydom się nie polepszało. Weronka chodziła do niego coraz bardziej potajemnie i coraz rzadziej. Wujek Jaśko, który przyjechał na Wielkanoc w odwiedziny do dziadka Stefana, wezwał matkę na rozmowę. Opowiadała, że jej nawet usiąść nie dali i pierwszy raz z rodzinnego domu chciała wyjść bez słowa. Ale też nogi się pod nią ugięły, kiedy jej wujek opowiedział z przejęciem, jak ledwie mu się udało podrzeć i wyrzucić donos do policji, że katoliczka Weronika Michalak z Chyżnego chodzi wieczorami w odwiedziny do Żyda Szymona Wencła.

Co się wtedy Weronika natłumaczyła mamie. Ty też kochałaś! – to był jej główny argument. – Przecież twój był Polakiem i wcale nie patrzyłaś, że przychodzi obcy! Ciebie rodzina wyklęła, możesz i mnie wykląć, ale go kochać nie przestanę na rozkaz.

Mama nie miała do niej pretensji, tylko ją trzymała za głowę, pieściła i prosiła: Mnie o życie twoje chodzi. Nie widujcie się! Jak się wszystko uspokoi, to wrócisz przecież do niego. Ja ci go nie bronię. Niech się to wszystko tylko uspokoi.

Szymona zabrali do pracy w fabryce w Dolnym Kubinie. Kiedy przyjeżdżał do Trsteny, przychodził nocą do Chyżnego i wtedy mama udawała, że nie słyszy ani pukania w okno, ani szelestów ubierającej się Weroniki.

Jak to się stało, że gorącej czerwcowej nocy Weronka obudziła się i poszła sama do Trsteny, skoro nikt jej w okno nie zapukał? Pytałem ją o to, ale nie potrafiła powiedzieć, czemu w środku nocy szła 8 kilometrów do miasta. Doszła przed świtem. Jeszcze po ciemku weszła na jakieś podwórze naprzeciw urzędu powiatowego w Trstenie i patrzyła, jak podjeżdżają kolejno furmanki z orawskich wiosek. Na każdym wozie Żyd, baba, dzieci. Leopold Eichorn, wzorowy rolnik z Podwilka, który miał przed wojną 10 mlecznych krów i wysyłał najlepsze

na wystawy rolnicze. Rodzina Fiszerów, która niczym się szczególnie nie wyróżniła. Cecylia Stiller, dumna karczmarka z Podwilka, Moric Rendel z Orawki, który był starszym wśród Żydów i prowadził modły pod nieobecność rabina. Wszyscy oni jechali pod eskortą żandarmów i tajnej policji. Przejeżdżali przez bramę starostwa i znikali w niej jak w otchłani. Weronka widziała też, jak pędzą pieszo, bo to nie było daleko, starego Wencła z Wencłową. Trzymał żonę pod ramię. Szymona z nimi nie było. Czekala tak Weronka i czekała, aż właściciel podwórza, na którym stała, obudził się i kazał jej iść precz.

Na Boże Narodzenie 1942 roku przyjechał z wojska na przepustkę Jan Karkoszka z Chyżnego, który służył w pułku w Karwinie. Zgadaliśmy się, bo to był jeszcze dobry znajomy Karola. Na dodatek chodził wtedy smolić cholewki do szkolnej koleżanki Weronki, więc coś słyszał o jej historii. Koszary w Karwinie były sto metrów od bocznic kolejowej, na której wtedy, w czerwcu, Żydów do wagonów ładowali i stali do Polski.

- Rumuńskie, węgierskie Żydy, słowaccy może też – opowiadał Karkoszka - Każdego dnia jeden pociąg, pełne wagony, a od rana już nowy stał. Najpierw cały tydzień szli młodzi chłopcy. Potem tydzień cały szły dziewczęta, co one płakały. Potem wieźli starych. Patrzyłem, czy kogoś znajomego nie zobaczę, ale wszyscy byli tacy podobni. Jeden mi został w pamięci. W takim brudnym ubraniu, umazany własnymi smarkami, gramolił się niezdarnie na wysoki wagon.



## Rozdział IV

*Jak Franek zaplątał się w politykę.*

Pomysł podsunęła babka Hanka. Niedługo po tym, jak mnie wyrzucono ze szkoły za demonstrację na cmentarzu w Podwilku, leżeliśmy wieczorem w kuchni, ona na swoim drewnianym łóżku, a ja na swoim. Nie chciało nam się gadać, milczeliśmy, stopniowo coraz bardziej wciskając się pod swoje pierzyny, bo ogień pod blachą przygasał.

- Jak ty teraz nie masz co robić, to może byś na przemysł poszedł? – zapytała babka. To ona wcześniej opowiadała mi, jak ojciec organizował przerzut wódki, żeby opłacić swoje wesele.

- Mamy przecie rodzinę w Cichem. Trzeba by jej przypomnieć o krewniakach na Orawie, niech ruszą łbami i pomogą nam jakoś przeżyć. A może przy okazji my też im pomożemy.

Babka pochodziła z Galiców z Poronina. Po ślubie mieszkała dwa lata w Cichem przy rodzinie dziadka Macieja, zanim on nie wrócił z Ameryki. Wyniosła się stamtąd tak skłócona z Michalakami, że nigdy nie pojechała na żadne wesele, chrzciny czy stypę. Stopniowo straciła też kontakt ze swoją rodziną w Poroninie. Z jej trzech siostr jedna wyjechała gdzieś pod Sącz, jedna została na gospodarstwie, ale jej się z mężem nie układało i umarła bezdzietnie. W Poroninie nie było za bardzo do kogo wracać. Babka przeszperała w pamięci całą rodzinę w Cichem i uznała, że muszę iść do Jędrzeja Karpiela. Był synem dziadkowego kuzyna Kubby Karpiela, mieszkał w Cichym Środkowym. Powinien mieć nieco ponad 40 lat, bo gdzieś na wysokości urodzin Weroniki miał ślub z miejscową dziewczyną Kaśką. Tyle zapamiętała mama, z tatem byli jeszcze proszeni na ten ślub do Cichego. Akurat była brzemienna, to zapamiętała. To mniej więcej była cała moja wiedza na temat mojej nowej rodziny.

Dobrze trafiłem z pierwszym marszem na Podhale. Był już solidny mróz i ani grama śniegu. Podmokłe lasy, grzęzawiska torfowe zamarzyły na tyle, że miejsca gdzie wcześniej człowiek topił się w filcakah, teraz przechodziło się błyskawicznie. Wyszedłem z domu przed świtem, jeszcze kiedy było ciemno. Do lasu na Niżnych Borach dochodziłem już przy szarówce świtania. Drogę z początku znałem dobrze: Panówki, potem Bory Piekienińskie. Za borami jeszcze tylko niewielki w tym miejscu potok Piekienińnik i zaczynają się pola Podczerwonego i Chochołowa. Dwie godziny spędziłem w lesie, obserwując z małej kępy drzew ruch strażników granicznych. Patrzyłem przy okazji z nudów, jak na rozpostartej na ostrej trawie pajęczynie jesienne słońce topi zamrożone krople. W wyższych partiach Tatr leżał śnieg, odbijając się od czarnej podstawy gór.

Placówka słowackich strażników granicznych zwanych filancami była w Piekieniku. Oni chodzili nieregularnie. Wtedy, leżąc na suchej trawie nie zobaczyłem ani jednego filanca. Przeszedł za to dwuosobowy patrol niemieckiego Granzschutzu. Oprócz tego stado dzików i trzy jelenie, które podnosiły co chwilę łby, wietrząc dookoła.

Po południu polami dotarłem do Cichego.

Jędrzej Karpiel był okrągły jak burak ze swojego nazwiska. Wołali na niego Janiołek, ale nie wiem czemu. Niewysoki, łysiejący, z okrągłym brzuchem pod ciągle rozpiętą koszulą, z okrągłymi, mocarnymi ramionami i okrągłymi, tłustymi palcami. Był kowalem. Specjalizował się w robieniu pługów konnych. Stukał w kuźni przez całą zimę 80 pługów. Przed wojną klienci przyjeżdżali do niego nawet spod Żywca. Fach podpatrzył od starego Cygana, który kiedyś na wiosnę przychodził do wsi sprzęty naprawiać. Jako szczeniak biegał patrzeć za

Cyganem, aż pomyślał, że i on może to robić. Sam zbudował kuźnię, kupił z Witowa starodawny miech, z datą na drewnianej belce - 1846. Podobno chłopom z Chochołowa służył, jak do powstania przekuwali kosy na sztorc. Wtedy pierwszy raz stałem przed nim w kuźni, a on miarowo podnosił duży młot i walił w rozpaloną stal, odkształcając ją powoli. Egzaminował mnie przy tym Janiołek ze stosunków rodzinnych, kto za kogo poszedł, kto gdzie siedzi. Na szczęście babka z matką podszkoliły mnie trochę.

- Dobrze. Widzę, że nie kłamiesz – poczułem, że zdałem egzamin z pokrewieństwa. Zabrał mnie do chałupy i przedstawił krótko: Franek od Wendelina. Wiecie, tego od Maćka, kuzyna ojcowego, co na Chyżne poszedł siedzieć.

Na ścianie u Karpieli wisiały skrzypce. Gęśle i jeszcze prostsze w konstrukcji złubcoki. Smyczki, z potarganego końskiego włosia. Grał na nich ojciec Jędrzeja. Był tak stary, że nie nadawał się do żadnej roboty i w domu trzymali go na prawach seniora. Po skrzypce sięgnął, kiedy spędzałem z nimi pierwszy wieczór, bo uznali wspólnie, że do domu wrócę dopiero nad ranem, żeby się przez granicę przebić koło świtu.

Ojciec Janiołka, Jakub Karpiel wziął sobie żonę z Dzianisza. W jej rodzinie, to dopiero byli mistrzowie skrzypiec - ojciec i wuj. Za siedem złotych reńskich, specjalnie na ten cel przeznaczonych przez ojca, kupił młody Jakub Karpiel gęśle. Na niedzielę, albo w święto, wędrował przez góry do Dzianisza, podśluchiwał nut przygrywanych przez przyszłego teścia. Granie tak mu się spodobało, że nie chciał robić na gospodarstwie, bał się, że mu palce zgrubną i słuch straci. Kuba znał wszystkich wielkich góralskich grajków. Z każdym grał, o każdym może coś powiedzieć. Taki Bartuś Obrochta. Mówią o nim, że był pierwszy, bo jeszcze w latach trzydziestych zaczął grać dla turystów i gości. A do tego gadkę miał, wyjęzyczenie. Mądry był, to potrafił wokół siebie skupić ludzi. Przyjeżdżali letnicy do Bartusia, albo zapraszali go na kuligi, do Morskiego Oka, do Kościeliskiej. Kiedy pewien profesor postanowił opracować wszystkie 106 góralskich nut, to wybrał Bartusia do nagrania archiwalnego. Ale on sam przychodził się douczać na Nędzówkę, do starego Franciszka Fatli. Fatla to był grajek, choć samouk. I gospodarzył, i bardzo dobrze grał, ciężkie palce mu nie przeszkadzały. Z Fatlą zaś grywał teść Kuby z Dzianisza.

- Jeszcze zobaczycie, jak się wojna skończy, zacznie się czas na żeniaczki – mówił do nas stary Kuba – A kogo wtedy będą potrzebować najbardziej? Bab będzie więcej niż chłopów, bo tak zawsze jest po wojnie. Kucharkę, czy frajerkę znajdziesz w każdej wiosce, w każdej chałupie. Ale o dobrych muzykantów, to będzie kłopot. Fach to będzie, Jędreku, mówię ci, lepszy niż te twoje pługi.

Późno w nocy pożegnali mnie Karpiele i nowy ujek Janiołek zaprowadził mnie kilka chałup dalej. Musiałem sporą chwilę przestać na polu, zanim tam w środku wszystko ustalili. W izbie siedział młody, może dwudziestoparoletni gazda. Jak się okazało, stary przemysłnik. Jędreku oznajmił mi, że on – Józef Oskwarek, nauczy mnie fachu przemysłniczego.

A ja głupi myślałem, że pierwszy wymyśliłem przestępczy patent na zarabianie. Tymczasem z opowieści Józka Oskwarka, którą mnie poczęstował idąc pod księżycem przez pola do Chochołowa, wynikało, że trudnił się tym niemal co drugi w Podczerwonym, Pieniążkowicach, Bielance, Chyżnem, Witowie. Józek robił to od wiosny. Na jednym z pierwszych wypadów zauważył go koło Podczerwonego patrol Granzuschutzu. Myślał, że się schowa w którejś stodole we wsi, ale mieli psa, przyprowadził ich prosto do kryjówki Józka. Zabrali go strażnicy do szkoły. Nauczyciel tylko zdążył wygnać dzieciaki za miedzę, skąd słuchały, jak Niemcy bili Oskwarka. Łupkali go, jak z biczowiska. Dobili, że był cały czarny. Co drugi dzień wlekł się do mrowieczniaka i siadał. A mrówki żarły go niemiłosiernie, krew czarną jak gnojówka puszczając po ciele. Ale się wykurował.

- Jak chcesz kupczyć, to się spytaj dupy, czy wytrzymie – powiedział mi na koniec. On chyba spytał się swojej czy zniesie jeszcze jedno lanie, bo dalej kupczył przez zieloną granicę. Do końca dnia prowadziłem dialog z własnym zadem. Na samą opowieść Józka chodziły mi po nim mrowienia..

Chodziłem na Podhale średnio raz na dwa – trzy tygodnie i jakoś starczało na życie rodziny. Józek Oskwarek wprowadził mnie w tajniki przemysłniczej ekonomii, stopniowo sam znalazłem sobie odbiorców na przenoszone towary. Nosilem na Słowację, jak wszyscy, jajka, kury, sól. Ze Słowacji mąkę, cukier, spirytus i tytoń. Przemysł był opłacalny, bo w Trstieniu za 60 jajek można było dostać litr spirytusu 90- procentowego. Za taką butelkę spirytusu gość w Cichym płacił 250 złotych, tymczasem jedno jajo u gospodarza kosztowało złotówkę. Skupowała je dla mnie po sąsiadkach żona ujka Jędrka Karpiela. Na jednej butelce miałem więc blisko 200 złotych zarobku. Butelkę mogłem przenieść ze sobą nawet 20, ale gorzej z jajkami, bo się tłukły po drodze. Bezpiecznie można było przenieść najwyżej cztery kopy jajek, co dawało ledwie 4 butelki i 8 stówek zarobku.

Jajka nosilem do Trsteny, gdzie udawałem, że to z naszej, domowej hodowli. Parę razy zanieśliem też do sklepu Mano Steina. Mano coraz rzadziej pokazywał się za kontuarem, wolał nie kusić losu. Pewnie siedział gdzieś w domu, a sklep prowadziła jego „żona” Marysia. Jak jej trzeci raz przyniosłem cztery kopy jajek, od razu kupując spirytus, połapała się, że muszę je skądś przynosić. Za kolejną wizytą zapytała wprost, czy bym jej czegoś nie przeniósł do znajomych w Polsce. Za pośrednictwem wujka Jędrka i jego najstarszego syna podrzucałem odtąd paczuszki do Żydów w Czarnym Dunajcu. Były w nich korony słowackie, bardzo poszukiwany towar przez przemysłników. Idąc na Słowację z koronami zamiast jajek mogli od razu brać do Polski kilkanaście butelek spirytusu.

Latem 1942 roku Żydzi znikli z Czarnego Dunajca. Marysia od Mano przestała korzystać z moich usług, za które też parę groszy wpadało do kieszeni. Ten pochód czerwcowy, który wymiatał orawskich Żydów, a który widziała w Trstieniu moja starsza siostra, ominął jakoś szczęśliwie Mano Steina. Podobno w nocy przyjechali po niego, ale go nie zastali w domu. Ci ze służby bezpieczeństwa byli jeszcze raz czy dwa w sklepie u Maryski, szukali w domu. Mano się nie pokazywał, ale na mój nos siedział gdzieś w Chyżnem, przyczajony.

Ujek Jędrzej jako kowal znał się na koniach. Jeszcze przed wojną kupił sobie stare, zniszczone lando, z zamiarem, że je odremontuje i będzie w niedzielę w Zakopanem turystów wozić. Nie zdążył. Kiedy Żydzi znikli z Orawy i Podhala, Janiołek wymyślił, żeby spróbować interes zrobić ze Słowakami na koniach. Miałem przeprowadzić wywiad, czy się opłaci. Popytałem przez znajomych na jarmarku w Jabłonce. Cena była bardziej atrakcyjna niż przy spirytusie. Janiołek wziął na siebie kupienie dwóch klaczy na targu w Nowym Targu, my z Oskwarkiem mieliśmy je przeprowadzić do Jabłonki.

Po dwóch latach chodzenia przez granicę byłem już kozakiem pierwszej wody, wydawało mi się, że niczego się nie boję. Z Karpielami w Cichym żyłem na stopie lepszej niż z wujkiem Jaśkiem z Trsteny. Zdarzało się, że zostawałem na Podhalu po dwa – trzy dni. Wtedy pierwszy i jedyny raz namówił mnie Janiołek do wspólnej wyprawy do Nowego Targu, na jarmark po konie. - Za dużo ludzi jest w czwartek na jarmarku w mieście, żeby się Niemcy między nich wtrącali – przekonywał mnie, że będzie bezpiecznie. - Na Rynek, gdzie są stragany, nie pójdziemy. Zajrzymy tylko na zwierzęcą targowicę koło Dunajca.

Swojsko było na końskim jarmarku w mieście, żaden Niemiec nie wlaźby między taką kupę koni i podpitych chłopów, z obawy, żeby nie zostać kopniętym. Chłopy nie mają co robić jesienią, więc chodzą w błocie i końskim łajnie, gadając ze znajomymi. Wystarczy, że ktoś

przystąpi do transakcji, zaraz zbiera się wokół szeroka widownia. Poczciwe konie dają się oglądać, macać pod brzuchem, zaglądać pod ogon. Cierpliwie pozwalają podnosić nogi, zaglądać w kopyta. Najbardziej protestują przy wkładaniu ludzkiej ręki do pyska. A jak które się zdenerwuje, albo zmarznie, to faktycznie kopytem wierzgnie za siebie. Czasem kogo trafi. Zamówienie było na dwie klacze sokółki do roboty w polu. Janiołek dał mi przy okazji lekcję końskiego znawstwa, czym się różni sokółka od sztumskiego, jak poznać konia niewiadomego pochodzenia. Obszedł targ trzy razy, pogadał z gazdami, wreszcie wybrał dwie klaczki i zabrał się za przepędzanie. Konia trzeba przepędzić, przebiec się koło niego, żeby się pokazał, jak chodzi, z jaką gracją się porusza.

- Trzeba sprawdzić, czy ładnie lata. Jak nie lata, to i chodził nie będzie – klarował mi Janiołek.

Próby wypadły nieźle, więc kazał je ujeź zaprzęgać handlarzowi. Ludzie rozeszli się, żeby zrobić trochę miejsca. Podciągnęli wóz, zaprzęgli kolejno konie do dyszla. Potem kilkunastu chętnych zaparło nogi, chwyciło wozu, a handlarz okładał lejcami konisko, żeby ciągnęło. Reszta widowni ograniczyła się do cmokania i krzyku.

- Silny jest, ale leniwy. Nie chciał ciągnąć, ale się nauczy. Nie poznasz konia na jarmarku, dopiero w pracy wychodzi jaki jest - ocenił Janiołek, który już w duszy podjął decyzję, że kupi. Klaskali się z handlarzem po rękach przebijając cenę, wreszcie stanęło na zgodzie. Na skrawku jakieś gazety Janiołek zapisał ołówkiem, jak dojechać do handlarza z Kasiny, gdzie skręcić, który numer domu. - Jak mi kupiony koń zachoruje - zapowiedział - to go pakuję na wóz i zajeżdżam do handlarza po pieniądze.

Na koniec Jędrzej Karpieł z Cichego odwinął pieniądze zza koszuli, odliczył banknoty, srogo pociągnął gorzały, na znak, że transakcja zakończona.

- Wracamy do domu.

To był jedyny raz, kiedy dałem się namówić na przemyt z koniami. Następnej nocy przyszedł halny i rozmoczył świeżo podmarzniętą ziemię. Dwie klacze znaczyły swój ślad wyraźnie jak pióro na kartce. Chcieliśmy je z Józkiem Oskwarkiem przeprowadzić przed świtem do Chochołowa, dalej przez pola na Przybojcu, które dochodzą do samej granicy. Tuż za granicą zaczyna się bór torfowy i tam już nikt nas nie dopadnie.

Zaczynało się szare świtanie, kiedy dostrzegł nas patrol Granzschutzu. Wśród niemieckich strażników też trafiali się różni, jedni gorliwi, inni woleli niczego nie widzieć. Najgorszy, w opowiadaniach przemytników, był Filip z Podczerwonego. Strzelał bez zastanowienia, dwóch z Pieniążkowic zabił. Złapanych bił bez miłosierdzia czym popadło, choćby metalowym pogrzebaczem po głowach. Krążyła o nim historia, że kiedyś gonił chłopaka z Odrowąża i zgubił w młodniku świerkowym czapkę. Ten młody też był cwany, cofnął się i trafił przypadkiem na tę czapkę. Nasrał mu więc do środka i zostawił taki podarunek od przemytników.

Do nas też strzelał wtedy Filip. Gnaliśmy z Józkiem na kasztankach na oklep, w strachu że spadniemy przed granicą, a kule świszczwały nam przy uszach. Poczulem wreszcie, że to nie żarty, tylko gra o życie. O moje życie. Z bijącym sercem skoczyłem między drzewa.

Nelę zobaczyłem pierwszy raz na wiosnę. Miała modny beret, spod którego wypadała fura kręconych włosów w kolorze czasem rudym, czasem kasztanowym. Przez okno w kuchni patrzyliśmy z Józkiem Oskwarkiem, jak podjeżdża na rowerze i zręcznie zeskakuje przed domem.

- To Aniela, moja siostra, ale wołamy na nią Nela. A to Miś. Michał – przedstawił mi krótko przybyszy Józek.

Śmiali się między sobą, opowiadali Józkowi, co słychać w Krakowie. Drażniło mnie, że Miś od czasu do czasu pochylał się nad Nelą, dotykał jej włosów, muskał ustami jej ramiona,

jakby się chciał w nią wtulić. Wysoki, smukły, z falującą blond czupryną. Chyba wiedział, że podoba się dziewczyną. Ona zgrabnie mu się wymykała, zerkając czy brat, albo ja nie widzimy tych umizgów. Nela mieszkała u znajomych ich rodziny w Krakowie i przez cały rok uczyła się na tajnych kompletach w seminarium nauczycielskim. Miś był z Cichego, mieszkał przy rodzicach, ale prowadził jakieś rozległe interesy i co chwilę dawał poznać, że ma szerokie znajomości. Ja z zasady o sobie nie mówiłem nic. Pod wieczór Miś wyciągnął mnie za dom.

- Co tam na Słowacji, Niemców dużo?

- Mniej niż w Guberni – nie wiedziałem, do czego zmierza.

- Wiem o tobie więcej niż myślisz, ale możesz się nie obawiać – powiedział trochę protekcjonalnie. – Widzisz, my tu, zaczynamy się organizować, bo kres Hitlera prędzej czy później nadejdzie. Trzeba się przygotować, wyczyścić swoją ziemię z konfidentów, wypłenić ludziom z głów głupoty o Goralenvolku. Pogłupieli niektórzy górale, ze strachu albo z chęci ocalenia kogoś bliskiego, garną się do Niemców jak kundle do kucharki.

- A co to ma do mnie? Mnie takie wieści do przemytu bimbru niepotrzebne.

- Słyszałeś, co się stało pod Stalingradem? Piszą o tym w słowackich gazetach? Nie? Hitler pierwszy raz od Sowietów po dupie dostał. Jeden marszałek i 20 generałów, sto tysięcy wojska poszło na Sybir, na przewałkę, a 200 tysięcy wykończyli w polu, na mrozach. Wy tam na Słowacji prędzej czy później będziecie musieli pomyśleć, czy takiego sojusznika warto się trzymać.

- Hitler to nie mój sojusznik.

- Nie najeżaj się Franek do mnie. Mówię ci to wszystko, bo potrzebujemy pomocy kogoś takiego jak ty. Najwyższy czas, żebyś przestał myśleć tylko o sobie. Przy okazji spirytusu możesz przecież przenieść coś bardziej pożytecznego.

Pierwsza pożyteczna przesyłka nie była bardzo krępująca. Niewielka paczka zawinięta w szary papier. Miałem uważać, żeby się na nią spirytus w transporcie nie wylał, a gdybym miał wpaść, należało ją bezwzględnie zniszczyć. Zgodziłem się, chyba ze względu na Nelę. Nie chciałem wpaść na tchórza. Uśmiechnęła się tego popołudnia do mnie parę razy, promieniował od niej jakiś optymizm. Potem parę dni nie mogłem zapomnieć jej uśmiechu i tych rudych kosmyków pod beretem. A na myśl o Michale robiło mi się przykro.

W sobotę po południu pedałowalem drogą do Orawki. Na wzgórzu przy drodze stoi tam najpiękniejszy kościół Orawy. Wokół starych drzew pachniało świeżo malowanym drewnem. Znalazłem plebanię i zapytałem gospozię o księdza Marcina Jabłońskiego.

- Proszę księdzu powiedzieć, że ja z przesyłką ze Zwierzyńca – powiedziałem gospozi zgodnie z instrukcją Misia.

Proboszcz Orawki był potężnym, zwalistym mężczyzną po pięćdziesiątce. Oddychał dość ciężko, wziął ode mnie paczuszkę i ruszył do kancelarii. Poszedłem za nim, nie wiedząc co robić. Na wielkim biurku wyłożonym blatem z gumy rozciął sznurki i wyciągnął papierową teczkę, wiązaną na wstążki. Otworzył. W środku były jakieś papiery i pisma. Przeglądał je gorączkowo, niektóre dłużej trzymał przy oczach. Po długich minutach wreszcie przypomniał sobie, że ciągle tkwię w drzwiach.

- Z daleka?

- Z Chyżnego.

- Chodź do kuchni, gospodyni przygotowuje ci jakąś kolację.

Nie odmówiłem. Kiedy jadłem, siedział przy mnie i czekał, aż gospodyni wyjdzie z kuchni.

- W Krakowie byłeś?

- E, gdzie tam. Na Podhalu kazali mi to przekazać wielebnemu księdzu.

- Myślałem, żeś się widział z księdzem Ferdynandem.

- Z księdzem Machayem?

- Znasz go?
- Z opowiadań ojca. Tato znał go osobiście jeszcze z 1920 roku.
- Z Chyżnego jesteś? Czekaj. Od Michalaka Wendelina? Słyszałem o twoim ojcu. Przykro mi, że nie żyje. Trudne czasy się zaczęły dla nas, Polaków na Orawie. Nawet mnie dokuczają.
- Księdzu proboszczowi?
- Nie podoba się księdzu biskupowi Wojtaszkowi z kapituły spiskiej, że mu tu zostali na Orawie po parafiach księża Polacy. Wyrzucić nas nie może, bo my wszyscy tutejsi, tu rodzeni. Ale chciałby nas usunąć, tak jak urodzonych poza Orawą. A jak tam ksiądz Zaremba?
- Chyba jakoś żyje. Jest kilka rodzin, które mu w Chyżnem nie dadzą zginąć.
- Może ma przynajmniej więcej swobody niż ja, tu we swojej własnej parafii. Jeszcze do niedawna kazały mi władze przebywać w domowym areszcie, nosa nie mogłem wychylić poza Orawkę. A jak wychodziłem na spacer po wsi, to w krok chodził za mną agent tajnej policji. Nawet z ostatnim namaszczeniem wsiadał ze mną do sanek. Zresztą tyle ci powiem, że wśród parafian nie brakuje takich, co by na mnie chętnie donieśli do władz, gdybym tylko dał cię jakiegoś powodu.

Kiedy mnie odprowadzał do wyjścia spytał cicho.

- Wiesz, coś przywiózł?

Zaprzeczyłem głową.

- Należy ci się, boś życie narażał dla tej prawdy, którą kryją papiery przyniesione przez ciebie. Słyszałeś o Katyńskim lasku?

Zaprzeczyłem głową.

- Ksiądz Ferynand zlecił nam przechować na Orawie prawdę o Katyńskim lasku, zbadaną przez krakowskich profesorów. Niemcy mają rację. Sowieci wystrzelali potajemnie tysiące polskich żołnierzy. Te papiery tego dowodzą. Już zaczyna się wokół Katynia morze kłamstw i fałszu, z którego za parę lat trudno się będzie pozbierać. Ale tu, tu, są dowody! Gdybym zginął, wiedz, że trzeba je znaleźć u mnie na parafii. A teraz zamilcz o naszej rozmowie.

Zaschło mi w gardle. Myślałem o moim bracie Karolu, który stacjonował w Kołomyi, kiedy się zaczynał wrzesień 1939 roku. Matka wieczorami stale modliła się, żeby na tej Syberii miał co jeść, żeby nie zamarznął. Odtąd ja modliłem się: Boże, oby go nie było w Katyńskim lasku.

Chodziłem do Cichego nie tylko na przemyt, ale z nadzieją, że zobaczę rudą, kręconą czuprynę Neli. Miała wakacje i siedziała w domu. Za to jej znajomość z Misiem wyraźnie się rozwijała. Już bez skrępowania przy bracie pozwalała się nawet całować w szyję. Jeździli często razem na rowerach do Czarnego Dunajca albo do miasta. Zrobił się gorący lipiec i upalny sierpień. Ludzie chodzili ubrani skąpo, dane mi było przy tej okazji stwierdzić, że Nela ma figurę, która oddziałuje na mnie równie silnie, jak jej włosy. Byłem wściekły widząc ich razem, ale z drugiej strony ciągnęło mnie tam, do Oskwarków.

Dostałem od Misia drugie zadanie, ale wcześniej odbyła się mała, konspiracyjna uroczystość. W chałupie Oskwarków w Cichym pewnego wieczoru zastałem kilku obcych mężczyzn. Uprzedzono mnie wcześniej, że Szarota, dowódca oddziału, będzie chciał się ze mną spotkać. Józek Oskwarek przedstawił mnie jako Franka z Orawy, który zanosił paczkę do księdza w Orawce. Mężczyzna za stołem zaczął wypytывать o księdza Jabłońskiego. Powiedziałem mu, jak żalił się na słowacką bezpiekę i na swoich własnych parafian.

- Młodzi z Orawy na urlopach z wojska nie skarżą się na wschodni front? – pytał dalej. Domyśliłem się, że to Szarota.
- Rzadko ich teraz można w domu spotkać. Jedna rodzina dostała wiadomość, że syn zginął na froncie. Miał 20 lat.
- Zaopatrzenie dobre?
- Niczego nie brakuje, nawet tu jest co nosić.

- Wiemy, że o was na Orawie i Spiszu specjalnie dbają, a już poniżej Dolnego Kubina nie jest tak różowo z herbatą czy naftą. Słowacy na wszelki wypadek chcą po sobie zostawić dobre wrażenie na tych terenach. Gdyby Hitler przegrał wojnę, to Polska będzie wśród zwycięzców. Nasze wojska idą z aliantami. Wasze walczą przeciwko Sowietaom. Granica wróci na stare miejsce. W kraju powstaje podziemny rząd, musimy się dobrze przygotować do wyzwolenia. Będziemy potrzebować dobrych wiadomości także o tym, co się myśli u najbliższych sąsiadów za granicą, jakie są nastroje, gdzie się co szykuje. Tego byśmy chcieli od ciebie. No i jeszcze tego, coś już zdążył przećwiczyć. Przenoszenia dla nas czasem jakiegoś pakunku w jedną, albo w drugą stronę.

Musiałem przysięgać na wierność Polsce. Ja, formalnie obywatel słowacki, przysięgałem na wierność innemu państwu. Znowu przed oczami stanął mi tata, jak machał do mnie wtedy w Jabłonce, w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku. Szarota zakończył: Będiesz miał pseudonim Swok.

Zadanie, jakie przekazał mi Miś, było dużo bardziej skomplikowane niż przewiezienie jednej paczki. Miałem zorientować się, jakie są możliwości zakupienia na Słowacji broni, oczywiście na lewo. Szczególnie pożądana była broń krótka i maszynowa. Miś zaręczał, że na zapłatę dostanę złote dwudziestodolarówki. Dość szybko ustaliłem, że jeden z moich kolegów gimnazjalnych, Polak, jest teraz w wojsku w Dolnym Kubinie. Na dodatek w koszarach pilnuje magazynu z bronią. Umówiłem się z nim, że przekupi szefa magazynu i wyniesie z koszar karabin maszynowy i trzy pistolety. Dostarczyłem mu zawczasu jedną złotą dolarówkę. Problemem największym było jednak przewiezienie tego do Chyżnego. 40 kilometrów koleją do Trsteny i dalej 8 kilometrów wozem. Do domu w Chyżnem po broń miał przyjść Józek Oskwarek w towarzystwie dwóch ludzi od Szaroty.

Pojechałem po towar sam do Kubina. Złożony karabin i pistolety, zawinięte w koc, wypchały cały worek. Na dworcu kolejowym podłączyłem się do hałaśliwej grupy młodzieżowej, która jechała na obóz wypoczynkowy do Podwilka za Orawką. W Trstanie ledwie zaniósłem to żelastwo do domu wujka Jaśka. Na szczęście jego nie było. Ciotce powiedziałem, że to rzeczy kupione do gospodarstwa i poprosiłem o przechowanie w piwnicy. Następnego dnia przyjechałem po to wozem i zabrałem do Chyżnego, schowane wśród worków ze zbożem do zasiewu.

Józek przyszedł do mnie w nocy, przyprowadził dwóch, z których jeden wpadł mi w oko jeszcze w czasie spotkania z Szarotą. Mówili na niego Makus. Cały dzień musieli przesiedzieć u nas w stodole, więc sobie chwilę pogadaliśmy. Makus był z Raby. Orawę znał dobrze, bo jak sam opowiadał, chodził tu nie raz przed wojną na bitki. Zbierali się z chłopakami z Raby, wchodzili na jakieś orawskie wesele w Podwilku czy Podsarniu. Szukali zaczepki tak długo, aż wreszcie ktoś miejscowy nie wytrzymał i szły w ruch noże i sztachety. Nie raz przyszło mu wiać z poharatanymi plecami, albo rozbitą głową, ale wracał na następną wyprawę. W 1939 roku dostał wyrok za bitkę, w której kogoś poważnie poranił. Poszedłby siedzieć, gdyby nie przyszła wojna. Niemcy chcieli też go wsadzić do więzienia, ale Makus z kompanem poszedł do lasu i został chyba pierwszym kryjakiem na Podhalu. Wcale nie z patriotycznych pobudek. Kryli się po ludziach przez trzy lata, wreszcie podpici awanturę urządzili we wsi i wtedy granatowi policjanci zastrzelili jego kompana. Makus zaś uciekł i przystąpił do Szaroty, przysięgając, że już żadnych problemów nie spowoduje.

Ten drugi, którego pierwszy raz zobaczyłem u siebie, to był Eda. Pochodził z Cieszyna. Eda opowiadał, że uciekł z obozu w Oświęcimiu. Od niego pierwszy raz dowiedziałem się, że jest taka maszyna do uśmiercania, nazywana koncentracyjnym obozem. Mimo młodego wieku był już prawie całkiem siwy przez ten obóz. Po ucieczce spotkał się z dwoma Czechami, też z Cieszyna, którzy uciekali przed wcieleniem do niemieckiego wojska. Wspólnie płatali się

jakiś czas po lasach, aż trafili na grupę Szaroty. Rozmowa z nimi szła mi bardziej swojsko, mogłem się więcej dowiedzieć, co robią w konspiracji. Mieszkali w sumie może w dziesięciu w lesie pod Rabą Wyżną od początku wiosny. W ciągu lata ich grupa powiększała się coraz bardziej. Mieli swoją ziemiankę i zaufanych ludzi wśród miejscowych. Szarota polował całe lato na Wacka Krzeptowskiego, zwanego pogardliwie przez Makusa i Eda Goralenfirerem. Parę razy całym oddziałem szli po niego aż na Gubałówkę, a potem wymykali się z niemieckich obław. Mniejszych konfidentów tłukli pasami i kijami. Dwóch, w Czarnym Dunajcu i Rogoźniku, załatwili, bo nie wykazali poprawy po ostrzeżeniu. Eda opowiadał jak to się robi. Nożem prosto w serce, a w dziurę w piersi wkłada się białą czerwoną karteczkę.

- Chyba pierwszego konfidenta na Podhalu zatłukli dwaj bracia, co się ukrywali w Morawczynie u Stachników – opowiadał mi Eda – Janek był kapitanem lotnictwa, we wrześniu zestrzelił jego samolot, ale się uratował. Na pamiątkę zostały mu spalone ręce i skóra na twarzy. Jak spadł na spadochronie, wydała go jakaś Żydówka. Dlatego Janek nie lubił Żydów. Kiedyś przyszedł Żyd z miasta, co blachą dachy krył i chciał koszulę chłopom sprzedać za kopę jaj. Janek klepał kosę na podwórzu i kosiskiem wybił obcego. Pewnie musiał się potem Żyd zemścić i napisać do gestapo, że obcy siedzi w Morawczynie. Za kilka dni przyjechał jeden do wsi. Po polsku gadał jak swój, zagaduje Stachnika, że jest uciekinier i chce na Węgry się przedrzeć, szuka towarzyszy. Nie dali mu wiary. Zaczaili się bracia na niego gdy gościńcem wracał. Strzelał do nich, Marianowi dłoń przestrzelił, ale go dopadli jak się naboje w browningu skończyły. Przyznał się, że Ślązak, zdrajca, prawa ręka Hitlera, że żonę w Zakopanem zostawił. Noc się miała ku końcowi, bo się akurat Pyzowianie na grzyby wybierali. Nie mieli go jeszcze czym zastrzelić, obsiedli go we dwóch, Marian z okrwawioną ręką, ale zatkali mu głowę, kolanami wbili w ziemię i zakręcili na szyi powrozem. I nie wiadomo przy czym się bardziej namęczyli, przy uśmiercaniu, czy przy grzebaniu, bo w okolicy porządniejszego lasu nie było. Zawlekli Ślązaka do potoku, na skarpie pod drzewem zagrzebali. Miesiąc minął zanim go baba na borówkach naszła. Tak się na niego doczekała żona w Zakopanem!

Na początku września pojawiłem się znów w Cichem u Oskwarków. Nela już wróciła do Krakowa. Dom bez niej był pusty, tak że nawet Józek narzekał na kawalerskie życie. Opowiedział mi, że wieści od Szaroty są bardzo złe. Niemcy wpadli na trop, w Bielance aresztowano całą rodzinę Szepelaków, w której ojciec i syn byli w oddziale. Ojciec dostał pod własnym domem kulę. Zabili nawet starą babkę. Matka i syn siedzą w Zakopanem w willi Gestapo „Palace”, bici i przesłuchiwanie. Gestapo aresztowało też rodzinę Szaroty. Kilku jego ludzi zginęło. W oddziale panuje przekonanie, że ktoś sypie i Niemcy wyłapią wszystkich jak po nitce. Sam zacząłem się bać i przez miesiąc nie pojawiłem się w Cichem.

To miał być ostatni kurs przed zimą. Moja ulubiona pora roku na przemyt. Mróz, zmrożone grzęzawiska leśne, gleba twarda jak kamień i lada dzień pierwszy śnieg. Kiedy już spadnie, na granicy można będzie czytać ze śladów kto wędrował z nocnym towarem. Czekalem u Józka w Cichem, aż się noc zbliży do świtu. Księżyc świecił na podwórzu. Pies zaskowyczał i przestał, a potem odezwało się pukanie do okna, w umówiony, znajomy sposób. W drzwiach stał Eda. Za nim, w cieniu jeszcze jeden. Brutalnie wepchnięty do izby przewrócił się na progu i zobaczyliśmy, że ma z tyłu skrępowane ręce. W świetle naftowej lampy rozpoznaliśmy w leżącym Misia. Miał usta zatkane jaką szmatą, dusił się i charczał. Eda podniósł go za czuprynę i przystawił do głowy wyciągnięty zza paska pistolet.

- Wyciągnę ci knebel, ale jak psa rozwalę, jak będziesz krzyczał. – Eda szarpnięciem posadził Misia na zydłu i oparł o ścianę. – Ośmiu ludzi ma kurwa na sumieniu. Tak się skurwysyn zamelinował, że nikt, nawet Szarota go nie podejrzewał. A on meldował o wszystkim Gestapo, liściki słał do ciotki w Zakopanem.



- Józek, kurwa, znasz mnie – stęknął Miś do Oskwarka i w tej chwili Eda zdzielił go potężnie pięścią po twarzy.

- Skowycz bardziej, to cię tu załatwię, konfidencie. Ciekawe, kogo jeszcze zdążyłeś zakablować?

- Co z nim zrobisz? – Józek Oskwarek i ja nie mogliśmy się otrząsnąć z szoku, że Miś zdradził.

- Szarota gdzieś zniknął. Od miesiąca nie było z nim kontaktu. Przyszedłem dzisiaj po tego zdrajcę, ale przecież we własnej chałupie nie mogę go zarżnąć. Tu go zatłukę.

- Zwariowałeś? – Józek był blady jak ściana. Gdyby nie rewolwer, którego Eda nie wypuszczał z ręki, chyba by się na niego rzucił. – Chcesz, żeby Niemcy wystrzelali pół wioski?

- Wezmę go przed świtem pod Ostrzysz i zastrzelę, ale musimy trochę odpocząć. Drugi dzień nie spaliśmy.

Miś siedział na stołku i ocierał zakrwawioną twarz o kołnierz kurtki.

- On donosił? – zapytałem Edę. – Przecież on jest z wami od samego początku. Dlaczego miałby zdradzić?

- Ty nic nie widzisz, co się tutaj robi. Kto chodzi nocami aresztować naszych? Sąsiedzi ze wsi. Przebierają się w mundury Gestapo. Wskazują na domy tych do wywózki, do aresztowania. Po jakimu gadali ci „Niemcy”, którzy przyszli palić chałupę w Waksmundzie i mordować dzieci? Po jakimu gadali ci, co w Bielance zastrzelili starą babkę Szepelaków? I matkę zabrali ośmioletniemu chłopcu, zostawionemu na drodze? Powiem ci człowieku – po polsku gadali!

- Miś, kurwa, co się z tobą stało?!

Miś milczał, tylko skulił się jeszcze bardziej, jakby przeczuł, że ta eskalacja emocji skończy się dla niego nowym bólem.

- Skończyło się myślenie, że jakoś przetrwamy tę wojnę po cichutku, we własnych zagrodach. Wojna zaczęła się między nami i nikt już nie będzie stał z boku – Eda sam wyglądał na wykończonego, na skraju szaleństwa.

Odsunęliśmy stół i złączyliśmy ławy w jedno legowisko. Józek na posiłek wyjął resztki placków dla Edy. Potem Eda kazał się położyć przy ścianie związanemu Misiowi, sam legł obok. My z Józkiem poszliśmy spać do drugiej izby. Eda kategorycznie stwierdził, że nie może wychodzić z domu przed nimi.

Wśród nocnej ciszy obudził nas strzał. Miś z rewolweru mierzył do kogoś pod ścianą. Obrócił się do nas, z lufy pistoletu jeszcze unosił się dym. Na posłaniu charczał Eda. Krew lała mu się z rany na piersiach. Miś musiał jakoś rozwiązać sznur na przegubach i wyrwać Edzie broń.

- Przeszukaj go – Miś cały drżał, wyciągniętą ręką wskazał jednak na mnie. Przysunąłem bliżej lampę. Eda zaczynał drgać konwulsyjnie, aż się go bałem dotknąć. Oczy zachodziły mu mgłą. Pierwszy raz patrzyłem tak z bliska w oczy umierającego człowieka. Były jak oczy zarzynanych w moim domu świń, zapamiętane przeze mnie z dzieciństwa. Coraz bardziej szklane, spokojne, sztuczne. Wyjąłem mu z kieszeni parę szpargałów. Miś kazał mi go jeszcze obrócić i sprawdzić tylne kieszenie. W jednej miał notes. Miś porwał go gwałtownie, a nam się kazał odsunąć pod ścianę. Kartkował go na stole.

- No, chodź tu, Oskwarek, popatrz komu uwierzyłeś! Sam jesteś na tej liście. Ty, Nela, i ty, Swoku z Orawy też. Też by przyszli po ciebie.

Pozwolił nam się podsunąć do stołu. W notesie Edy była zapisana lista nazwisk. Zdziwiłem się, skąd zna moje nazwisko. Była przy nim data wrześniowej wyprawy po karabin maszynowy i dopisek – dostawa broni. Przy Anieli Oskwarek napisał – łącznik. Józek Oskwarek miał dopisek – melina, przemyt. Nerwowo szukaliśmy nowych zapisów: Szarota – Dusza Bolesław, Miętustwo 26 listopada 1943.

- To on stoi za zniknięciem Szaroty – oznajmił Miś. – Wierzycie mi wreszcie, czy jeszcze mam jakieś dowody wyciągać z tego trupa?

Do rana we trzech kopaliśmy w gnojowicy dół. Józek bał się, że jak będzie za płytki, to zacznie śmierdzieć w obejściu. My zaś baliśmy się ciągnąć zwłoki gdzieś do lasu czy potoku, gdzie by go zwierzęta mogły odgrzebać. Kiedy dół miał już ze dwa metry głębokości, wepchnęliśmy tam sztywniejące ciało Edy.

- Musieli go skaptować w obozie. Cała ta jego historia z ucieczką była jednym kłamstwem – Józek wygłosił mowę pogrzebową, spychając widłami gnój wymieszany ze słomą i białymi robakami.

## Rozdział V

*Jak na świecie robi się coraz gorzej, ale dla Franka nie to jest najważniejsze.*

Na Boże Narodzenie 1943 roku spadły solidne śniegi. Bałem się iść do Polski, przez te śniegi miałem sam dla siebie wytłumaczenie, że nie powinienem chodzić. Bałem się o rudowłosą Nelę, której nie widziałem od lata, bałem się czy notatki Edy nie trafiły wcześniej do Gestapo. Czy mnie też nie mają na swojej liście? Po tygodniu od wydarzeń w domu Oskwarków zacząłem się trochę uspokajać. Chyba by już po mnie przyszli?

Na Wigilię poszliśmy wszyscy do dziadka Stefana. Nazjeżdżało się rodziny, przyjechał z Trsteny wujek Jaśko z synami. Dawno ich nie widziałem. Odkąd Niemcy zaczęli przegrywać na wschodnim froncie, słowackim ludakom też trochę opadły nastroje. Wykorzystałem wieczór do wysondowania, co wujek myśli. On tymczasem z fanfaronadą wygłaszał hasła o taktycznych operacjach, pułapkach i niezwyciężonym Wehrmachcie, u boku którego stoi Slovenska Armada. Większą przytomnością wykazał się dziadek Stefan. Rzucił w pewnej chwili uwagę, że Słowaków nie brakuje już po obu stronach frontu. Janka powiedziała mi w zaufaniu, że dziadek Stefan po nocach słucha radia Londyn. Kiedy wracaliśmy po wieczery do domu, dziadek wyszedł w kożuchu przed dom. Pociągnął mnie na bok:

- Coś cię często nie można spotkać w Chyżnem?

- Wicie dziadku jak jest, młodych ciągnie do dziewczyn – próbowałem obrócić pytanie w żart.

- Ludzie we wsi wiedzą więcej, niż myślisz. Wieś ma tysiąc oczu, zawsze któreś może być otwarte w twoją stronę – perorował i czułem, że dobrze wie, o czym mówi – Pytanie tylko, kiedy i komu będzie się opłacało, żeby na ciebie donosić. Uważaj na siebie, synu.

Kilka dni po nowym roku dostałem kartę mobilizacyjną. Miałem się stawić za cztery dni w koszarach w Dolnym Kubinie. Spodziewałem się tego, ale nie myślałem, że tak szybko nadejdzie. Mama i Weronika płakały. Już widziały mnie zamarzającego na wschodnim froncie. Kartę dostał też kuzyn Jirzik, z którym penetrowałem w dzieciństwie zaułki Trsteny.

Przemyślałem sprawę. Sam środek zimy nie sprzyja ucieczkom i ukrywaniu się przed poborem. Na Podhalu oddział Szaroty albo doszczętnie rozbity, albo przynajmniej w rozsypce, na pomoc od nich nie ma co liczyć. Ja tymczasem przy dobrym układzie do wiosny przeczekam w jakimś garnizonie, zanim mnie pošlą do bitwy. Wtedy zawsze mogę spróbować uciec.

Źle nie trafiłem. W koszarach karmili nas nieźle, gonili do ćwiczeń umiarkowanie. Nauczyłem się obsługiwać broń, a uzbrojenie było u nas całkiem nieźle, jeszcze w spadku po Republice Czechosłowackiej. Trzymaliśmy się z Jirzikiem razem, dołączyło do nas jeszcze kilku znajomych z naszego rocznika z Górnej Orawy, między innymi Stefan Chowaniec z Podwilka. Chudy, wysoki, małomówny, ale jak się okazało, solidny i godny zaufania przyjaciel.

- Zobaczysz Franek, jeszcze będziemy o tym wszystkim opowiadać wnukom – mówił do mnie Stefan, kiedy wieczorami po capstrzyku leżeliśmy na pryczach jeden obok drugiego. – Do nas, do Podwilka, przyszedł niedawno młody ksiądz ze Słowacji, świeżo po święceniach. Założył kółko teatralne i zaczął pisać kronikę wsi. Gdzieś w archiwum kapituły spiskiej znalazł jakieś dokumenty, że tędy chodzili przed wiekami pasterze. Zobaczysz Franek, ja będę pisał tę kronikę dalej, do współczesnych czasów i opiszę w niej wszystkie nasze przeżycia. Tylko czy ktoś to będzie chciał kiedyś czytać?

Szkolenie zakończyło się błyskawicznie, po miesiącu mieliśmy przysięgę, którą jakoś bezgłośnie wymamrotałem, bo wcale nie chciałem przysięgać na wierność Republice Słowackiej i jej prezydentowi. Nawet nie zdążyłem się pojawić w domu, choć liczyłem, że może puszcza na jeden dzień i wtedy po prostu nie wrócę do koszar. W lutym już jechaliśmy pociągiem z całym batalionem przez Rumunię w kierunku na Odessę. Mieliśmy być przerzuceni statkami jako odwody dla naszych dywizji odciętych na Półwyspie Krymskim, ale zanim tam dotarliśmy, już je ewakuowano. Dołączyliśmy do frontowych oddziałów w Konstancy, na początku marca. Jeszcze nie powąchaliliśmy prochu, a już czuliśmy przerażenie, widząc resztki naszych oddziałów, uciekających przed Armią Czerwoną z Krymu. Nie wygojone rany, wszy, głód, szkorbut. Chęci do walki nie miał nikt, łącznie z dowództwem, które chyba najlepiej czuło klęskę sojuszu z Niemcami. Niemcy przynajmniej mieli czego bronić, a my?

Cofaliśmy się przez Republikę Naddniestrzańską. W Tiraspolu naszą kolumnę zaatakowały sowieckie samoloty. 30 samochodów spłonęło pod ogniem. Widziałem, jak koledzy, którzy nie zdążyli uskoczyć, płoną żywcem, w powietrzu aż śmierdziały ludzkie spalone ciała.

Resztki naszej kompanii przekwalifikowano na saperów. Kopiąc okopy dla Niemców cofaliśmy się przez Mołdawię, Rumunię, na Węgry. Jakś pod koniec sierpnia nocą do jednostki przyszedł tajny telegram z słowackiego ministerstwa wojska, żeby najszybszą drogą wracać na Słowację. Wokół pełno jednostek niemieckich, dowódca kazał się nam rozproszyć i w małych grupach przebijać do kraju. Zupełnie nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Poczta nie działała, od tygodni nie mieliśmy żadnych wiadomości z domu, ze świata. Widzieliśmy jednak, że dla Niemców nasz odwrót, to dezercja. W mojej jednostce było siedmiu Orawiaków, dobraliśmy się razem, bo raźniej wśród swoich. Gdzieś na Węgrzech zatrzymaliśmy się w małej wiosce. Był upał, przy studni znaleźliśmy trochę cienia. Starsza kobieta przyniosła nam chleba, zaczęliśmy jeść, kiedy nadjechał samochód i wysiadł z niego Niemiec w mundurze majora Wehrmachtu. Zasalutował i zaczął coś mówić po niemiecku, z czego zrozumieliśmy tylko: haus, haus – dom, dom. Pokazał, żebyśmy wsiadali do jego łazika, karabiny z przodu, żeby było wygodnie. Zabrakło nam wszystkim odwagi, żeby to przerwać. Przecież mogliśmy go spokojnie rozbroić, zastrzelić, zabrać samochód, uciec. On tymczasem zawiózł nas do miasteczka, na stację kolejową. Za stacją wjechał za drewniany płot z drutem kolczastym i zobaczyliśmy setki słowackich żołnierzy, wyłapanych przez Niemców w drodze do domu. Wpadliśmy jak głupie śliwki w kompot.

Dopiero w obozie dowiedziałem się, że w Bańskiej Bystrzycy na Słowacji wybuchło powstanie przeciwko Niemcom. Zaczęły oddziały partyzantów sowieckich i słowackich, zrzuconych ze wschodu. Rząd z prezydentem Tiso poprosił o interwencję niemiecką i na Słowację wkroczyły regularne dywizje niemieckie. Wtedy przeciwko słowackiemu rządowi wystąpiło własne wojsko. Generał Czatłosz wydał rozkaz wzywający wszystkie dywizje słowackie do przedzierania się w rejony opanowane przez powstańców. Wszyscy już czekali na klęskę Niemiec, ale szybko okazało się, że z tym powstaniem wystartowaliśmy za wcześnie. To Niemcy zaczęli dawać łupnia powstańcom.

W obozie dla słowackich internowanych co dwa dni pod eskortą posyłali kilku naszych ludzi na stację kolejową po worki z mąką i ziemniakami. Wkręciłem się do służby kwaterunkowej, po dwóch tygodniach wreszcie i mnie posłali po prowiant na stację. Szedł z nami jeden Niemiec z pistoletem maszynowym. Młody chłopak, może nawet młodszy ode mnie. Na końcu peronu były małe magazyny, w których wydawano nam ziemniaki. Poszliśmy tam we dwóch. Pierwszy wszedłem do zimnego pomieszczenia. Na podłodze leżał drewniany palik, pewnie do podpierania drzwi. Wykorzystałem moment, kiedy człowieka wchodzącego z pełnego słońca oślepia półmrok. Uderzyłem palikiem, celując w szyję pod hełmem. Byłem

jak maszyna. Decyzja zapadła, pozostaje tylko determinacja. Albo się uda, albo to mój koniec.

Biegłem dwie godziny na chybił trafił, polami, potem przez las. Liczyłem, że mam z pół godziny, zanim znajdą Niemca, albo sam odzyska przytomność. Za lasem wpadłem zdyszany do domu starszych ludzi. Nawet nie próbowałem mówić. I tak by nie zrozumieli. Po mundurze zorientowali się, że uciekam z obozu. Dali mi cywilne ciuchy i mapę, wyrwaną z atlasu geograficznego, bo okazało się, że swoją ucieczkę rozpocząłem dokładnie w drugą stronę. Pokazali mi jeszcze na mapie gdzie się biją ze Słowakami. Postanowiłem więc iść prosto na północ, na Spisz, a potem górami spróbować się dostać do domu. Po tygodniu koło Lewoczy wlałem prosto na ruski oddział partyzancki. Powiedzieli mi, że mnie rozstrzelają, bo uciekłem z wojska żeby nie iść do powstania. Wstawił się za mną Słowak, kapitan, który w 1942 roku wpadł do radzieckiej niewoli na froncie wschodnim i zgłosił się tam do partyzantki. Szybko podziękowałem Sowietom za współpracę. Drugiej nocy uciekłem. Oni akurat szli w Niżne Tatry. Mnie udało się z wielkim szczęściem w dwa dni dojść na Górną Orawę. Trzeciej nocy pukałem do okna swojego domu w Chyżnem. Wyglodzony, z nogami obdartymi do krwi, ale żywy.

Bogu dziękowałem widząc wszystkie moje dziewczyny – babkę, matkę i siostry żywe i zdrowe. Weronika wprowadziła mnie też w lokalne aktualności. Na początku września we wsi pojawiły się afisze, że mężczyźni mają się zgłaszać do koszar w Dolnym Kubinie, do powstańczego wojska. Tamtejsze dowództwo garnizonu ogłosiło kolejną mobilizację, tym razem do powstania. Chłopy stanęły przed dylematem, po czyjej stronie się opowiedzieć. Za prezydentem Tiso, czy przeciwko niemu. Kilkunastu poszło rano do spowiedzi, a potem pojechało furmankami do Kubina. W koszarach dali im broń, granaty, niektórym nawet mundury. Część zaraz odesłano do domów. Część została w oddziale, który stacjonował w szkole w Kubinie. Siedzieli tam spokojnie jakieś dwa tygodnie. Potem nadeszła wiadomość, że Niemcy jadą drogą od północy i nadporucznik Fit kazał zajmować pozycję na Gałęczkowej Górze nad Trsteną z dobrym widokiem na szosę idącą od Jabłonki i dalej z Polski. Postrzelali trochę do Niemców, Niemcy postrzelali trochę do nich. Potem porucznik Fit przybiegł, krzycząc, że ich okrążają. Uciekli potokiem w stronę miasta i w rozsypce pałętali się po okolicznych lasach, ukrywając przed Niemcami. Po tygodniu takiej tułaczki zaczęli cichcem wracać do swoich wiosek. Niemieckie oddziały stanęły w Trstenie, w Jablonce.

- Chyżne się podzieliło – opowiadała mi Weronka, a ja leżałem z nogami nasmarowanymi psim sadłem od jednego znajomego psiarczyka. – Tych chłopców, co poszli do Kubina, Niemcy niedawno zabrali do kopania dołów na front pod Babią Górą. Nic im nie robią, tyle że muszą tam siedzieć i pracować. Powiadają, że to ksiądz Michalak wydał im listę „powstańców”, bo wiedział, kto tego ranka przyszedł do spowiedzi, a potem wsiadał do furmanki. Zaś ci, co nie poszli do powstania, też się zmagają, żeby jakąś milicję powołać.

- Na przemyt kto chodzi? Są jakieś wieści z Podhala?

- Na Orawę to teraz z Podhala idą nie przemysłowcy, ale bandyci nocni. W Chyżnem jeszcze spokój, ale w Piekielniku, Podsarniu, Orawce już były odwiedziny band. Brali konie, krowy, świnie. Jak ktoś się bronił, to bili do nieprzytomności albo strzelali.

- A co dziadek Stefan? Co wujek Jano? Jirzika widziałem ostatni raz w obozie na Węgrzech.

- Wiesz kogo przyjął dziadek do ukrycia w swoim domu? Mano Steina, tego sklepikarza! Janka mi mówiła, że siedzi u nich schowany na strychu. Dziadek nie chodzi na żadne spotkania, jakby miał dość polityki. Co z wujkami w Trstenie nie wiem, byliśmy tam z mamą jeszcze latem.

- Mano żyje? Muszę iść do niego.

- Janka opowiada, że jest w strasznym stanie. Szaleństwa gada, że Bóg Izraela pokarał go za zdradę.

Tydzień nie ruszałem się z domu. Pamiętałem słowa dziadka – komu się akurat opłaci donosić na mnie? Potem zacząłem chodzić po kolegach i zrozumiałem, że teraz, to nawet nie ma do kogo donosić. Do Niemców nikt się nie kwapił. Ruski oddział partyzantki siedział gdzieś na Babiej Górze, inne w Tatrach. Nie było wiadomo, kto z kim trzyma, gdzie ma przyjaciół. W karczmie schodzili się chłopcy i radzili, że my Słowacy, musimy się teraz trzymać razem. W kupie siła. Na mnie jednak zaczynali mruczeć, że Polak i szpieguję ich zamiary. Mimo to trochę ośmielony, wybrałem się w sobotę wieczorem do karczmy.

Dosiadł się do mnie Karol Łaciak, którego syn też poszedł na front wschodni. Chciał pogadać, jak tam jest, wiedział, że się urwałem. Nie kwapiło mi się do opowieści. Nie chciałem uchodzić za dezertera, bo władza w Trstenie jeszcze jakaś była, choć w rozsypce. Kto wie, kiedy się pozbiorają i chwycą nas za mordy? Czekaliśmy aż nam piana opadnie w kuflach, gdy do karczmy weszło czterech w podartych mundurach, z karabinami maszynowymi na plecach. Umilkło w karczmie, oczy wszystkich podniosły się znad kart i piwa. Jeden po rusku kazał nalać wódki dla wszystkich. Z kieszeni wyjął garść banknotów stukoronowych. Wypili haustem po szklance wódki.

- Zostać tu – rozkazał głośno ten co zapłacił, gładząc dłonią po lufie za szyją. Ruski przeżegnał się, a potem głośno zarechotał. Zgłupieliśmy.

- Idziemy przeżegnać wam księdza – oznajmił. Pięć minut potem od strony plebani i kościoła rozległy się strzały.

Wyskoczyłem tylnymi drzwiami. Opłotkami pogałem w górę wsi. Ziemia znów była zamrznięta, noc bez księżyca, choć gwiazd na niebie dużo. Plebania była całkiem ciemna, na piętrze co chwilę błyskało od wystrzału. Ksiądz Michalak był myśliwym, miał w domu dubeltówkę, a drzwi barykadował na noc już od czasów powstania. Ruscy dobijali się do nich i strzelali z pepesz po oknach. Przywarłem do drzewa przy chałupie najbliższej plebani. Drzwi od chałupy zaskrzypiały. Wybiegł z nich Ignacy Jasiura w samych kałesonach. Upadł obok studni, z lampy naftowej rozlała się nafta. Mały pożar oświetlił plac boju. Jasiura się nie podnosił, od drzwi przeraźliwie darła się jego żona. Słysząc było, jak po opłotkach zbiegają się ludzie. Ktoś wołał po niemiecku o pomoc.

- Won, won poszli – krzyczał Ruski, wymachując swoją pepeszą. – Job wasza mać. Idziemy – zawołał do swoich. Schylając się wzdłuż płotu, zanim wyszli z pola rażenia proboszcza, ruszyli z powrotem w dół wsi, w stronę Babiej Góry.

- Żeby was niebo przekłęło! – wyła za nimi Jasiurowa klęcząc przy zwłokach męża. Szarpała go za okrwawioną koszulę - Ignacy. Ignacy!

- Mano. Mano! – szeptałem coraz głośniejszym głosem. Dziadek Stefan Zbela miał piękny murowany dom z gankiem, wśród dorodnych jasionów. Janka dyskretnie przeprowadziła mnie przez podwórze. Po drewnianych schodkach wchodziło się na poddasze – po jednej stronie pokój zajmowany przez moją siostrę, po drugiej lamus, składowisko staroci. Pchnąłem drzwiczki z okuciami. W smudze światła między dachówkami wirowały cząstki kurzu. Pobieglem wzrokiem po jasnym promieniu jak po wstążce. Na siennym materacu ktoś się poruszył.

- Chłopcze, to ty? – spytał cień. – Janka powiedziała mi, że wróciłeś.

Kucnąłem, poszukałem jego ręki. Wyglądał jak prawdziwy Żyd z obrazków, z długą brodą.

- Przynosisz ze sobą świeże powietrze. Dawno nim nie oddychałem. Jesteś dla mnie dowodem, że tam, za drzwiami, jeszcze istnieje jakiś świat. Ja go tylko słyszę; gdakanie kur, krowy w oborze, ludzi, kiedy pokrzykują do siebie. Nie widziałem go od dawna, a jeszcze wcześniej przestałem rozumieć, co się na nim wyrabia.

- Mano, ja też muszę się ukrywać. Ruskie wojska już idą. Najwyżej trzy miesiące i wszyscy wyjdziemy z kryjówek. Wytrzymasz, skoro tyle wytrzymałeś.

- Ja się wcale nie ukrywam. Ja wiem, że przed swoim losem nie ucieknę. Czekam tu tylko, bo twój dobry dziadek pozwolił mi leżeć spokojnie i myśleć sobie o dawnej Orawie. Kiedy i ja byłem tu szczęśliwy. Już nie ma chłopce tej Orawy. Gdzieś zaginęła. Zgubiliśmy ją wszyscy. „Orawa, Orawa, na Orawie ława ... „ – nucił.

- Co ty mówisz, Mano!

- Strach, ludzki strach zmienił naszą słodką, piękną dolinę. Ludzie się boją, jeden drugiego. Ze strachu ptaki nawet własne pisklęta wyrzucają z gniazda. Ty to znasz. Byłeś na wojnie. Uciekłeś przed strachem do domu. Tymczasem on już tu jest. Podpełzł jak nocna mgła, z torfowisk. Wszyscy w nim brodzimy.

- Czas jest zły, ale już widać koniec.

- Ja się nie boję. Nadzieję się dla mnie śmierć. Mnie moja mądra mama dała na imię Emanuel, co znaczy Bóg z tobą. A mnie Bóg tu zostawił. Zabrał do siebie wszystkich dobrych Żydów, o mnie zapomniał. Może to kara za moją zdradę własnego narodu? Dla mnie śmierć będzie znakiem, że Bóg mi wybaczył. Widać jeszcze na nią nie zasłużyłem. Ale ty nie myśl, że nadchodzi koniec tego strachu. On zostanie, tylko bać się będziecie już kogoś innego.

Po zdarzeniu z księdzem Słowacy założyli regularną milicję. Za zgodą Niemców z Jabłonki dostali broń. Nocami chodzili na warty po wiosce i raczej należało ich unikać. Jak kogoś brali za Polaka, choćby był sąsiadem, potrafili kolbą po plecach przejechać. Przyszli zresztą do tej Hlinkowej Gwardii także zupełnie nieznajomi, z sąsiednich miejscowości.

Niby przybyła nam obrona przed bandami, ale wieczorami siedzieliśmy w izbie wsłuchując się we wszelkie obce odgłosy. Mama wyszykowała w piwniczce za domem miejsce do ukrycia. Zaniosła tam wodę, napieczonych placków, które wymieniała co parę dni, kiedy je myszy nadgryzły. Pomogłem jej zanieść dwie ławy do piwniczki i trochę darniny przy wejściu.

Padał śnieg grubymi płatami. Przez podwórko biegła do nas Janka, zdyszana dopadła do mnie, kiedy zamykałem oborę.

- Co jest Janka, przecież wieczór, czemu sama chodzisz? – oderwałem siostrę od siebie. – Mamo, Janka przyszła!

Dobrą chwilę dziewczyna nie mogła odzyskać głosu. Zatchnęła się z biegu, z przerażenia. Mama z Rozalią trzęsły nią, szarpały, klepały po twarzy.

- Mano! – szlochała – Zabili go. Dziadka Stefana obili.

- Kto?

- Hlinkowcy. Przyszło trzech, ale nie znam. Żyda dawajcie – krzyczeli. Dziadek drzwi chciał zatarasować, to go tłukli karabinami. Szukali Mano na strychu, ale on do mojego pokoju przyszedł. Krzyki usłyszał na dole. Wszedł do szafy, przykryłam go ubraniami. I wtedy ten z gwardii wpadł. Popatrzył na mnie i od razu ruszył do tej szafy. Szarpał za drzwi, a potem strzelił. Raz, drugi, trzeci. Boże mój, ja widziałam, jak on go zabił. Ja widziałam, jak Mano upadł z tej szafy i rękę wyciągnął do mnie. Ja już chciałam, żeby się przestał ruszać, a on tą ręką do mnie i ustami coś mówił! Boże!

- Franek – szarpnęła się do mnie. - Ty uciekaj! Oni mówili, że Polaków teraz będą strzelać tak samo jak Żydów.

Znów gnałem przez las, paliłem małe ognisko przed pasterskim szałasem na borach. Bałem się, że zmęczony zasnę i obudzę się dopiero rano, a przecież przed świtem znów miałem przeskoczyć granicę. Zacząłem w myślach rozmawiać, pół drzemiąc snułem coraz bardziej nierealne debaty z ojcem, z Mano Steinem. Pouczałem Weronkę, żeby się nie wiązała z Żydem, bo wszyscy porządni Żydzi idą do Boga, a ona ma zostać. Matka by nie przeżyła jej odejścia. Znów mi przed oczami maszerował ojciec drogą w Jabłonce i uśmiechał się

porozumiewawczo. – Tatko, czekajcie – wołałem za nim. Wtedy też chciałem za nim biec, ale wydawało mi się, że nie mogę, nie wypada, że mi na to nie pozwolą. – Nie idź. Zostań ze mną – prosiłem ojca. – Nie idź – mama prosiła mnie, gdy pakowałem plecak na przemyt. – Strach już wychodzi z borów jak mgła. Utoniesz w tej mgle chłopcze – Żyd z Chyżnego był tylko promieniem światła. A Nela spocona stawiała swój rower przed domem. Chlapała wodę w wiadrze przy studni. Odgarniała rude włosy: – Wszyscy byliśmy na tej liście Edy. – mówiła Nela. – Zabili mnie, Franek. Zamęczyli mnie. Ale ty mnie pamiętaj. Otrząsnąłem się przerażony z tej wizji. Ogień na grubych polanach dogasał, a mnie mróz wychłodził nogi do zeszywnienia.

Chciałem się ukryć u ujka Janiołka w Cichem. Wizja Neli przeraziła mnie tak bardzo, że dygotałem całą drogę, choć pod kozuszką od dziadka łał się ze mnie pot. Biegłem zupełnie nie zważając na ostrożność. Gnałem drogą od Chochołowa do Cichego i dopiero we wsi zdałem sobie sprawę, że muszę zejść w opłotki, żeby się nie rzucać w oczy. Nogi niosły mnie same. Wyszedłem do zagrody Oskwarków razem z promieniami wschodzącego słońca. Po mroźnej nocy wstawał ładny dzień, nad wzgórzami wyraźnie wystawały w niebo ostrza tatrzańskich skał. Pies zaszczeakał, ale poznał mnie. Owczarek przylgnął mi do nogi i wtedy otworzyły się drzwi od obory. Nela niosła w ręku wiadro świeżo udojonego mleka.

- Franek – Nie bała się do mnie przytulić. Miała takie ciepłe policzki od snu. – Bałam się, że ciebie już nie zobaczę.

Rozmawialiśmy przy mleku jak para starych przyjaciół, aż nie wierzyłem, że mogę z nią rozmawiać tak swobodnie i milczeć bez żadnego skrępowania. Jadłem jajecnicę, a ona opowiadała.

- Widzisz, jajek nam nie brakuje, bo teraz nikt już ich nie wynosi na przemyt – stała przy kuchennym piecu. Patrzyłem jak dokłada polana pod blachę, jak mocuje się z wielkim garnkiem na mleko.

- Józek jest w lesie, siedzi w Gorcach z partyzantami. W sierpniu miała być u nas akcja przejmowania władzy w kraju przed frontem, ściągnęli wtedy chłopców do lasu, ale się wstrzymali, bo do frontu jeszcze daleko. I dobrze, byliby ich tak zdusili jak naszą Warszawę albo waszą Bańską Bystrzycę. Teraz chodzą z Ruskimi wysadzać jakieś mosty bo front już gdzieś za Nowym Sączem. We wsi ludzie trochę odżyli, nawet ci, co mają radio, to rano rozpowiadają, co usłyszeli nowego. A ja tu siedzę samiuteńka jak gaździna i czekam, aż się skończy ta wojna. Chcę iść na studia. Pewnie wszystko ruszy w Krakowie od jesieni. Niemcy rzadko się teraz pokazują w Cichem. Podobno kopią rowy gdzieś pod Łopuszną.

Omijała temat Misia. Słuchałem i czekałem na moment, żeby się wtrącić. Zauważyła, jak trwam w wyczekiwaniu.

- Miś nie żyje – domyśliła się mojego pytania. Przysiadła naprzeciw mnie przy stole, bokiem na skraju krzesła. Twarz miała spokojną. - Wiem wszystko, jak to się stało z Edą. Józek mi opowiadał. Miś potem ukrywał się u jednej baby w Kościelisku. Na Boże Narodzenie zeszłego roku przyszli po niego, ale nie dał się wziąć żywcem. Strzelał, próbował uciekać. Zabili go w ogrodzie za domem, a całą rodzinę wywieźli do obozu w Płaszowie. Zostało kilku ludzi od Szaroty, ale poszli w Gorce, bo tam teraz główny matecznik dla partyzantów. Siedzą tam i Ruscy, i ci od ludowców, i ci od komunistów, i najwięcej jest tych z Armii Krajowej. Już się żrą między sobą. Szaroty nikt nie widział od zeszłej jesieni. Konfidentów dalej nie brakuje. Może ze trzy miesiące temu spadł na borach amerykański samolot, wracał z bombardowania do Włoch. Piloci wyskoczyli. Trzech spadło na naszej stronie i taki jeden z Chochołowa zameldował ich Niemcom. Podobno ich zamęczyli w Zakopanem. A reszta uciekła, i to gdzie, na Słowację!

- Słyszałem o nich w Chyżnem. Podobno słowaccy filance pomagali ich zwozić z torfowisk do kryjówek. Ale się sojusze odwracają.



Zacząłem jej opowiadać o sobie, ale ona widząc, jak mi się język ze zmęczenia plącze, zaprowadziła mnie do izby. Ledwie się ściągnął koszulę i spodnie dopadł mnie głęboki sen. Jak to dobrze, że nic mi się nie śniło.

Następnego dnia chodziłem za nią jak piesek po podwórku. Gadaliśmy bezustannie. Nela opowiadała o ostatnim roku na Podhalu, o coraz silniejszej partyzantce, likwidowaniu konfidentów. O tym, że Goralenfuhrer Krzeptowski ukrywa się teraz w Tatrach nawet przed Niemcami. Ja w rewanżu mówiłem, jak nas Armia Czerwona goniła od Morza Czarnego. Potem coraz więcej zaczęliśmy mówić o tym wszystkim, co jest poza wojną, poza polityką. O sprawach, które dotyczą mnie, albo jej, no może jeszcze kogoś w gronie najbliższych. O prywatnych problemach, najbardziej własnych myślach. Ja jej opowiadałem o mojej rodzinie na Orawie. O dwóch dziadkach – Polaku i Słowaku. O wujku Słowaku i ojcu, który zginął za Polskę. O siostrze, co się nierozumnie zakochała w Żydzie.

- Nas wychowywali dziadkowie. Ojciec, kiedy byłem malutka, wyjechał do Ameryki – mówiła Nela. Pierwszy raz mogłem się czegoś więcej dowiedzieć, dlaczego właściwie z bratem mieszkają zupełnie sami. – Początkowo pisał, składał dolary na powrót. Listy przychodziły coraz rzadziej. Przestał odpowiadać na listy mamusi. Nawet na święta opłatka nie przysyłał. Ktoś ze wsi wrócił z Chicago, to opowiedział, że ojciec znalazł sobie nową żonę. Najpierw szukał kogoś do pomocy, żeby życie taniej wypadło. Wiadomo, baba opierze, ugotuje, a on miał już swój własny pokój w Chicago. Potem, jak już ją miał w tym pokoju, to jak to chłop, jeszcze inne potrzeby wymyślił. Ten ze wsi opowiadał, że tam w Ameryce, jak nasi jadą bez żon i rodzin, często się łączą w pary, żeby taniej było.

- Mama przeniosła się do swoich rodziców. Ciężko to przeżyła. Potem przyszła choroba, suchoty, szpital. Umarła, kiedy miałam 7 lat. Babka nauczyła nas nienawiści do ojca, ale teraz, kiedy dorosłam, staram się choć trochę go zrozumieć. Zupełnie go nie pamiętam. Józek jest starszy. Zapamiętał tatę, bo mu strugał konika na biegunach. Więc kiedy tak myślę, co zrobił i zastanawiam się, jak ja bym postąpiła, to widzę, że był bardzo słaby. Słabość to nie jest przecież grzech. Czy od niego zależała ta słabość?

- Staram się być silna. Ta moja szkoła dla nauczycielek, ten pomysł z Uniwersytetem, to dlatego, że chcę kierować swoim życiem. Jak byłem mała, zabrał mnie kiedyś dziadek na jarmark do miasta. Występował tam przewoźny teatrzyk dla dzieci. Zobaczyłam kukiełeczki w okienku i ciekawska poszłam zajrzeć od tyłu. A tam siedział starszy pan i trzymał w rękach żyłki, przywiązane do kukiełek. Mojemu tacie ktoś te żyłki poodcinał. A może sam sobie na to pozwolił? Ja nie chcę nikomu oddać niewidzialnych ciągadełek do mojego życia.

Nela miała w sobie tyle wrodzonego wdzięku, że chciało się na nią patrzeć i patrzeć. Ruszała się jakby ktoś dla niej specjalnie wymyślił ten taniec. Po kolacji nastawiła wielki garnek wody na piec, potem pomogłem jej wnieść z komórki balię do kąpieli. Wypchnęła mnie za drzwi i kazała spacerować. W oknie powiesiła prześcieradło. Chodziłem ostrożnie po podwórku, żeby się na lodzie nie przewrócić. Ciągnęło mnie do tego jasnego czworokąta, żeby choć zobaczyć, czy zasłonka dobrze przylega do okna. W końcu sobie nie pozwoliłem. Pomyślałem, że w drobnych sprawach też trzeba kierować swoim życiem.

- Franek, możesz tu zostać, zanim się front nie przesunie – mówiła dokładając ostatni raz do pieca grube kawałki drewna i zamykając popielnik, żeby bez tlenu w palenisku żarzyło się jak najdłużej. I tak rano zawsze wstawało się skostniałym.

- Co sobie sąsiedzi o tobie pomyślą?

- Kto cię będzie widział? Jest wojna, w wojennych czasach uchodzi znacznie więcej niż normalnie. A poza tym niczego złego przecież nie robimy?

- Skąd wiesz co będziemy robić? Dziadek Stefan mi powiedział, że wieś ma sto oczu i któreś zawsze cię podpatrzy! Co dopiero taką pannę, bez rodziców, rodziny, za to najładniejszą we

wsii, może i na całym Podhalu – powiedziałem to zupełnie naturalnie, jakby nie komplement, ale stwierdzenie faktu.

- Naprawdę tak myślisz? – zaśmiała się – Wiesz, miły jesteś. Nie lubię być sama w nocy w tym domu. Rażniej by mi było z tobą. Czasami boję się .... tych, co tu umarli. Babci i dziadka nie, bo wiem, że oni mi krzywdy nie zrobią. Ale Eda też tu zginął. Józek mi nawet nie powiedział, coście zrobili z ciałem. Domyślam się. Tamtej zimy wywalał obornik co tydzień, usypał wielką kupę gnoju za stodołą i jej nie wywiózł na wiosnę, choć co roku wywozi gnatkami gnój na pole. Ja nigdy w to miejsce nie chodzę po zmroku.

Wypchnęła mnie znów do białej izby. Wcale nie chciało mi się tam iść, bo w białej izbie nie było palone. Dygocząc wskakiwałem pod pierzynę.

Następnego wieczoru Nela pozwoliła mi przynieść siennik pod piec kuchenny, żebym przez noc nie zamarzał, bo mrozy przyszły zaiste siarczyste. Słuchałem jej cichego, równego oddechu i cicho stukających polan pod kuchnią, gdzieś blisko nad moją głową. Trzeciego wieczoru, jeszcze zanim rozłożyłem siennik, ktoś zapukał do okna, co jak zwykle oznaczało kłopoty.

Józek ściągał z siebie przepocone ciuchy i wieszał na drągu nad piecem. Nalał sobie wody do miski, chlapał się pod pachami i ciągle przy tym gadał, jak nakręcony. Dobrze, że jestem – powiedział mi, jakbyśmy się rozstali zaledwie wczoraj, a nie rok temu. Zabiera mnie do oddziału pod Turbaczem. Przyda się dowódcy moje wyszkolenie saperskie z czeskim uzbrojeniem, bo teraz pora na dywersję. On teraz u Ognia jest, ale w Gorcach partyzantki wszelakiej pełno. Choć też i niemieckich jednostek po wsiach coraz więcej, odkąd się zaczął front zbliżać. Kulkę można dostać nawet i w ostatni dzień wojny. Tak samo smakuje. Porucznik pozwolił mu się urwać na jeden dzień dosłownie, jutro musi być z rana w Długopolu. Przyszedł po ciepłe koszule i kalesony oraz kozuch, bo jak szedł do lasu, to mrozy jeszcze nie ścisnęły.

Wydawało mi się, że kiedy tak władczo mówił o moim przyłączeniu się do partyzantów, to Neli jakby się przykro zrobiło. Przed świtem Józek obudził mnie, że czas na nas. Nela narzuciła sweter na długą, nocną koszulę, dokładała do pieca, żeby nam odgrzać trochę wieczornej kawy. Potem uściskała brata, który jej rzucił krótko: Pilnuj domu. Mnie cmoknęła w policzek.

- Nie daj sobie krzywdy zrobić. Chcę cię rychło zobaczyć z powrotem – uśmiechnęła się. To jeszcze nie znaczyło nic, poza sympatią.

- Ja ciebie też – odpowiedziałem jej. I to już chyba coś znaczyło.

## Rozdział VI

*Jak Franek skrzesał iskrę i już trzeba się żegnać.*

Następnego dnia byliśmy już w Waksmundzie, w chałupie jakiegoś chłopca za Dunajcem. Łącznik z Długopola kazał się tu stawić do Ognia. W izbie było aż ciasno od mężczyzn, na stole niedopita butelka wódki, talerz z pokrojonymi kawałkami kielbasy i chlebem. Łakomie patrzyliśmy na tę zakąskę, bo przez cały dzień szliśmy z pustymi brzuchami. Józek opowiadał mi po drodze o oddziale. Ogień był kiedyś w Armii Krajowej, ale od wiosny miał swoich ludzi. Inspektorat AK ścigał go za dezercję i oddanie Niemcom obozu w Gorcach. Dogadał się więc z przedwojennymi ludowcami z Nowego Targu i przeszedł pod ich rozkazy. Ostatnio znów mu przynieśli pismo od Borowego, dowódcy AK na całe Podhale, że wszelkie dochodzenia umorzone.

Ognia rozpoznałem bez problemu, po opisie Franka. Jasna czupryna, sylwetka potężna, zwalista, ręce jak bochny chleba. Siedział w białej koszuli. Obok niego drugi, szczupły z pociągłą twarzą i czarnymi włosami, mówili na niego Powicher. Z kilku osób w oko wpadł mi jeszcze niewysoki góral o sympatycznym spojrzeniu.

- Kogoś nam przyprowadził? – pytał Józka Powicher. Powicher zresztą częściej się odzywał, niż Ogień.

- Czemu mam uwierzyć, żeś ty nie konfident? – spytał mnie Ogień wprost, po wyjaśnieniach Józka, który trzy razy głową zaręczał za moją uczciwość. Bo jakby on chciał – tłumaczył zebrany Józek - to by już ze sto razy doniósł na mnie, albo na Szarotę.

- Niemcy jeszcze teraz płacą za moją głowę, choć co prawda chętnych do jej wydania coraz mniej, odkąd sam wymierzam sprawiedliwość sądu wojennego – ciągnął Ogień.

- Myślałem, że potrzebujecie wyszkolonego sapera. Inaczej bym się tu nie pchał, gdyby nie Józkowe zaprosiny, bo nie lubię być tam, gdzie mnie nie czekają.

- Zapamiętaj, bo tylko raz powtórzę. Tu nie ma Józków ani Jaśków. Ja tu ustalam, jak kto będzie miał na imię. Przy oddziale zostaniesz na próbę, ale broni ci nie damy. Przynajmniej na razie.

Pozwolili nam jeść, wódka przyjemnie ogrzała całe ciało. Gaździna jeszcze nalała kwaśnicy z grulami do misek. Kiedy Powicher wprowadził do izby starszego już mężczyznę, Oskwarek dał mi znak, żebyśmy się odsunęli od stołu.

Posadzili nieznajomego, nalali wódki dwa razy.

- Franek – zaczął Ogień do starszego chłopca, który aż skurczył się na zydłu. – Mam rozkaz, sądu podziemnego, żeby zrobić na tobie wyrok śmierci. Ale mi trudno strzelać do swojego sąsiada, choć wojna to wojna.

Stary sam nalał sobie trzecią szklankę bimbrowu. W izbie zrobiło się cicho.

- Nazbierało ci się, Franek. Po coś chodził po wsi i namawiał ludzi do brania kart z literą G? Wiemy o tobie, że w Goralenvolku robiłeś znacznie więcej, niż trzeba było. Niemcy dali nagrodę – wzięłeś. Fabryka wody sodowej po Żydzie w Nowym Targu. Pasłeś brzuch, kiedy innych wywozili i mordowali, kiedy dwa razy Waksmund przyjechali wystrzelać z porządnych ludzi. Twój młodszy syn co drugi dzień woził baniaki z wodą sodową do Deutsche Haus w Nowym Targu. Tylko bańki woził, czy przy okazji świeże meldunki od Czubiaka? Kogoś podmeldował?

- Józek – staremu wreszcie odeszło w gardło i zaczął mówić. – Przecie te fabrykę, to Forszpunder sam zostawił, żeby mu przypilnować, zanim wróci.

- Chyba z nieba – walnął któryś i reszta towarzystwa zaśmiała się gromko.

- Nigdy na nikogo nie doniosłem. To mnie podkablowali, jak świniaka zarznąłem. Dwa tygodnie mnie trzymali w mieście w więzieniu, grozili że mnie wyślą do obozu, albo zwyczajnie, rozwalą. Przyznaję, że wtedy mi się przydał ten Goralenvolk, choć go dzisiaj przeklinam. Krewniaki wiedzieli, do kogo jeździć z łapówkami, komu się przymilić świeżą szynką, słoniną. A jak żeś Staszka zabrał ze sobą w góry, to mi babę do obozu w Płaszowie wzięli. Obiecywali, że wypuszczą, jak miałem im odmówić, skoro żona gniła w obozie? Ale ja tobie, Józek szkody nigdy nie zrobił – stary pił już czwartą szklankę. – I ty mnie chcesz strzelać, choć żeś mi jako gówniarz kury na podwórku ganiał? Józek, przez pamięć na Staszka. Lubieś go, a on ciebie zawsze podziwiał. No powiedz mi przynajmniej, jak on zginął, jak zginął mój syn?

- Od Niemców – Ogień odezwał się wyraźnie niechętnie. – Idź, Franek, spać do domu. Stary zachwiał się na nogach, ale go Powiecher przytrzymał za ramiona i pchnął ku drzwiom. Jak w teatralnym przedstawieniu, ledwie jeden wyszedł, w drzwiach stanęło dwóch młodych w czapkach rogatywkach. Wprowadzili jakiegoś człowieka do izby.

- Dobrze, że za nim poszliśmy, panie poruczniku – meldował jeden trzymając angielskiego stena, wymierzonego w stronę klęczącego na podłodze – Skurwysyn zaraz poszedł do Banasika. Nawet się za siebie nie oglądał. Chwycił za telefon. Trzeba było widzieć jego minę, bo w słuchawce głucho. A my do skurwysna – puk, puk, przez okienko. Za łeb i tutaj. Łeb przyprowadzonego nosił ślady bicia. Pod nosem źle wytarta czerwona plama krwi.

- Majcher, Majcher. Gestapo już ci nie pomoże. Oni już cię mają w dupie, Majcher, i o swojej skórze myślą – Ogień mówił z jakimś zmęczeniem w głosie. – Weźcie go za stodołę.

Klęczący jęknął, wczółgał się na kolanach pod stół, próbował Ognia za nogi obłapić, ale go chłopcy z karabinami chwycili za kurtkę od tyłu.

- Ja po gorzałę poszedłem, dla ciebie – darł się wyciągany spod stołu, aż któryś go walnął kolbą po plecach. Wywlekli go, po chwili dwukrotnie dobiegł zza ściany odgłos wystrzału.

- Przecież wiesz, że Franek donosił na naszych i cztery rodziny poszły do Płaszowa przez niego. Rozkaz był, żeby rozwalić – odezwał się jeden z towarzyszy Ognia. Potem nigdy go więcej nie widziałem

- Niech ich sądzą już sądy po wojnie. Już tam myślicie o sprawiedliwej Polsce, to będzie mogła na Franku przećwiczyć sprawiedliwość. Mnie ciężko ręce brudzić krwią sąsiada. Jego baba będzie mi po wojnie w oczy zaglądać co dzień – Ogień odpowiadał mu z niechęcią.

- Poruczniku! Po froncie będzie większy bałagan, niż teraz. Kto wie, gdzie taki wrzód wypłynie, pod czyją protekcję wskoczy. Rusczy już teraz pytają o niemieckich konfidentów. Niby, żeby ich przed sądem stawiać, ale wszelkie informacje od razu do NKWD idą. Dobry konfident każdemu się przyda. Służyli Niemcom, będą służyć nowemu panu, ze sprawiedliwością nic to nie będzie miało wspólnego. Do tego czasu jeszcze potajemnie świadków powykańcza. Wojna takich kompromisów nie znosi. Odpowiedzialność za tę śmierć bierze na siebie sąd podziemny, wy macie tylko wykonać.

- I tak wszystko pójdzie na moją głowę – mówił Ogień. – Powiecher, idź po niego jeszcze raz. Szczupły brunet podniósł się znad stołu.

- Waszym zadaniem – mówił do Ognia ciągle ten sam człowiek – będzie organizowanie milicji zaraz po przejściu frontu. Z Ruskimi od Zołotara kontakt jest dobry, ale nie wiadomo, ile będą mieli do powiedzenia przy froncie. Dobrze by było, gdybyście zaraz z nimi weszli do Nowego Targu, wy im pomagali kwatery znaleźć, zapasy załatwić. Rusczy są tu jak zdobywcy, łatwo zapominają, że sojuszniczą ziemię wyzwolili. Kradną na potęgę i nie trzeba im przeszkadzać, jeśli tylko zegarki biorą. Jak przyjdzie do gwałtów czy strzelania, wy musicie zaraz do dowództwa ruskiego, albo do NKWD. Boją się ich jak jasnego gromu.

- Chcecie mnie ruskim pachółkiem zrobić – Ogień mówił powoli, ciągle brzmiała mu w słowach niechęć.

- Nie rozumiesz, Józek, o co idzie gra? Oni już mają gotowe wykazy, będą szukać ludzi od Borowego, Lamparta, wysyłać ich gdzieś na białe niedźwiedzie. Ty masz Akowcom wystawić papiery, że u ciebie, a nie w AK, byli w partyzantce. W Ludowej Straży Bezpieczeństwa, bo dla ruskich coś ludowe, to jeszcze do strawienia, o sanacji lepiej im nie przypominać. Jak front się przesunie, pójdzie z nim i wojsko, wojskowi komendanci. Zaczniemy tu robić po naszemu demokrację. Za pierwszy okres nikt nie może złożyć żadnych gwarancji.

- Wojna się kończy, ale zamiast niej w jakimś gównie przyjdzie nam pływać i nawet nie wiadomo kto wróg, a kto przyjaciel. To wy myślicie, że Ruscy pogonią Niemca i zostawią nas samych, z naszymi sprawami? Winszuję!

Wrócił Powicher:

- Mam go w stodole. Wprowadzić?

- Nie. – Ogień sięgnął po nową butelkę. – Nie chcę go widzieć. Załatw to.

Za ścianą znów stuknął wystrzał, potem drugi. W drzwiach kolejny raz stanął Powicher.

- Szarpał się, darł. Dwa razy strzelany i jeszcze nie mogli go dobić. Może go odeślę saniami do domu, niech go baba bandażuje, to się wykaraska?

Ogień odwrócił wzrok do nieznanego. Nie rozumiałem tej sceny od bardzo dawna, docierała do mnie tylko konsternacja zebranych, mocno zalewana wódką. Czułem rosnące przerażenie. Ogień przeniósł wzrok na blondyna o góralskich rysach twarzy, który podniósł się z ławy pod ciężarem jego spojrzenia.

- Ja pójdę – niby zapytał i zniknął za drzwiami. Jego wystrzał przez ścianę był jakby bardziej głośny. Rozmowa przestała się kleić. Znów w drzwiach zawisła wąsata, młoda gęba jakiegoś partyzanta z karabinem.

- Zrobione. Wygoliliśmy wszystkie. 42 niemieckie kurwy łyse jak kolano – meldował zadowolony.

- Nic tu po nas, idziemy – Ogień podniósł się zza stołu, za nim wszyscy obecni w izbie. Przed domem chłopcy z lasu ładowali na sanie trzy ciała. Strzelił bicz, gniady konik ruszył, puszczając z pyska kłęby pary.

Gorce pamiętam z wyprawy na jarmark do Nowego Targu po konie. Od Ludźmierza unosiły się w tle panoramy miasta jak zielony wał. Z pozoru łagodny masyw krył w sobie miejsca dzikie, jak to, które Ogień wybrał na zimową kwaterę. Szliśmy tam od strony polany, nazywanej przez miejscowych Świnie Czoło. Zaraz po wejściu w linię lasu łagodne zbocze urywało się stromo w płataninę potoków ukrytych w głębokich jarach, wśród starych drzew i kamiennych turni. Po dwóch stronach niewielkiego potoczku, który zniknął pod śniegiem i lodem, Ogniołwcy wykopali w zboczu dwie ziemianki, przykryli je dachami z drewnianych dyli, cetyną. W każdej ziemiance była prosta piętrowa prycza, żelazny piecyk, drzwi z desek i okno z samą okiennicą. Spało w nich po dziesięciu, czasem kilkunastu chłopców, jak śledzie, jeden przy drugim, pochrapując w mokrych kaletkach, wierząc się i pierdząc po kiepskim jedzeniu, opartym głównie na kapuście i fasoli, z puszek zrzucanych ostatnio z powietrza przez Ruskich i aliantów. Tylko koszmarnie zmęczenie pozwalało w takich warunkach zasnąć szybko i bezboleśnie. Śnieg był zaś taki, że każda wyprawa na dół skutkowała takim zmęczeniem. Ogień dwa razy wysłał mnie na akcję. Za pierwszym razem w grupie kilkunastu ludzi poszliśmy do wsi Harkłowa, w nocy wpadliśmy do szkoły zajętej na posterunek Grenzeschutzu i rozbiliśmy kilku starszych Austriaków. Za drugim razem w Józkiem Oskwarkiem i młodym, kędzierzawym chłopakiem z Waksmonda o pseudonimie Potrzask, Ogień przeznaczył mnie do pomocy grupie Zygfryda. Szybko uczyłem się lokalnych założeń. Ruscy stali za Bieniowem, prawie w dolinie Kamienicy. Grupą podporządkowaną rządowi w Lublinie kierował Zygfryd, zresztą - jak o nim mówili - Żyd. Siedział w baczce na Starych Wierchach pod schroniskiem. Gorce zresztą przypominały szachownicę, w sąsiednim sąsiedzie nocowała czasami grupa podporządkowana rządowi londyńskiemu

kapitana Żbika. Przed samymi świętami przyszło do nas kilku, z prośbą, żeby ich przechować przez parę dni, bo im Niemcy spalili kwaterę na Starych Wierchach. No więc z Zygfydem szliśmy wysadzać most kolejowy w Lasku. Potrzask jako przewodnik, ja jako siła fachowa od materiałów wybuchowych, a Oskawarek chyba tylko po to, żeby mnie pilnować.

Przez pierwszy tydzień pobytu pod Świnim Czołem ze zdziwieniem obserwowałem kilka razy dziennie scenę, jak z tej drugiej ziemianki wyprowadzają kobietę. Zima w partyzanckim obozie nie sprzyja eksponowaniu urody kobiecej, ale ona niewątpliwie była ładna. Była jedyną babką w obozie, pociągała za sobą ukradkowe spojrzenia chłopców. Szła w obstawie któregoś, znikali za zboczem, wracali po kilku minutach.

- Kto ona jest – zapytałem cicho Józka Oskwarka.

- Nie pytaj, lepiej za dużo nie wiedzieć.

- Gdzie ją prowadzą?

- Odląć się. Przecież ona też potrzebuje się odląć czy może coś innego.

W czasie powrotu z akcji w Lasku naciągnąłem Józka na więcej zwierzeń. Za dużo nie wiedział. Przywlekli ją kiedyś do obozu, trzymali jak więźnia. Na noc wiązali ją sznurem do pryczy. Afera wybuchła, bo ktoś zauważył, że sypie coś do garnka z kuchnią dla wszystkich. Ogień kazał jej jeść. Nie chciała. Wtedy wylał całą zupę do potoku.

Dołączył do nas Potrzask. Wszyscy mieliśmy dość dobre humory, bo z wysadzeniem mostu poszło gładko. Stres minął. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do gospodarza na Parzygnatówce, który kilka flaszek z bimbrem musiał wyciągnąć na stół. Słyszając naszą rozmowę Potrzaskowi rozwiązał się język.

- To Zośka. Ma czapę do wykonania, ale stary pisał do Lublina, żeby jej cofnęli wyrok.

- Ona, wyrok? Za co? Baby przecież można wybić po dupie, albo wygolić?

- To nie za puszczałstwo. Zośka to była przed wojną dziewczyna starego, znaczy się porucznika.

- Przecież Ogień miał żonę i dziecko, zabili mu ich razem z ojcem w Waksmundzie dwa lata temu – Józek Oskwarek był tą historią równie zaintrygowany jak i ja.

- Zośka była jeszcze wcześniej. To była głośna historia miłosna w Waksmundzie, choć ja wtedy byłem jeszcze gówniarzem. Józek kończył gimnazjum w Nowym Targu i zakochał się w Zośce, najładniejszej dziewczynie we wsi. Mówili na nią wtedy Piękna Zośka. Ich rodziny nie przepadały za sobą. Ojciec Kurasia był ludowcem, a proboszcz tego nie znosił. Przytyki mu robił nawet na kazaniach. Więc oni razem uciekli z domu. Rodziny dopadły ich dopiero po paru dniach na bacówce w Gorchach. Józka zaraz wzięli do wojska, a wtedy matka Zośki kazała jej wychodzić za mąż za takiego Czubiaka z Leśnicy. Kiedy Józek wrócił do Waksmundy, jego ukochana już miała w chałupie męża. Iskrzyło między nimi od razu, bo ten Czubiak też wiedział, w jaką historię się pakuje. Więc kiedy się zaczęła wojna, okupacja, Jasiek Czubiak pierwszy się w Waksmundzie zapisał do Goralenvolku. Tak się wkręcił w znajomości z Niemcami, że kilka wsi chodziło do niego załatwiać różne sprawy, łącznie z wyciąganiem z obozów, skreślaniami z listy kierowanych na roboty do Niemiec. Obłowił się wtedy, nie ma co. Ale Niemcom trzeba było płacić lojalnością. Kiedy uciekliśmy do lasu po pacyfikacjach, Czubiak sam kilka razy prowadził na nas obławy w góry, żeby się upewnić, czy to my się chowamy po szalasach. Bo Niemcy nie lubili, żeby ich wlec po wertepach nadaremno. Sam nie wiem, czy chciał Ognia dopaść za partyzantkę, czy za Zośkę. Ja ich razem nigdy nie wiedziałem, ale podobno jeszcze za Niemców spotykali się potajemnie. Choć Józek faktycznie, parę miesięcy, zanim wojna wybuchła, ożenił się z Elką, co ją potem zastrzelili i spalili razem z ich 2-letnim synkiem.

- Co się dzieje z tym Czubiakiem?

- Dupli go latem w Leśnicy. Nie nasi, ale ludzie od Lamparta. Nie pomógł mu pistolet, bo Niemcy mu pozwolili na broń. Zośkę, jak ją złapaliśmy w chałupie, Ogień kazał

przyprowadzić tutaj. Napisał do Lublina żeby jej darowali wyrok śmierci. Wiem, bo kilku chłopców też się pod tym odpisało. Jakby na niego inaczej patrzyła, to pewnie sam by ją puścił, albo przynajmniej po froncie, jak się wszystko ujawni. Ale ona się do niego nie odzywa, albo pokazuje mu nienawiść. Może faktycznie pokochała tego Jaśka z Leśnicy? A może znienawidziła Ognia, bo jak się z kimś jest po dwóch stronach barykady, to chyba wcześniej czy później zaczyna się nienawidzić przeciwnika.

- Pamiętacie tego starego w Waksmundzie? Ogień chciał go puścić, ale mu kazali wykonać wyrok – Odezwałem się wreszcie i ja, bo choć z nikim nie rozmawiałem o tych zdarzeniach, tkwiły we mnie boleśnie.

- W takich razach lepiej się nie zastanawiać – perorował Potrzask – Jak jest rozkaz, to ktoś inny wziął na siebie za niego odpowiedzialność. Ogień nam zawsze powtarza, że litość za każdym razem będzie naszą słabością. Na wojnie słabsi przegrywają, bo ten drugi się nie zawaha.

Ogień wszedł do ziemianki, mruknął na chłopców i w jednej chwili zostałem z nim sam na sam.

- Masz robotę. Wykonasz wyrok na Zofii Czubiak. Dzisiaj. Zaraz – mówił urywanymi wyrazami, a ja czułem, jak gorący olów rozlewa się po mnie. – To rozkaz. Potrzask da ci broń.

Na drewnianych nogach wyszedłem na strome zbocze. Po zaśnieżonej ścieżce od drugiej ziemianki Potrzask prowadził piękną Zośkę. Ślizgała się, czuła chyba, co ją czeka, bo nogi miała też drewniane. Miała ręce związane na plecach, a Potrzask popychał ją lufą od stena. Rozwiane włosy, kurtka nie zapięta, widziałem, jak dyszy, jak jej falują kształtne piersi. Serce trzepotało ze strachu i jej, i mnie.

- Idź tam – Potrzask pokazał mi krawędź zbocza po lewej stronie, nad dolinką. Trawersując stok brnąłem przez świeży śnieg. Za mną szła ona, przewracając się. Potrzask podnosił ją co chwilę ze śniegu. Za krawędzią weszliśmy w bukowy las pełen starych drzew, między którymi gęsto rosła młoda świerczyna. Potrzask zawołał, żebym skręcił w jedną z polanek w przerzedzonych świerkach.

- Sąd podziemny Polski walczącej skazał cię na śmierć za zdradę. Jeśli umiesz, to się módl. Ostatniej woli skazanego nie będzie.

Potrzask dał mi pistolet. Stałem może trzy metry od niej. Uklękła w śniegu, po policzkach toczyły się jej łzy. Potrzask podniósł mi rękę z pistoletem.

- No, kurwa, noo – ponaglał.

Odwinąłem się. Pistolet poszybował między czubkami świerczków.

- Wracaj, kurwa, bo strzelam – zaszczekał zamek stena, ale nie stanąłem. Pognałem prosto do ziemianki Ognia.

- Nie mogę. Nie jestem mordercą. Do baby, bezbronnej, prosto w oczy. Nie mogę. A jakby tak ktoś do mojej strzelał matki czy siostry. Nie mogę.

- Nie sądz o tym, kto tu jest mordercą. Za krótko tu jesteś. Odesłałbym cię do domu, ale możesz się jeszcze przydać. Front niedaleko. Rozkazu nie wykonałeś, lepiej mi się nie pokazuj.

Ubrał się i wyszedł. Smak spojrzał na mnie gniewnie: Spierdalaj, nie słyszałeś, że porucznik nie lubi tych, co nie wykonują rozkazów?

Huczało mi w uszach, śnieg skrzypiał, chciałem, żeby było na świecie jak najgłośniej, żeby wszystko zagłuszało jakiegokolwiek odgłosy zza zbocza. Ale się nie dało. Ogień zniknął na końcu naszej świeżo wydeptanej ścieżki. Krzyczała tam, a mnie drgawki szły po plecach. Krzyk bez słów, pełen zwierzęcego przerażenia, że teraz znów chciałem, aby ucichł, bo strach przed śmiercią przenosił się z niego na wszystkich słyszących to przeraźliwe wołanie.

Przerwał je odgłos wystrzału. Odbił się od gór po przeciwnej stronie i wrócił do obozu. A potem drugi strzał.

Na Boże Narodzenie Oskwarek wyżebrał dla nas obu zwolnienie do domu. Przed świtem w wigilię ruszyliśmy z Józkiem przez Waksmund, Szaflary, Maruszyń, Miętustwo. Już po zmroku padnięci dowlekliśmy się do Neli.

- Jezus Maria, chłopcy – wołała od drzwi. – Co z was zostało?

Musieliśmy siedzieć przy piecu, nie wolno nam było łązić po chałupie, żeby się wszy nie rozlazły. Nela przytargała swoją balie, nastawiła na piec dwa garnki na gorącą wodę. Wrzuciła go garnków po kostce szarego mydła.

- Rozbieraj się pierwszy – rozkazała bratu. On grzecznie zdejmował z siebie mundur i od razu wkładał do miski z wodą, żeby się zawartość ubrania potopiła.

- Jeszcze zanim śniegi nastały, poszedł kiedyś Zając prac w potoku koszulę, kalesony – opowiadał Józek pogryzając placek i oscypek i sadowiąc się na siedząco w balii – Żal mu się zrobiło tych pieronów. Patyk im wsadził do wody, to po patyku wychodziły. Potem nam taki Gałązka z miasta sprzedał środek na wszy. Tadek to przyniósł do oddziału, sypaliśmy się. Najwięcej tam gdzie szwy, bo tam francie najbardziej gryzą. Dwa gatunki są brzeżate i bure. Po miesiącu skończył się proszek, zaczął się mróz, nie było jak wyprać. To się dopiero zaczęły mnożyć!

- Teraz ty – komenderowała energicznie Nela – Nie będziesz mi tu, Franek, wszy po chałupie roznosił.

- Przynajmniej się odwróć!

- A co to ja, gołej chłopskiej dupy nie widziałam?

- Jak sobie Franek klejnoty odmoczy w ciepłej wodzie, to się jeszcze przestraszysz – dogryzał mi Józek, któremu Nela zaczęła strzyć czuprynę.

Dała mi do ubrania zapasowe ciuchy Józka i kazała siadać na zydłu. Krawieckimi nożycami zgrzytała mi przy uszach, a jej palce wgłębiały się we włosy, dotykały skóry na głowie, aż po chwili poczułem przyjemny dreszcz idący po szyi.

- No już, czemu jeszcze siedzisz – zapytała, odgrywając surową matkę.

- A bo mi tak dobrze pod twoimi palcami – odpaliłem szczerze.

Do wigilijnej kolacji zasiedliśmy późno w nocy. Był barszcz postny, pierogi z kapustą i moskole. Chciałem następnego ranka ruszać na Orawę, ale mnie Nela zatrzymała. W Chocholowie dużo wojska, jeżdżą w stronę Słowacji. Uspokoiła mnie, że była niedawno u Janiołka, a ten miał wieści od moich pań w Chyżnem, że wszystko u nich w porządku. Czekają na front i na mój powrót.

Drugiego wieczoru zostaliśmy sami w domu, bo Józek poszedł gdzieś, po starych znajomych. Siedzieliśmy po dwóch stronach rozgrzanego pieca, ale ja i tak, z nudów, co chwilę otwierałem palenisko i wkładałem świerkowe polano. Bardzo mnie męczyło wspomnienie Pięknej Zośki, ale nie mogłem się przemóc, żeby to opowiedzieć Neli. Bałem się, że mnie znienawidzi, kiedy się dowie.

- Spalisz mi całe drewno – skarciła mnie Nela. – Teraz, jak chłopca w domu nie ma, sama sobie muszę rąbać na boisku.

- Trzeba było rano powiedzieć, ale jeszcze ci jutro zdążę coś narąbać.

- Już się nauczyłam siekierą wywijać. Żadna filozofia, wcale nie trzeba mocno bić, tylko popatrzeć, jak się sęki układają.

- Taka z ciebie będzie emancypantka, że się niedługo zupełnie bez mężczyzn obejdziesz.

- Mama się nie mogła obejść, to ją zostawił, zapomniał. Umarła z tęsknoty, więc może lepiej się nie przyzwyczajać do nikogo. Za nikim nie tęsknić.



- Naprawdę tak myślisz? Nigdy cię nie pytałem o Misia.
- To i nie pytaj. Jeszcze jeden dowód na to, że do nikogo nie wolno się przyzwyczajać. On był taki pewny swego, spojrzał na mnie i już się chciał oświadczyć. Był przekonany, że na zawsze będziemy doskonałą parą. Powtarzał mi to niemal od samego początku naszej znajomości.
- A ty?
- Chyba się dałam zawojować. Na miesiąc przed tym, jak zginął, obiecałam mu, że za niego wyjdę. Na święta miałam iść do jego rodziców, chciał ogłosić zaręczyny. To było dokładnie rok temu. Pewnie już bym była jego żoną, może nawet nosiłabym jego dziecko.
- Czułam bolące serce. Żal mi było i Neli i siebie. Nigdy w życiu serce mnie nie bolało, nawet wtedy, kiedy ojciec odchodził w Jabłonce na wojnę, kiedy mi się śnił. A teraz mnie bolało.
- Najgorsze było to, że nie miałam się komu wypowiadać z mojego żalu. Tylko mi płacz został po nocach. Kobiecie do tego jest potrzebna matka. Nosłam się na czarno do kościoła, jak wdowa. Stare baby we wsi pytlowały o mnie, a ja robiłam swoją demonstrację żalu. Po miesiącu skończyły mi się łzy. Jak się człowiek tak wysuszy z łez, to się staje w ogóle oschły dla innych. Pewnie mi to jeszcze zostało?
- Ja nie poczułam.
- No i co będzie, Franek, po froncie? Chodzę czasem do sąsiadów, to się rozmawia o polityce. Nawet mnie chłopcy we wsi trochę inaczej traktują, bo swoim babom to się odezwać nie pozwolą na takie tematy. Ci, co mają nasłuch radiowy na Londyn, mówią, że jak nas Ruscy wyzwolą, to się ich już nie pozbędziemy. Republika Kraju Rad, kolchozy, kolektywizacja, magazyny w kościołach. I głód, jak na Ukrainie przed wojną.
- Ogień nam robił parę razy wykłady o polityce. Przy froncie to faktycznie, bez szans jesteśmy. Masy wojska tu będą stacjonować, oni po swojemu ustawią porządek. Trzeba się modlić, żeby front szybko poszedł do przodu, a wtedy – wybory do parlamentu, rady narodowe w miastach i gminach, powołamy niezależną władzę. Amerykanie i Anglicy będą Ruskim patrzeć na ręce.
- Ty, Franek, jesteś prawie Słowak, widziałeś, jak się w 1938 roku Anglia i Francja ugięły przed Hitlerem. Dali im Sudety czeskie, jakby coś swojego oddawali. Myślisz, że się z nami będą liczyć?
- Będą. Ogień mówi, że na zachodzie polska armia idzie razem z aliantami. Przecież po I wojnie Hallerczycy też wrócili do kraju. Jak będziemy wszyscy zjednoczeni i twardzi, to się Ruscy ugną. Ogień mówi, że jako sojusznik, to trzeba się będzie na długie lata z nimi pogodzić. Ale do naszych spraw, domowych – to im wara. My się sami musimy urządzić, inaczej niż było przed wojną, inaczej niż jest u nich. Zobaczysz, Nela, jeszcze jesienią pójdziesz do Krakowa na studia. A ja za tobą.
- Roześmiała się.

Styczeń, to było czekanie. Wiezorami wychodziliśmy pod Turbacz, słuchać czy odgłosy frontu się nie zbliżają od wschodu. Chodziliśmy obserwować, jak Niemcy gonią ludzi z wiosek do kopania rowów między Ostrowskiem a Łopuszną. Ze Spisza szły wieści, że za Lasem Brzezie, gdzie biegła wojenna granica Guberni ze Słowacją, też kopią umocnienia przez Nową Białą, Krempachy, na góry do Dursztyna. I jeszcze w sąsiedniej gromadzie, w Łąpszach Wyżnych. Wyglądało to na przygotowania do solidnej bitwy. W obozie Ogień zarządził stan najwyższej gotowości, nawet butów na noc nie można było ściągnąć. Mróz jak cholera. Samoloty latały ruskie i niemieckie nad samymi głowami, więc był zakaz palenia w piecu przez dzień. Czasem tylko szef puszczał nas na dół. Szliśmy po zamrożonym korycie potoku na dno doliny Łopuszanki. Mrocznej i wilgotnej, o tej porze roku nie docierały tu promienie słońca przez cały dzień. Niecałą godzinę drogi od obozu była gajówka, a w niej gajowy Mikołaj. Wołali na niego Moskal, bo był ruskim żołnierzem z I wojny światowej, który najpierw wpadł do niewoli, potem nie chciał wracać do Kraju Rad. Dziedzic

Łopuszańskich lasów Stefan Lgocki posadził go na gajówce w dolinie pod Turbaczem. Mikołaj trzymał zgodę z wszystkimi partyzantami, od Borowego, po Ruskich od Zołotara. Każdy mógł się u niego przenocować, opruć, w kuchni wysuszyć, ugotować gorącego jedzenia. Niemcy też do niego przychodzili, ale raczej woleli partyzantów nie zauważyć. Kiedyś na strychu w gajówce siedziało razem z popielicami dziesięciu ludzi. Czekali, aż się im bielizna wysuszy. Karabiny ściskali i słuchali, jak Niemcy chodzą po obejściu. Ci Niemcy to chyba ślepi albo bez rozumu byli. Poszli sobie, nie zwracając uwagi na dziesięć par kalesonów, wiszących na sznurkach przed domem.

Mikołaj przyszedł do nas do obozu nad ranem, że u niego w gajówce siedzą Ruscy z frontowego oddziału, bo Łopuszna jest już wyzwolona bez walki. Ogień wyznaczył ośmiu do obstawy, połowę stanu w obozie i poszliśmy na spotkanie. Oddział miał z pięćdziesięciu ludzi. Siedzą na podwórzu, ognisko palą, patrzą na nas ostrożnie, ale dalej mieszają coś w swoim garnku. Mikołajowa wprowadziła nas do izby. Dowódca na poduszkach w pościeli, w białym kożuchu, dorzYGany jakby wcześniej wypił morze samogonu. Jego adiutant jeszcze się trzymał, przywitał się: kamandir odpocznie, to będziemy mówić. Wywlekł go, po śniegu włożył nad potoczkiem, rzygociny z kożucha obtarł. Śniegiem wyczyścił twarz komendanta i ten przyszedł do siebie.

- Jaki wy oddział, bo ja na tyły muszę dzwonić. Jakbyście nas wyprowadzili do Niemców, to was potem ciągać za dupę będą.

Mieliśmy ich przeprowadzić przez Kowaniec, pokazać most pod św. Anną w mieście. Most był przygotowany do wysadzenia, gniazda karabinów broniły przyczółka od strony gór. Atak na miasto miał być jednoczesny od gór i z drugiej strony, od lotniska, gdzie się przedarły główne siły z Łopusznej.

Wielkiej bitwy nie było. Na znak rakietnicy znad lotniska Ruscy hurra i jeden przez drugiego z pepechą. Zastanawialiśmy się długo: Po co taki huk robić, biec taki kawał pod ogniem dwóch rkm-ów, kiedy w białych habitach mogli podejść cicho pod sam most. Niemcy przez pół kilometra biegu wystrzelali ich z dziesięciu, ale most został zdobyty przed wysadzeniem. Potem jeszcze Ruscy wleźli do zaminowanej szkoły i znowu kilku wyleciało w powietrze. Nowy Targ był wyzwolony.

Przeciskałem się między gaździnami. Stare i młode, grube i urodziwe. Przytupywały na mrozie w filcowych botkach i kożuszkach, otulone wzorzystymi chustkami, jakby tańczyły. A między nimi panusie z miasta w paltotkach, które nie pasowały do styczniowego mrozu w górach. Pierwszy jarmark w mieście po wyzwoleniu. Warszawiacy, których kilka tysięcy przyjechało do Zakopanego i na Podhale po powstaniu, próbowali sprzedawać pamiątki rodzinne, bibeloty, książki, byle tylko kupić woreczek mąki czy płat słoniny. Na stoiskach z serem, mlekiem, przy garnkach z gorącymi gołąbkami i pierogami, kwitł handel wymienny. Nikt specjalnie nie wierzył w pieniądź.

Mignęła mi w tłumie. Nie mogłem uwierzyć, że to jej rude włosy, ale ruszyłem za nią. Między straganami znów zobaczyłem czerwone płomienie, które mogła mieć tylko jedna osoba na świecie.

- Nela, Nela – krzychałem, bojąc się, że nie przebiję się do niej przez ludzką ścianę. Ruda czupryna odwróciła się i zobaczyłem jej twarz. Przedzieraliśmy się do siebie.

Zaraz po zejściu z gór Ogień zaprowadził nas na kwaterę do kamienicy Polaczyków na Sobieskiego, tuż przy rynku, gdzie huczał jarmark. Stary Polaczyk, zwany Dziadkiem, wrócił do domu razem z partyzantami. W domu była już ich córka Janka. Dziewczyna zeszła do miasta jeszcze w nocy, zanim Niemcy wyjechali z Nowego Targu. Poszła do domu, w którym Niemcy zakwaterowali jakiegoś krawca, volksdeutscha z Poznańskiego. Powiedziała mu, że czas, aby się wprowadzał.

Siedzieliśmy z Nela na dole kamienicy, gdzie Dziadek zaraz otworzył knajpę. Nela była całkiem skostniała. Włożyłem jej w ręce gorący kubek z herbatą. Trzymałem jej ręce w swoich dłoniach. Była całkiem odrętwiała. Tajała w cieple. Nawet jej głos powoli wracał do normalności.

- Uciekłam z Cichego. Wczoraj wieczorem Ruscy dwoma saniami przyjechali do sołtysa. Rozgościli się we czterech jak u siebie. Wypytywali o dziewczyny we wsi. Potem pojechali w górę wsi, weszli do chałupy Janiołka, bo przy drodze, w kuźni słyszeli głosy. Kazali się gościć, kielbasę żarli, wódkę ze sobą przywieźli. Dziadkowi kazali na skrzypcach grać. Kaśka Janiołkowa im usługiwała, to oni zaczęli Janiołka z chałupy wypychać. Posłał wtedy Jędrzek chłopaka z kuźni po sąsiadach, ja też usłyszałam, że się coś dzieje niedobrego. A oni dalej, do Kaśki, gonitwę sobie urządzili za nią po chałupie. I wtedy wpadł Janiołek, porwał rozpalone obcęgi z paleniska i do Ruskich, żeby mu babę przestali gwałcić. Jeden z nich wypalił do niego z rewolweru. Trafił go prosto w czoło. Nabiegało się ludzi przed domem, Ruscy musieli strzelać żeby wyjść na obejście. Dobrze, że w powietrze. Kogoś utłukli kolbą karabinu. Wskoczyli do sań i pojechali śmiejąc się do Międzyrzeczwianego. Kaśka klęczała nad Jędrkiem i nic nie potrafiła zrobić. Dyszał ciężko. Kazali my jechać sołtysowi po lekarza do miasta, ale ja wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Trzy godziny tak dyszał, patrzył w sufit, krew mu wychodziła na kolejne bandaże. I umarł. Franek, ja tam już sama nigdy nie wrócę.

Tę noc Nela przespala na piętrze u Polaczyków. Janka Polaczykowa zajęła się nią jak siostrą. Na drugim piętrze Ogień żegnał się z nami przed wyjazdem do Lublina. Powiedział nam, że musi sam wyjaśniać, czy mu w rządzie wierzą czy nie, bo się nie może dogadać z przysyłanymi tu partyjnymi. Powicher skombinował skądś willisa i benzynę. Ogień, kiedy się bardziej rozgadał przy wódce, powiedział, że jedzie powąchać, co to za władza będzie budować Polskę. I że mu się wcale nie chce tu siedzieć, patrzeć, jak Ruskie gwałcą, rabują i robią, co dusza zapagnie, a my tylko protokoły możemy pisać.

- Komu mogłem, to już papiery wystawiłem – opowiadał nam.

Józek Oskwarek poszedł z Potrzaskiem robić posterunek milicji na Spiszu, w Łapszach Niżnych. Przysłali na drugi dzień meldunek, że Słowacy na nich z nienawiścią patrzą i ledwie się nie postrzelali, kiedy pojechali do Starej Wsi z delegacją. Kilku ludzi poszło też na posterunki do Łopusznej, Czarnego Dunajca. Z Krakowa przyjechał nowy komendant powiatowej milicji – Aleksander Karaś, który na Ognia też krzywo patrzył, choć nikt go tutaj nie znał. Ale odmeldować się poszedłem do Ognia. Poprosiłem o urlop, bo chcę Nelę zaprowadzić do domu. Kazał mi zostać w Cichem, aż do rozkazu.

- I nie próbuj szukać tych, co ci stryjka zastrzelili – przykazał na koniec. – Będziemy się jeszcze nimi liczyć.

Wróciliśmy na pogrzeb Jędrzeja Karpiela w Miętustwie. Na końcu szeregu ludzi, w odsypanej ze śniegu alejce cmentarnej, staliśmy obok siebie z Nela. Ja już ubrany w cywilne ciuchy. Potem poszedłem z nią do domu, rozpałem w piecach po kilku dniach nieobecności. Nela nie przypominała siebie samej, nie mogła się ocknąć do życia. Nie reagowała nawet, kiedy jej powiedziałem, że zostanę parę dni, bo w Chyżnem ciągle jeszcze Niemcy stoją.

Trzeciej nocy obudziło mnie skrzypienie drzwiczek kuchennego pieca. Obróciłem się na wąskiej ławie, na której kładłem na noc jeden koc pod spód i drugi na wierzch. Nela kucając przed paleniskiem wkładała do pieca bukowe drewna. Jaj bosc stopy oparły się palcami o deski podłogi. Koszulę podwinęła nad kolanami. Czerwony blask z rozgrzanego pieca błyskał jej na twarzy, na gołych łydkach, rudych kosmykach rozpuszczonych włosów. Bałem się, że swoim ruchem, słowem, spłoszę ją jak ptaka. Że odleci. Zniknie. Patrzyłem, jak zastygła. Grzała się w cieple otwartego pieca. Czekala na mnie.

Nie odwróciła się nawet, kiedy uklęknąłem za jej plecami. Od strony ognia jej ramiona były takie ciepłe, a od strony nocy dotykał ich chłód. Przytuliłem się do niej, żeby osłonić przed tym chłodem. Odwróciła do mnie twarz. Jej usta były ciepłe i delikatne. Nie protestowała, kiedy zsuwałem z niej koszulę. Włosy rozsypały się po ramionach, dotknąłem ustami gładkiej szyi, potem małych piersi. Już była posągowo naga. W pierwszym odruchu zasłoniła dłonią cień na podbrzuszu, ale potem wyciągnęła do mnie ręce. Czułem, jak stajemy się jednym. Otworzyliśmy się na siebie. Bukowe drewno strzelało niespokojnie nad naszymi głowami.

- Bałam się, że nie zdążymy tego zrobić – szeptała, kiedy ją otulałem kocem.

Leżała obok mnie, głowę trzymała na moich ramionach. Patrzyliśmy na siebie. Potem znów jej włosy laskotały moją twarz. Całowałem czubki jej palców, wnętrze dłoni. Unosiłem głowę i całowałem jej naprężone sutki. Ona zapadała się w sobie, uciekała gdzieś, czułem jej naprężone plecy i drżące ramiona. Czułem, że dzieje się coś, co się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Coś zupełnie nowego. Jakby gdzieś w ciemnościach, w absolutnym mroku, ktoś skrzeszał iskrę.

- Ach!

Nela opadła na mnie dysząc ze zmęczenia. Całowałem jej spocone czoło.

## Rozdział VII

*Jak do głosu dochodzi prawnuk Stefana Zbeli, wnuk Wendelina Michalaka i syn Franka, czyli wszystko od nowa.*

Uważam, że każdy powinien wiedzieć, kiedy i jak został poczęty. Wiedza o tym, kto to zrobił, to za mało. Ja wiem, jak to się stało: W pewną zimową, mroźną noc lutego w 1945 roku w domu mojej matki w Cichym. Na gołych deskach podłogi, przed rozgrzanym, kuchennym piecem. Moi rodzice zapalili iskrę mojego życia zanim jeszcze powiedzieli sobie: kocham cię. W mojej rodzinie ja byłem pierwszy i ostatni. Więcej wokół mnie umierało, niż się rodziło.

Wychowały mnie trzy kobiety. Mama, ciotka Weronka, babcia Marysia. Sam się dziwię, czemu nie zniewieściałem, czyli nie zdziażdżałem, już na samym początku życia. Może dzięki wujkowi Karolowi, który czasami uczył mnie czegoś męskiego.

Został dla mnie bohaterem, symbolem odwagi, odkąd zobaczyłem, jak orał pole i wyciągał z niego kolejno niewypał za niewypałem. Ledwie skończyłem cztery lata, wujek brał mnie czasem do siebie, żebym się bawił z dziećmi z sąsiedztwa. Tego dnia pojechał orać słoki przy szosie na Jabłonkę. „Słoki”, to takie zagony nie orane po wojnie. Ludzie we wsi bali się za nie brać. Wujek Karol szedł za skibą, a kiedy coś haratało pod pługiem, darł się do nas, dzieci, żebyśmy uciekali daleko do wsi. Ale nasza ciekawość była większa. Kładliśmy się na zaoranym zagonie sąsiada, brzuchami na wilgotnej ziemi, zasłonięci trawą na miedzy i patrzyliśmy, jak on wyciągał minę, ze skrzydełkami po jednej stronie. Ostrożnie, żeby nie nacisnąć na szkiełko, jak we wsi mówili na zapalnik. Potem zaniósł te gule pod strażnicę wojskową i zostawił na słupie.

Po froncie w Chyżnem i Lipnicy zostało wiele takich pamiątek w ziemi. Najpierw był gdzieś we wsi wybuch, czarny dym wznosił się do nieba. A dwa dni potem cała wieś szła w pogrzebie. Rok po tym oraniu wujka Karola, poszliśmy wszyscy na pogrzeb czwórki dzieci z Lipnicy Wielkiej. Rodzice pojechali na jarmark, w domu został 8-letni Wicek, dwie siostry - 5 lat i 7, oraz chłopczyk od sąsiadów. Dzieci bawiły się nad rzeczką, znalazły gulę, niosły do domu drogą. Upadła im. Nazbiegali się ludzie ze wsi. Na drodze była dziura, obok leżały siostry, na drzewach były rozrzucone szczątki ciała. Wszyscy najpierw myśleli, że Wicek schował się gdzieś przestraszony. Dopiero potem znaleźli go na trawie, sto metrów dalej. Głowa i tułów do połowy, serce mu było widać.

Niżne Chyżne zostało po froncie bez domów, żywności, bez sprzętów domowych. Ludzie uzupełniali braki przez zbieractwo. Łupy wojenne dostosowywano do domowych potrzeb. Do kuchni przerabiano ostre, niemieckie bagnety. W stajniach do klepania kos i prostowania gwoździ podkładano armatnie łuski. Mosiężne tuleje łusek cięto na mniejsze kawałki, klepano młotkiem na dzwonki dla owiec. Ze skrzydeł od katiusz zaradni ludzie potrafili zrobić mieszacze do ziemniaków dla świń. Wystarczyło zdjąć koniec z lotkami i nabić na kij. Wśród dzieciaków pasących krowy ulubioną zabawą było wrzucanie amunicji i zapalników do ogniska na pastwisku. Zapalniki wrzucało się do hełmu i razem z nim do ognia. Hełm skakał do góry i rozrywał się w powietrzu, a myśmy patrzyli, co się z tym wyrabia.

Wujek Karol zginął, kiedy poszedłem do gimnazjum. Dziwny los, że przyszło mu zginąć dwa kilometry od domu, choć życie jego wisiało na włosku wcześniej nie raz setki, tysiące kilometrów od Orawy. We wrześniu 1939 roku jego oddział złapali Rosjanie. Znaczą się Czerwonoarmiści. Zamknęli ich wszystkich w obozie jenieckim koło Kijowa. Chował się

między nimi jeden oficer, bo myślał, że prostych żołnierzy lepiej będą traktować. Na wiosnę następnego roku wysłali ich na roboty, na Syberię. Do wycinania drzewa na Kółymie. Tak daleko od świata, że nawet nie wiedział, iż w Związku Radzieckim powstaje polskie wojsko, z takich niedobitków jak on, powyciąganych gdzieś z obozów Syberii i przysiółków Kazachstanu. O wyjeździe Armii Andersa do Teheranu dowiedział się, kiedy już ich nie było. Dopiero jak zaczął się tworzyć pułk Berlinga, wieści dotarły i do niego. Nie patrzył z kim, byle się wyrwać z piekła. Wojna to kurwa – tyle mi zdążył opowiedzieć. W maju 1945 roku był w Berlinie. Rozformowali jego pułk rok później. Wtedy wrócił do Chyżnego.

Trafił na skurwysyna majora Smolinę, dowódcę strażnicy WOP. Major miał do dyspozycji 72 ludzi do pilnowania granicy na odcinku od Lipnicy do Podczerwonego. Ale w podczerwieńskie bory WOPiści nie lubili się zapuszczać, bo tam las zwarty. Tamtejsi przemytnicy strzelali zza drzew do żołnierzy. Początkowo granica była dziurawa jak sito. Ludzie chodzili między Polską i Czechosłowacją tak, jak gołębie latają między domami. Major Smolina uszczelnił granicę, za co dostał odznaczenia wojskowe i awans na pułkownika. W ramach walki z przemytem wprowadził w Chyżnem swój mały stan wyjątkowy. Po pierwsze: po godzinie 22 nikomu nie wolno było wychodzić z chałupy. Najbardziej uderzył tym posunięciem w kawalerkę, która nocami do dziewczyn chodziła. Jak kogo złapali po 10 wieczór, to prowadzili do placówki i trzeba było stać w zimnej piwnicy całą noc. Rano kazali rąbać drzewo, grule skrobać, korytarze myć. I do Czarnego Dunajca, gdzie był sztab, oni na koniach, a złapany na nogach.

Potem komendant ogłosił, żeby na placówkę przywieźć wszystkie psy ze wsi, bo w Chyżnem nie może zostać ani jeden pies. Żeby psy nie szczekały, jak nocą patrol idzie przez wieś. Prowadzili gazdowie burki odczepione od budy, na placówkę wojskową. Tam musieli je uwiązać na strzelnicy, na drucie koło drzewa i zaraz robiono ćwiczenia strzeleckie. Niedługo w Chyżnem w ogóle nie było psów.

Trzeci zakaz majora Smoliny dotyczył gołębi. Bo wiadomo, że gołębie przenoszą wiadomości. W Chyżnem gołębi nie mogło być i nie było, bo jak ktoś zostawił, to wojsko strzelało. Co dzień przed wyjściem do pola chłopci musieli się meldować na strażnicy, zostawić swój dowód i dopiero wtedy mogli iść do pracy. Czasem trzeba było po to nadrobić parę kilometrów. Pracujących sprawdzało wojsko, łącząc się z centralą, czy wszyscy zostawili swoje dowody na placówce. Po robocie trzeba się było znów zameldować, sprawdzali wóz i zwracali dowód. A wszystko w sosie szyderczych uwag, że Słowacy muszą teraz trochę pocierpieć za sojusz z Hitlerem.

Na początku wydawało się rodzinie, że przynajmniej nam wojsko poluzuje, jako Polacy niecierpliwie czekaliśmy na jego nadejście. Skoro wujek Karol frontowy żołnierz, tu też sami frontowi siedzą w WOPie, to może wnet koledzy się znajdą. Major Smolina nie miał kolegów. Poszedł Karol po przyjeździe do strażnicy, pogadać, to go przyjęli jak szpiega. Wieś zobaczyła w nim zdrajcę, co zaraz będzie donosić do komendanta. Więcej się tam nie ruszył. A byłoby o czym donosić. Chłopcy wracali po wojnie ze słowackiego wojska i każdy chciał sobie broń zatrzymać. Broni po wsiach było bardzo dużo. Wpadał więc WOP do chałup na poszukiwania. Jak coś znaleźli, wiązali delikwenta do wozu. Konie puszczały galopem i biedak musiał biec za wozem. Przewrócił się, to wlekli. Albo na strażnicy bili wojskowymi pasami, że krew uszami szła.

Kiedy Karol się ożenił, przestało mu wystarczać kilka morgów ojcowego pola. Tyle bowiem wydzielili mu kobiety, połowę z całej dziadkowej gospodarki. Na reszcie siały i zbierały moja matka, ciotka Weronka i babka Marysia. Zaczął więc i on chodzić z przemytem na Słowację. Najpierw z solą, bo na Słowacji ciągle jej brakowało. Potem prowadził konie, jak mój ociec jeszcze za okupacji. Wreszcie nosił wszelki przemysł. Ożywił dzięki temu nasze kontakty z rodziną w Trstenie. Synowie od wujka Jaśka ciągle tam przecież mieszkali, a Jirzik

też chętnie oglądał się za dodatkowym zarobkiem. Tego wieczoru Karol był w Trstenie. Wziął u Jirzika plecak pełen zamków błyskawicznych. Na rozstanie kazał mu wypić toast za ten ostatni raz, bo już więcej nie będzie chodził przez granicę. I jeszcze prosił o sukieneczkę dla swojej małej córeczki, bo kuzyn w Trstenie miał nieco większe dzieci. Przez tę sukieneczkę w jego plecaku Jirzik został potem skazany za pomoc w przemyśle przez słowacki sąd.

Wujek Karol zginął na słowackiej stronie, od kuli czechosłowackiego żołnierza pogranicznika. Kilka dni później babka z ciotką pojechały na granicę po jego ciało. Trafiło go 6 kul, w nogi, w ręce. Jedna weszła w bok, do samego serca. Gazeta Krakowska w triumfalnym artykule o sukcesie WOPu doniosła o śmierci Króla Przemyslników. W gazecie pisali, że to była zdrada, że wydał go ktoś, kto widział jak idzie z towarem na Słowację. Po alarmie polskie wojsko przyjechało samochodami do Chyżnego na obławę, Słowacy obstawili granicę po swojej stronie. Podobno szedł jeszcze z kimś drugim. Jakiś słowacki wojak siedział przyczajony za krzakiem, a noc była taka ciemna. Usłyszał dziwne skrzypienie. To skrzypiała skórzana kurtka Karola. Tak się przestraszył, że nawet nie zawołał: stój. Od razu zaczął strzelać na oślep. Lekarz stwierdził, że kiedy go kula trafiła w serce, żył jeszcze kilka minut. Musiał wtedy myśleć o córeczce. Tak się z niej cieszył. Tak długo nie mogli się na nią doczekać z ciotką. Na pamiątkę po nim dostały skózaną kurtkę z dziurą w boku.

Moja mama pierwszy raz poczuła moją obecność w swoim brzuchu w drugim miesiącu ciąży. Tuż przed wielką ofensywą. Dokuczałem jej tymi wymiotami ponoć bardziej niż sowieckie uderzenie na Trstene.

W lutym front stanął na 9 tygodni, aż do Wielkiej Nocy w dolinie Orawy, pomiędzy dolnym krańcem Chyżnego i Lipnicą Wielką. Okopali się Niemcy na polach, w lesie na Krzywaniu w Lipnicy. Walili do Ruskich z dział, aż się powoli wieś zamieniała w ruinę. Dom rodzinny ojca stał prawie na samym wyższym krańcu przy borach, na szczęście daleko od frontu. Sowieckie wojsko urządziło w naszej stodole wielką pralnię dla frontowych. 60 kobiet, Rosjanek, co szły razem z wojskiem, prało żołnierzom bieliznę w wielkich kadziach i beczkach po benzynie. Spać rozchodziły się po chałupach, nad ranem schodziły się do pracy, śpiewając przy tym przepięknie melodyjne, rosyjskie pieśni. Dwie zamieszkały u babki i ciotki Róży.

Po kilku tygodniach spędzonych w Cichym, ojciec nie chciał dłużej czekać. Popędził znaną ścieżką na Orawę do Chyżnego, prowadząc ze sobą Nelę, żeby swojej mamie i siostrze przedstawić jako przyszłą żonę. Było dla niego oczywiste, że skoro już posiadał dziewczynę, kocha ją, to z uczciwości powinien się z nią jak najszybciej ożenić. Już idąc przez zamrażnięte i zaśnieżone torfowiska mama czuła, że coś z nią nie w porządku, ale kryła się przez cały dzień i wieczór, żeby złego wrażenia nie zrobić na przyszłej teściowej. Położyli ją w jednej izbie z Rosjankami. Kiedy zamiast spać zaczęła rzygać, doświadczone kobiety, frontowe, natychmiast orzekły, że to musi być z mojego powodu.

- Jestem w ciąży?! – przeraziła się autentycznie Nela Oskwarek.

- Jesteś w ciąży? – przeraził się Franek Michalak.

- Jest w ciąży? – zdziwiły się babka Marysia i ciotka Weronika, zaskoczone wojenną aktywnością Franka.

Na ślub musiałem czekać aż do lipca, ale przyszedłem na świat jako dziecko z prawego łóża. Jakie tam łóżo, ledwie podłoga przed gorącym piecem. Ojciec znalazł chwilę na ślub z mamą w przerwie między jedną poniewierką, a drugą. Podobno znajdował też czas, pomiędzy poniewierkami, żeby wpaść do domu i brać mnie na ręce.

Na Wielkanoc 1945 roku Ruscy wyszli z okopów i pognali na Niemców leżących w okopach 300 metrów dalej. Czaszki tych, co zginęli w ataku jeszcze przez parę lat wały się po zaroślach nad rzeką. I kości. A ilu pochowano w starych bunkrach? Przegnali wtedy

Niemców z Górnej Orawy. Odsunął się front, przestali strzelać po nocach. Odjechały rozśpiewane baby z wojskowej pralni. Zabrały swoje wielkie beczki po benzynie.

W Jabłonce został spory oddział wojsk tyłowych Armii Czerwonej. Zaraz też z Trsteny przyszedli robić słowacką milicję i szybko się do niej pozapisywali młodzi z Chyżnego. O Polsce na razie nikt głośno nie mówił.

Pewnego wieczoru, gdy mama zajęta była rzyganiem z mojego powodu, a babka z ciotką próbowały ją pocieszyć w niedoli, ktoś zapukał do okna. Takie pukanie zawsze budzi w kobietach lęk i niepokój.

Przyszedł swój, Władek Lenczowski spod kościoła, który się do Chyżnego przyżenił przed wojną z Krakowa. Wyciągnął ojca na pogaduszki do stajni, żeby mu polskość przypomnieć. Poszli przez noc na spotkanie w Jabłonce u Biscoków, nad wsią pod samym laskiem w niewielkim potoku. Był tam Józek Dziubek z Jabłonki, Alojz Smutek z Podwilka, Władysław Pilch i jeszcze przedwojenny wojskowy Andrzej Jazowski z Lipnicy. Ustalili, że zabiorą się za organizację polskiej milicji, że trzeba głośno przypomnieć, czyje te ziemie były i do kogo powinny należeć.

Lenczowski był służbista. Wiem to od mamy, która za nim nie przepadała. Miał w oddziale siedmiu ludzi, ale zaraz założył dla nich książkę służby. Tata, ponieważ po wojsku, po partyzantce, został zastępcą komendanta polskiego posterunku w Chyżnem u Lenczowskiego w stodole. Wejście od pola, bo frontem się bali, żeby ich ktoś ze Słowaków serią z karabinu nie przeciągnął. Ciotka uszyła tacie biało- czerwona opaskę. Karabin niemiecki kupił od ruskich żołnierzy w Jabłonce za litr bimbru. Chodzili we trzech na patrol przez wieś. Pod wrogim spojrzeniem większości spotkanych. Starali się przy tym starannie wymijać z patrolem słowackiej milicji. Po dwóch tygodniach najliczniejszy polski posterunek w Jabłonce zaatakowali Słowacy. Ktoś strzelił, reszta rzuciła się do bitki. Potłukli naszych strasznie, przetrzymali w nocy w piwnicy. Z Chyżnego mieli iść im z odsieczą, ale jeden z naszych chłopców wszedł na minę na polu. Lenczowski wydał rozkaz, żeby się cofnąć do Czarnego Dunajca. Następnej nocy ojciec przyszedł do domu przez granicę, po swoje trzy dziewczyny. Weronika i babka powiedziały, że zostają. Mama zaczęła się zbierać, ale jak jej tata powiedział, że już się zapisał na nowo do milicji w Nowym Targu i jutro będzie w mieście miał szkolenie, popatrzyła tylko na pozostałe.

- Zostań, bab przecież nikt nie ruszy – nieśmiało zaproponowała babcia Marysia, która przez parę dni szczerze zdążyła pokochać Nelę. – Co tam będziesz sama siedzieć w Cichym i rzygać. Twój brat przecież też w milicji.

- A ty byś lepiej zaczął sól wozić z Polski na Słowację, bo tam ponoć Niemcy potruili zapasy. Wozami całymi wożą sól do Trsteny, póki jeszcze granicy nikt nie pilnuje. Takie interesy robić można, a tobie patriotyzm w głowie – narzekala babcia Marysia do ojca.

Zamiast po sól ojciec wracał sam do Czarnego Dunajca przez torfowiska, na których zaczynała buchać do życia świeża zieleń.

Oprócz potyczek między dwiema milicjami, oprócz codziennego trudu odbudowy zniszczonych chałup i stodół, Chyżne żyło przez trzy tygodnie procesem księdza proboszcza Michalaka. Nowa władza wytoczyła mu proces w sądzie w Trstenie za przynależność do ludackiej partii i pomoc udzielaną Niemcom. Chodzili ludzie ze wsi zeznawać, przynosili wieści, komentowali je w sklepie. Prokuratorem był wujek Jaśko, który pod koniec wojny mocno się przeorientował i nawet był w oddziale partyzanckim. Uratowała księdza stara Hermina Frydbergerowa, Żydówka, wdowa po Jakubie. Przez całą wojnę przesiedziała w swoim domu w Chyżnem tak cicho, że zdało się, ludzie zapomnieli o jej istnieniu. Hlinkowcy jej nie odnaleźli. Na procesie powiedziała, że jej ksiądz Michalak pomagał przeżyć. Wysoki sąd uniewinnił księdza Michalaka. A ksiądz Zaremba zaraz po froncie wyjechał do Polski.



Nie chciał zeznawać przed słowackim trybunałem. Kilka tygodni później w szpitalu na tyfus umarła także Maryśka od Mano Staina. Ta, co go przywiodła kiedyś krągłościami na pokuszenie, dla której przestał być Żydem, choć zginął za to, że Żydem był. Bo jak ktoś już ma być Żydem, to nim będzie, bez względu na to, czy nim jest. Ich trzy córki płątały się parę dni po wsi, bo nikt z rodziny Marysinej nikt ich nie chciał przygarnąć. Wreszcie poszły gdzieś do sierocińca w Polsce. Wtedy już była Polska w Chyżnem.

A było to tak, że pod koniec maja tata znów przekradł się przez torfowiska do domu w Chyżnem. Sprawdzić, czy mamie brzuch już widać, czy trzeba się spieszyć z weselem. Zabrał wieczorem mamę do stodoły oglądać brzuch, ale po chwili już całował jej białe uda. Spytał grzecznie, czy można, czy dziecku to nic nie zaszkodzi, a potem aż jęczeli z rozkoszy. Nic tak nie wzmacnia młodej namiętności jak tęsknota i rozstania.

Tata przyszedł z wieściami, że Orawa i Spisz wracają do Polski, a granica będzie jak przed wojną. Mówił, że parę dni wcześniej Słowacy wezwali na rozmowy do Trsteny starostę z Nowego Targu. On też pojechał w obstawie, jako człowiek obeznany z lokalnymi stosunkami. Po drodze ojciec spotkał znajomych wracających z Jabłonki do Piekelnika. Wywiedził się od nich, że Jabłonce koło remizy już na nich czeka tłum manifestantów, żeby protestować przeciwko Polsce. Objechać tego zgromadzenia nie było jak, więc siedli przy drodze i poczekali dwie godziny. Faktycznie, przeczekali aż się manifestacja rozeszła z niecierpliwości. W urzędzie w Trstanie w czeskiej delegacji spotkał ... wujka Jano. Wymienili tylko ukradkowe spojrzenia. Wujek nie krył swojej wściekłości, że oddają orawskie wioski. Pewien major z Bratysławy, reprezentujący słowacką Radę Narodową z Bratysławy, powiedział coś o chęci pogłębiania przyjaznych stosunków i podpisano protokół o ustanowieniu starych granic.

- O dupę rozbić takie papiery, dopóki nie nadejdą polskie oddziały. Nikt nas tu, kurwa, słabych nie będzie szanował – opowiadał podekscytowany tata swojej ukochanej Neli, kiedy już się najedli siebie do syta. Ledwie wojsko przyjdzie, bierzemy ślub w kościele w Orawce. A co!

Miała Nela Oskwarek szczególne powody, żeby czekać na powrót Polski i Franka. Czekanie przeciągnęło się przez cały czerwiec i w Chyżnem już otwarcie zaczęto mówić, że mimo wszystko Orawa zostanie przy Czechosłowacji. Tata nie pojawiał się dłuższy czas. W pewne lipcowe już popołudnie, gdy słońce chowało się nad Babią Górą, a chłopci z Chyżnego dopijali piwo w karczmie, przez wieś przemknęła wiadomość, powodując ogólne podniecenie. Kobiety od Michalaków były odcięte od słowackich wiadomości, ale widząc, że coś się dzieje, ciotka Weronika pomknęła do dziadka Stefana. Dowiedziała się tyle, że w Jabłonce była jakaś poważniejsza strzelanina. Polska milicja przyjechała od Spytkowic, z północy, zaskoczyła hlinkowców, postrzelała trochę na wiwat, a kiedy ostatni nawiał, zajęli ich posterunek. W związku z tym Słowacy zwołują wszystkie swoje siły milicyjne na jutro rano, żeby uderzyć na główny polski posterunek w Podwilku.

- Gdzie pójdziecie? Pod kule? Jakie macie gwarancje, że Franek tam jest? – zapytała trzeźwo babka Marysia gdy jej dwie dziewczyny oznajmiły następnego ranka, że idą do Podwilka. One wiedziały, że Franek tam jest. Babka też wiedziała, ale musiała zabraniać. Poszły mimo tego, mimo widocznej już ciąży Neli ciągle jeszcze Oskwarek, a nie Michalak. Doszły do Jabłonki, bardzo wzburzonej, że wielka bitwa trwa już w Podwilku. W Orawce ludzie mówili, żeby nawet nie próbowały się pchać, bo tam strzelają. W Psiarni, na samym dole Podwilka, stanęły. Dwa kilometry w górę słysząc było odgłosy bitwy. Serca im targał strach o Franka. Mama już się widziała nieformalną wdową z pogrobowcem na rękę i tęsknotą do swojego chłopca.

Polska placówka mieściła się przy starej szkole, nieopodal kościoła. Zaraz po świcie na 40 naszych milicjantów naszło ze 200 Słowaków. Dowodzący posterunkiem porucznik wycofał oddział do kościoła i kazał obsadzić pozycje na kościelnej wieży. Słowacy wyciągnęli broń maszynową, przez kilka godzin tłukli do siebie, aż Polakom zabrakło amunicji. Wyszli pod białymi flagami. Policzone zabitych za kościołem, trzech Polaków i jeden Słowak. Komendant jeszcze żył, choć był ciężko ranny, jęczał i prosił o pomoc. Baba ze wsi chwyciła drewnianą kijankę, deskę jasioniową do prania bielizny w potoku, i zatłukła go tą kijanką na śmierć. Innym Słowacy kazali zdejmować buty i pod eskortą poprowadzili ich przez wieś. Weronika i Nela stały za płotem jakiegoś dobrego gospodarza, płakały i wypatrywały Franka. Jedni we wsi patrzyli, inni przeklinali i rzucali kamienie w bosonogich Polaków. Franka wśród nich nie było. Weronka pognęła zobaczyć na wozy, gdzie wieźli trupy z bitwy. Franka nie było. Kiedy kolumna ruszyła drogą na Zubrzycę, one we dwie pobiegły do Jabłonki. Wpadły na posterunek sowiecki i wymogły na kamandirze, żeby uwolnił polskich jeńców prowadzonych gdzieś na południe. Sowieci na koniach dopadli jeńców już w Lipnicy Małej. Kazali puścić Polaków. Eskortowali ich jeszcze do Jabłonki. Okrwawieni, ranni, dowlekli się na noc do Czarnego Dunajca.

Tata był na wieży kościelnej w Podwilku, widząc przewagę przeciwników postanowił uciekać na własną rękę. Przeszedł po sklepieniu kościelnym do tyłu, zeskoczył szczęśliwie za zakrystią. Przelazł przez małe, wysoko posadowione okienko w ścianie. Wypatrzył dziurę w pozycjach między grupą zbrojnych z Zubrzycy i Harkabuza. Przemknął się. Strzelali do niego, ale nie trafili.

Dokładnie dwa tygodnie później, 18 lipca polskie, regularne wojsko zajęło Orawę do przedwojennych granic. Podobno po bitwie w Podwilku ksiądz Ferdynand Machay, prezbiter kościoła Mariackiego w Krakowie, pojechał osobiście do prezydenta Bolesława Bieruta z prośbą, żeby wojsko uspokoiło sytuację na Orawie. Bierut przysłał na uspokojenie dywizję generała Popławskiego. Przyjechał też ten skurwysyn Smolina, ale poznać się dał dopiero potem. Wszystkie drogi były wtedy załadowane uciekinierami z Orawy. Wyjeżdżali na Słowację w strachu, że ich Polacy wymordują. Rozeszły się pogłoski, że idą jeszcze leśne oddziały wypędzać słowackich faszystów z Polski siłą. Sąsiedzi w Chyżnem puste i otwarte domy zostawiali i uciekali w popłochu. Czasem nawet nie dojezdzone chleb leżał na stołach. Miesiąc później ojciec w mundurze polskiego milicjanta, a mama w sukience uszytej ze spadochronu, wzięli ślub w kościele w Orawce. Dawał im go ksiądz Pius Jabłoński, który w czerwcu sam ledwie uniknął linczu ze strony prośłowackich bab w swojej własnej parafii. Ślub był bardzo cichy i skromny z powodu śmierci pradziadka Stefana. Pewnie gdyby nie zaawansowana już ciąża mamy, zapowiadająca moje przyjście na świat, nie byłoby i ślubu. A tak tylko obeszło się bez wesela. – Co to za ślub bez wesela – komentowali to krewni i sąsiedzi.

Pradziadek Stefan w lipcowy poranek stanął przed gankiem swojego domu. Popatrzył w górę, bo dom zbudował na lekkim pagórku. Poglądał dwie kolumnienki, na których wspierał się dach nad gankiem. Wylazł wąskimi schodami na stryszek, gdzie się kiedyś ukrywał Żyd Mano. Poszedł do sadu za domem. Dotknął jasionów, które sadił tu jako młody gazda. Zajrzał do obejścia. Przysiadł na chwilę na deskach wychodka przy oborze, spojrzał na podarte w kwadraty kartki „Tatrzańskiego Słowaka”, równo poukładane i nabite na gwóźdź w ścianie. A potem wspiął się na wóz, gdzie włożył kilka rzeczy z mieszkania. Odkąd trzy lata wcześniej umarła prababka Hermina, dziadek zupełnie pogubił się w przedmiotach. Ale do kilku był ciągle mocno przyzwyczajony. Na wóz włożył parę jelenich rogów, swoich własnych trofeów myśliwskich. Mimo 80 lat jeszcze niedawno chodził na polowania, zachował sprawność fizyczną i jasny umysł. Zabrał mocny, dębowy stół ze swojego pokoju i

zydel, na którym lubił przysiąść w kuchni. Obraz olejny, na którym jakiś wędrowny, jarmarczny malarzyna wyobraził sobie nowożeńców – Stefana i Herminę Zbelów z Chyżnego.

- Patrzenie, jak niewiele po człowieku zostaje – powiedział do zgromadzonych przed domem. Babcia Marysia płakała. Michał Zbela, najstarszy syn Stefana, który przejął po nim gospodarstwo, przyciskał do ramienia swoją żonę Emilię. Jaśka, która wyrosła na ładną dziewczynę, stała pomiędzy nimi, a matką. Jakby się bała w tej chwili pokazać którejś ze stron większe przywiązanie. Matce, czy przybranym rodzicom? Sama też cicho roniła łzy. Przy niej dziadek Stefan przystanął najdłużej. Przycisnął ją mocno.

- Dobra z ciebie dziewczyna. Nie wydaj się byle komu. I nie przejmuj się tym wariactwem, jakie teraz się dzieje na Orawie. Czasy się jeszcze wyprostują, ludzi zapomną o wszystkich krzywdach – mówił do niej.

Dziadek postanowił uciekać przed Polakami.

- We wsi wiedzą, że jestem Słowak. Syna mam w sądzie w Trstenie, mam do kogo iść na ostatnie dni. Jak zostanę, to będą mi mieli co wypominać, choćby, że byłem w partii ludackiej albo że jeździłem na polowania z Niemcami. Może i nic mi nie zrobią, ale nie zdzierzę, że się ktoś na mnie krzywo patrzy, skoro we mnie żadnej winy nie ma. Jadę! – powiedział dwa dni wcześniej na naradzie rodzinnej.

Jechał przez Chyżne, a ci, którzy pozostali, uchylali mu czapek na pożegnanie. Wstawał gorący lipcowy dzień, upał przygnał z południa chłodniejszy wietrzyk. Dziadek spociał się na wozie, potem go wietrzyk wysmagał. Wieczorem, kiedy kładł się spać w nowym pokoju w domu wujka Jaśka, prokuratora w sądzie w Trstenie, już zakaszał trzy razy. Następnego dnia obudził się z gorączką. Wołali do niego lekarza, bańki stawiał. Na trzeci dzień w nowym domu dziadek majaczył z gorączki, a potem zapadł w spokojny sen. Chciał Jaśko posłać po rodzeństwo do Chyżnego, bo bał się, czy jeszcze ich ojciec zobaczy. Ale polskie wojsko akurat zajmowało granice, zamknęli wszystkie przejścia, zakorkowali pochód uciekinierów. Nie dało się nawet wieści posłać do Chyżnego. Siedział więc wujek Jaśko sam, na zmianę z żoną, przy spokojnie śpiącym ojcu. Zdrzemnął się w środku nocy, a potem nagle obudził się, czy aby się coś nie dzieje. Nic się nie działo. Stefan Zbela, hruby gazda z Chyżnego, Słowak, który kiedyś trzymał z Węgrami, a potem z księdzem Hlinką, nawet już nie oddychał.

Mógłbym tak długo opowiadać. O moich ciotkach. Jance, która wyszła szczęśliwie za mąż, narodziła mi całą zgraję kuzynów i kuzynek. Bawiłem się z nimi w sadzie i starym domu pradziadka Stefana. Dopiero w ostatnim roku paskudnie przebudowała go dla swoich dzieci jedna z moich kuzynek. Więc już nie ma zagrazonego strychu, na którym mój tata Franek po powrocie ze słowackiego powstania rozmawiał z Mano Steinem. O ciotce Weronce, która na odwrót – nie wyszła za mąż. Bo czekała na Szymona Wencla. A mój tata Franek nigdy jej się nie przyznał, że widział Szymona umierającego w rowie na ulicy Waksmundzkiej w Nowym Targu. Moja mama Nela wiedziała o tym od taty, ale też nigdy nie powiedziała Weronce, z którą bardzo się przyjaźniły. W życiu nie widziałem takiej ładnej kobiecej przyjaźni. Ciotka została nauczycielką. Dojeżdżała do liceum w Jabłonce uczyć historii. Miała odwagę mówić o prawdziwej historii, ale miała też dyrektora, który potrafił ją osłonić przed gniewem miejscowych aparatczyków. Długo mógłbym mówić o mojej ukochanej mamie Neli. Jej rude, kręcone włosy zaczęły siwieć dopiero kiedy skończyła 50 lat. Figurę gimnazjalistki zachowała jeszcze dłużej. Ona pokazała mi góry. Jej zawdzięczam smak ciszy w Tatrach, potu na Babiej Górze. Wycieczki śladami partyzanckich obozów w Gorcach. Mama miała co najmniej dwóch poważnych adoratorów, o których wiem, a być może nie wiem o wszystkich. Wiem od ciotki Weronki, że przynajmniej do jednego szczerze ją ciotka namawiała. Duma, a może raczej dumna miłość do mojego ojca, nigdy jej nie pozwoliła nawet dopuścić takiej myśli do siebie. Bo kiedy ojciec zginął, mama została na długie lata żoną bandyty, leśnego

wroga ustroju. Jak jej dokuczali, to znów temat na osobną historię. A nam przecież czas kończyć.

One wszystkie i babcia Marysia były dla mnie przewodniczkami po historii mojej, moich rodziców, dziadków. Najpierw prowadziły mnie za rękę po swoich wspomnieniach jak po obcym lesie. Kiedy już przyzwyczałem się do tych wędrówek, podrosłem, zacząłem swoimi pytaniami sam sprowadzać je na kolejne ścieżki, w nieznana gęstwinę. Z początku nie wszędzie chciały mnie wpuścić, nie do wszystkich wspomnień miałem dostęp. Ale nauczyłem się cierpliwego czekania na odpowiedni moment. Cierpliwy myśliwy zawsze doczeka się zwierzyny. A czego nigdy nie udało mi się usłyszeć z ich ust, doszukać we wspomnieniach innych ludzi, to dobudowałem w swojej wyobraźni.

Ktoś kiedyś porównał grzebanie w dziejach do układanki. Wielkiej całości, komponowanej z małych fragmentów czy klocków. Poznawanie mojej historii było raczej jak zapuszczanie się we wspomnienia najbliższych. Podkradanie im tych wspomnień, żeby stawały się obrazami w mojej głowie. Tło, Orawa, było zawsze to samo.

Więc kończę zapisywać te obrazy. Niech i moje dzieci popatrzą jak się Wendelin Michalak żegnał z synem Frankiem na drodze w Jabłonce. Jak się Franek Michalak kochał z Nelą pod otwartym piecem kuchennym. Jak Stefan Zbela żegnał się ze swoim domem. Jak pachniały mokre deski w podłodze w sklepie Mano Steina. Albo jak smakowało pierwsze piwo u Szymona Wencla w Trestenie. Niech poczują zakurzoną drogę do Jabłonki w towarzystwie księdza Ferdo Machaya. To wszystko ma swój smak.

## Rozdział VIII

*Jak zginął Franek Michalak. Jak zginął Szymon Wencel. Jak zginęło wielu ludzi na wojnie domowej.*

Ostrowskiem nagle wstrząsnęła strzelanina. Wojsko strzelało ciągłym ogniem z ciężkich i ręcznych karabinów, wybuchały granaty, paliła się chałupa Zagatów, w zadymionej stajni ryczały krowy i owce. Zaskoczeni w obejściu Ogniowi ludzie rozbiegli się po kątach, gdzie każdy mógł, chowali się, wciskali w każdy zakamarek drewnianej, wiejskiej zabudowy, pełnej szopek, miedzuch, stodół. Ogień uciekł w stronę zabudowań przy głównej drodze. Ledwie się włókł na swoich kulawych nogach. We trzech z Zimnym i Krukiem chcieli za nim skoczyć, ale już w wolne pole wszedł z obstrzałem jakiś strzelec. Prysnęli w drugą stronę, ku drodze na Gronków. Czaili się po kilkanaście minut, czekali, ale dobrze znali rozwój wydarzeń w takich obławach. Żołnierze zaraz się pogubią, stracą z oczu obleganych. Będzie się można schować gdzieś pod deskami, wleźć w hałdę śniegu, albo do starej piwniczki.

Po dwóch godzinach dotarli do murowanego kościółka w Ostrowsku, na wzgórku nad wsią, przy drodze do Gronkowa. Legli we trzech przy ścianie. Franek Michalak, Zimny – Staszek Srał i Kruk, Kazek Kuraś, bratanek Ognia. Dalej już tylko szczere, zaśnieżone pola i dobre dwa kilometry do pierwszych zabudowań Gronkowa. Trzeba poczekać, w razie czego w kościele też się można bronić. W dole, we wsi ciągle trwała strzelanina. Już nie taka ciągła, raczej pojedyncze wystrzały. Kto się jeszcze broni? Stary? Może Powicher, albo Staszek Ludzia? W mroźny lutowy dzień 1947 roku słońce zapadało nisko na Tatrami. Drogą od wsi nadjechał chłop z gnatkami, sankami pełnymi gnoju wykidanego ze stodoły. Odwrócił głowę w ich stronę, zobaczył jak dyszą, ściskając karabiny.

- Ognia już mają! – zawołał nawet nie zdejmując nóg z płóz sanek – Siedział na strychu u starego Pacha. Posłali tam kogoś ze wsi do niego. Strzelił sobie w głowę, ale jeszcze żył, jak go brali. Koniec z wami, chłopcy. Poddajecie się, jutro amnestia. Na miłość Boga, dość już tego strzelania.

Staszek i Kazek zrobili to prawie zaraz. Chyba żadna ich decyzja nie była tak przemyślana wcześniej. Od tygodni wszyscy w obozie darli się z myślami, czy to ma jeszcze sens, jak to przerwać, skończyć, dokąd ich doprowadzi nieugięta walka. Przed pluton egzekucyjny? A może do Anglii, do wolnego świata? Od wigilii w obozie w Kamienickich Lasach wiedzieli od starego, że trzecia wojna już nie wybuchnie. Że nikt nie przyjdzie im z pomocą, nie będą żadnym tylnym frontem dla Amerykanów. Zostaje tylko ślepy upór, albo zdrada. Bo stary, Ogień, z powagą powtarzał, że będzie walczył do ostatniego pocisku.

Więc kiedy Ogień ten ostatni pocisk skierował w swoją głowę, dla Zimnego i Kruka to było jak rozkaz. Zawsze byli jego cieniem. Zawsze wpatrywali się w jego oczy i czytali jego myśli. Zgodnie z jego wolą nieśli śmierć dla innych. Teraz trzeba przynieść śmierć sobie.

Dwa strzały, jeden po drugim na pewno były słyszane we wsi. Czteryście metrów. Ile czasu trzeba, żeby przebiec ten dystans po śniegu, w płaszczu, z karabinem w rękę? Frankowi Michalakowi zostało może pięć minut na decyzję. Na obejrzenie swojego całego życia.

Zwłoki zabitych w Wielką Sobotę 1946 roku na Waksmundzkiej w Nowym Targu przywieziono do domu fryzjera na Długiej, tam była przed wojną żydowska świetlica. Ubecy zanieśli je tam i zawołali pana Rozłuckiego, który był fotografem, żeby ich wszystkich sfotografował. Z więzienia na Jana Kazimierza przyprowadzili też gestapowca Mazurkiewicza, żeby trupy pomagał przenosić. Fotograf nie mógł zrobić zdjęcia en face

jednej kobiecie. I Mazurkiewicz okazał się bardzo przydatny. Wbił gwóźdź w drewnianą podłogę, okręcił włosy dziewczyny na gwoździu i umocował ciągle spadającą na bok głowę. Ot, gestapowska pomysłowość.

Mazurkiewicz przyjechał przed wojną z Bielska Białej do Zakopanego i założył zakład kowalski. We wrześniu 1939 roku, kiedy Niemcy zajęli Zakopane, zmienił imię z Bronisław na Bruno i zatrudnił się jako tłumacz na Gestapo. Szybko był już funkcjonariuszem. Był znany ze swojego okrucieństwa, pies gończy Trzeciej Rzeszy na Podhalu, oddany i wierny w walce z podziemiem. Wyciskał z ludzi wiadomości jak sok z cytryny, dusząc ich przy tym i miażdżąc. Kiedy przeszedł front w 1945, on został. Nie uciekł jak np. kilku wysokich funkcjonariuszy goralenvolku. Zaraz go zamknęła milicja, ale żył. Siedział w więzieniu i opowiadał UB, NKWD wszystko, co wie o podziemiu. Bo okupant się zmienił, ale podziemie zostało, a wiedza jest zawsze bardzo cenna.

Więc kiedy 24 marca 1946 roku Ogień spotkał się w słonecznych promieniach wiosennego słońca, wśród krokusów na polanie gorczańskiej nad Kowańcem z porucznikiem Czyżem Władysławem z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, kiedy porucznik Czyż Władysław postawił mu ultimatum: Ma wyjść z lasu i złożyć broń; Ogień mu odpowiedział: W lesie na razie zostaję, broni nie złożę. Co do zaprzestania mordów i rabunków, to po pierwsze nie przyznaję się. Dokonują tego inne bandy, podszywając się pod moją firmę. Moimi zaś warunkami jest – usunięcie z powiatu wszystkich wojsk KBW, wszystkich pracowników UB w cywilu. Zwolnienie moich ludzi z aresztów i usunięcie wszystkich Żydów z Nowego Targu. W przeciwnym razie będę tępił bezlitośnie. I domagam się, żeby przesłuchać gestapowca Mazurkiewicza, jest w Nowym Targu. I konfidenta Kamińskiego – fryzjera. I aresztować konfidenta Pawlikowskiego, ten coś wie o napadzie na pocztę 3 marca. Jak będą aresztowania, to dojdziemy do następnych porozumień. I niech żołnierze KBW nie robią rabunków w czasie rewizji domowych. A porucznikowi Langerowi z UB powiedzcie, że żywy nie ujdzie, jak go dopadnę.

Franek Michalak odprowadzał wtedy porucznika Czyżę Władysława do drogi na Kowańcu. Do Wandy, która czekała na niego przy bryczce.

Yanek Langer pisał po wojnie wspomnienia nowotarskich Żydów, wydane w Izraelu przez Ziomkostwo z Podhala. Łączywie szukałem, czy porucznik Langer to ten sam, czy napisze we wspomnieniach jakiś ślad wydarzeń, wytłumaczenie, czemu Ogień go tak znienawidził. Rozczarowałem się. Zamiast tego co ważne, Yanek Langer opisał lato 1936 roku, kiedy nad Dunajcem rozbili obóz skauci z Poznania, straszni antysemita. Żydowska młodzież z Nowego Targu wydała im wojnę, do pojedynku dwóch najsilniejszych doszło nad rzeką o godzinie 5 rano w pobliżu mostów. Pisał Langer w Izraelu: walczył Polak i nasz, Marcel Wulkan, ale Polak wyciągnął nóż i stała się ogólna bijatyka, po której przepędzono skautów. Sędzia Borowicz uznał ich za zwycięzców, a skautów ostrzegł, że władze zlikwidują im obóz, jak jeszcze raz zaatakują Żydów.

No więc wtedy, w Wielką Sobotę 20 kwietnia 1946 roku, na Waksmundzkiej w Nowym Targu, to mimo wszystko był przypadek. Myśleli pewnie, że w Wielką Sobotę po południu nikt ich na drodze nie zatrzyma. Chcieli się przez granicę dostać na Słowację, Węgry, nad Adriatyk i statkami do Palestyny. Walczyć, choćby terrorem z Anglikami o wolny Izrael, jak wielu innych młodych Żydów z Polski, ocalonych z zagłady. Żeby wreszcie mieć swoje państwo.

Skąd mogli przewidzieć, że to jest dzień triumfu Ognia w Nowym Targu? Że trzy dni przed swoim weselem robi generalną próbę gotowości swojego wojska? Czy mieli aż tak dobre wiadomości z UB? Tego dnia Ognioowcy zajęli wszystko, Rynek, siedzibę UB, całe miasto. Od Rynku Waksmundzką jechały dwa samochody. Jeden to była Tatra Piszczka ze

Szczawnicy, tylko on oprócz Węglarza miał samochód do wynajęcia. Tam, gdzie wówczas kończyły się domy, trafili na czujkę od Ognia. Jeden partyzant położył się na ziemi z karabinem maszynowym, a drugi wystawił rękę, żeby zatrzymać auto. Ktoś z samochodu wyskoczył na hałdę tłuczonych kamieni. Strzelał z pistoletu, potem słychać było inne strzały. Włączył się karabin maszynowy i wtedy ci z auta wyszli posłusznie z podniesionymi rękami. Wszystko ucichło. Partyzanci kazali samochodom odjechać, a tych kilka osób, Żydów, zastrzelili. Czterech Żydów na tej kupie kamieni, a Żydówkę po drugiej stronie, w rowie. Zostawili ciała i odeszli. Ludzie się zaraz zaczęli gromadzić, ale nikt nic nie kradł. Tylko w nocy kręcił się tam żebrak, taki pomyłony, który nie wiadomo skąd się wziął w Nowym Targu. Chodził potem w poplamionym, krwawym prochowcu.

Ta od włosów, które tak zręcznie Mazurkiewicz przytwierdził do gwoździa, ta zabita po drugiej stronie jezdni, to Ruta Joachimsman, nauczycielka. Ci na kupie kamieni to Ludwik Hertz, Leon Lindenberger, nowotarzanin z Rynku, Beniamin Russo i nikt inny jak Szymon Wencel z Trsteny. Dozgonny ukochany ciotki Weroniki Michalak z Chyżnego. Jej rodzony brat Franek, w mundurze Wojska Polskiego w formacji majora Kurasia stał nad tą kupą kamieni na ulicy Waksmundzkiej, gdzie się wówczas kończyły domy, patrzył na trupa Szymona Wencla i przypominał sobie, jak on mu kiedyś stawiał zimne piwo w swojej, ale już nie swojej karczmie w Trstenie.

Te martwe, ludzkie oczy. Całkiem podobne do oczu świń, zarżniętych przez rzeźnika z Jabłonki na przedświątecznym świniobiciu. Franek Michalak karmił te świny, patrzył jak rosną, a one rosły tylko po to, żeby spotkać przed świętami rzeźnika z Jabłonki i poczuć, jak je pałąk wali po głowie. Wykonywał na nich wyrok, choć one swojej winy nie znały. Ogień też, wziął na siebie jarzmo wykonywania wyroków.

Trupów było tyle, że dyrektor szpitala w Nowym Targu skarżył się staroście, że on już sobie rady nie daje w gorące lato 1946 roku. Do kostnicy naszego szpitala stale są przywożone zwłoki zastrzelonych osób – pisał dyrektor do starosty - Przywożą je wojskowi. I tak dla przykładu od 13 do 18 sierpnia 1946 roku leżały w kostnicy zwłoki mężczyzny z zupełnym już rozkładzie i znikąd nie można było dostać pozwolenia na pochowanie tychże. Wystąpiliśmy oficjalnie o zgodę do MO, WP, KBW, UBP i nic. Żadnej odpowiedzi. Nowe zwłoki przywieziono 21 sierpnia i nie wiem nawet do kogo wystąpić o zgodę na pochowanie. Zwłoki te do tej pory leżą w kostnicy i ulegają rozkładowi. Grożą niebezpieczeństwem utraty życia na skutek zakażenia się dla osób obsługujących naszą kostnicę. Szanowny panie starosto, proszę o rozporządzenie jak postępować w takich przypadkach.

W środku domowej wojny dyrektor szpitala przestał sobie radzić z problemami.

Ogniowi ludzie trupy zabitych zostawiali w lesie, przykrywali gałęziami czy darnią. Potem je szli szukać ludzie ze wsi. Słowacy z Nowej Białej poszli w lasy nad Łopuszną, szukać swoich trupów i przenieśli je potem na cmentarz do wsi. I gajowego Mikołaja też znaleźli w lesie na Waksmundzkich Górach z roztrzaskaną głową. Powiadają, że to złodzieje drewna, a może to i Ogień. W jego oczy też spoglądał Franek Michalak. Jakże inaczej, przecież w zimie przed frontem schodził do jego gajówki zagrzezać się, po marszu mroźną doliną potoku. Łatwo tak mówić – trup. Każdy z nich miał swoje nazwisko, urodził się, więc miał ojca i matkę, braci, swoją babę i swoje dzieci. Swoje sprawy i problemy. Ogień o nich wszystkich coś wiedział. Coś złego. Donosili Ogniowi na nich, przysięgali, że prawdę opowiadają, ale któż to wie poza Bogiem. Zimny z Krukiem patrzyli wtedy na starego, a on czasem powiadał: Odprowadźcie go chłopcy na bok.

Straszna jest ta wiedza, ten gąszcz szczegółów, związki ludzi, niespodziewane zupełnie zwroty akcji, kiedy ktoś dobry, okazuje się zły. Kiedy już nie wiesz, jakie kim kierują intencje, kto wśród własnych zabija i mści się, a kto wykonuje rozkazy. Kto zdradza. A kto musi zginąć, żeby wszystkich obronić przed zdradą.

Czas ją zasypuje coraz bardziej, tę wiedzę tajemną, najbardziej skrywaną. A przecież wciąż ktoś chce wygrzebać stare trupy spod kurzu zapomnienia.

Ja też grzebałem, szukałem swojego ojca i ostatniego roku jego życia. Musiałem wiedzieć, czy umarł taki sam, jak go zapamiętała moja mama. Czy bardzo się zmienił, patrząc w oczy śmierci na każdym kroku. Czy zabijał? Czy zabijał niewinnych? Co myślał wtedy – przez te pięć minut pod ścianą kościoła w Ostrowsku?

Kiedy przyszedł ostatni raz do mamy, do swojej Neli w Chyżnem w listopadzie 1946 roku, bo akurat był w Starej Robocie w obozie Powichra i pomyślał, że z Tatr Zachodnich na Orawę niedaleko, pytała go mama - czy zabijasz? Leżeli obok siebie, noc była, przed świtem już musiał wychodzić. Roczny synek z jasną czuprynką włosów spał spokojnie. Opowiedział wtedy mamie, jak go stary posłał kiedyś samego na wywiady do Białego Dunajca. We wsi akurat odprowadzały się misje – rekolekcje przed Wielkanocą. Poszedł do spowiedzi, powiedział swoje. Nadmienił, że jest partyzantem od Ognia i że potrzebuje rad, szczególnie jeśli chodzi o piąte przykazanie: Nie zabijaj. Bo rozkaz przecież musi być wykonany. Misjonarz zrobił z tego długą rozmowę, wszystko się wypytywał i cieszył się, że są jeszcze tacy, co walczą przeciwko komunistom. Bo skoro komuniści walczą z Bogiem i niszczą wiarę, to likwidowanie ich w oczach Boga nie powinno być grzechem, a raczej zasługą. Więc on mamie nie powiedział, czy zabija, tylko opowiedział o księdzu w konfesjonale, który mu wybaczył w imieniu Chrystusa.

Mama czy ciotki niewiele mi mogły zdradzić, co się działo z tatą przez rok od mojego urodzenia do jego śmierci. Kiedy dorosłem, sam zacząłem szukać tych wiadomości. Musiałem czekać 35 lat, zanim ktoś zdecydował mi się opowiedzieć choć cokolwiek. Bez ojca, bez kogoś wprowadzającego, nie byłem przecież dla nich „swoim”. Jediną przepustką do ich tajemnic było podobieństwo fizyczne do niego. A Ogniovi niechętnie dzielili się wspomnieniami. Rozmawiali tylko między sobą, w głębokiej konspiracji. Ustalali między sobą wersję wydarzeń, opowiadali kto w czym uczestniczył, czego dowiedział się potem i tak dochodzili powoli do swojej prawdy. Tej najbardziej skrywanej, o tym kto zdradził, kto zabił, kto nie wykonał rozkazu. Wszyscy partyzanci mieli między sobą domorosłych historyków, którzy już pod koniec życia spisywali tamte wydarzenia. Jak Apostołowie, w konspiracji, żeby cesarska władza nie dowiedziała się o ich poczynaniach.

Niewysoki mężczyzna razem z moim ojcem uciekł z UB do Ognia. Poszedłem do niego dowiedzieć się, komu właściwie służył Franek Michałak – Ogniovi, czy Bezpiece. Jako swoją przepustkę niosłem legitymacyjne zdjęcie taty z pieczęcią Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu. Było lato, pełna zieleń kryła zabudowania, ukryte z boku od drogi, od strumienia. Szło się do niego mijając stare, przedwojenne wille dla turystów. W domu bulgotało powietrze w akwarium.

- Franek nigdy nie był naprawdę w UB, tylko czekał na właściwą chwilę, na rozkaz, żeby się ujawnić – opowiadał niewysoki człowiek – Ja to co innego, sam poszedłem do UB szukać przygód. Mieliśmy szefa sierżanta kościuszkowca, który lubił popić i wtedy gadał na Rusków, na komunizm, z takim akcentem, bo był spod Wilna - ta joj, ta wy poznacie przymierzeńców. Widocznie nie mieli kogo dać na dowódcę. Koło naszego posterunku w Rabce była szkoła żeńska pielęgniarek, przechodziły dziewczyny po 17 - 18 lat. Idąc pluły nam pod nogi. Nie



mogłem sobie skojarzyć, czemu one tak pluja pod nogi. Kiedyś przy piwie zacząłem rozmawiać z twoim ojcem o tym pluciu. Sam widzisz, jak nas lubią – odpowiedział. I wtedy oświeciło mnie: gdzie ja wlaż, jaka mnie tu czeka sympatia i szacunek! A myślałem, że jak wezmę karabin, to będą mnie podziwiać...

W grudniu 1945 roku Kościuszkowiec pojechał gdzieś w Polskę, na jego miejsce komendanta UB w Rabce przyszedł młody 25-letni ideowiec, po partyjnym przeszkoleniu. Krótko trzymał swoich 14 ludzi. Krótko, bo był zaledwie tydzień. W niedzielę miała do niego przyjechać żona z dzieckiem, w odwiedziny. Wcześniej przyszedł od Ognia rozkaz: Teraz.

Dogadaliśmy się, w jednym czasie twój ojciec stał przy bramie, a ja przy telefonie na dyżurce. Zemsta i Wierny podjechali saniami pod same okno. Mielśmy rozkaz, żeby komendanta obezwładnić, związać i zostawić żywego. Twój ojciec poszedł z Zemstą na piętro, gdzie mieszkał ten partyjniak. Ten wyszedł wcześniej na korytarz, w jednej ręce trzymał zapaloną świeczkę, a w drugiej pistolet. Pyta, dlaczego się go budzi. Więc twój ojciec na to, że przyjechał baon operacyjny z Krakowa. Chcieli go obezwładnić, ale rzucił się na nich. Franek musiał go kropnąć ...

W sierpniu 1945 roku wracali bryczką ze ślubu w Orawce, mama w białej sukni, tata w galowym mundurze milicjanta. Nela do niedawna Oskawarek, od niedawna Michalak szczerze myślała, że to koniec poniewierki. Rude kosmyki poprawiała pod wiankiem, kwiatami zasłaniała nabrzmiały brzuch, uśmiechała się prześlicznie do całego świata, bo to było jak szczęśliwy koniec smutnej powieści, kiedy tak szli, przez kościół od ołtarza.

Tata po tygodniu urlopu wrócił na komendę w Nowym Targu. Po dwóch miesiącach przenieśli go do UB w Rabce. Powiedzieli, że ma jeszcze trochę czasu, ale musi się zapisać do partii. Najpierw myślał, że żonę zabierze ze sobą do miasta. Już się cieszyła, że będzie mogła pracować, może zacznie studia nauczycielskie w Krakowie, ledwie się dziecko, czyli ja, podchowam trochę. Nagle tata zmienił zdanie. Przyjechał na niedzielę do Chyżnego i stwierdził, że lepiej w tych czasach siedzieć na wsi, więc niech mama zostanie z ciotką i babką. Nawet jeśli miejscowi Słowacy co tydzień ogłaszają powrót republiki czechosłowackiej na Górną Orawę, to i tak bardziej tu bezpieczniej.

- Ja już tkwię w środku tej wojny - opowiadał mamie w którąś następną niedzielę – Jeszcze mogę sobie wybrać, po której jestem stronie barykady. Szubrawców z UB już poznałem, ich metody wyłożone przez doradców z NKWD. Mogę zostać przy nich, jeśli zwyciężą, będziemy mieli dostanie życie wśród swoich. Jeśli nawet zginę, tobie jako wdowie nie dadzą żałować. Jeśli pójdę do Ognia, jeśli Ogień przegra, to przyjdzie gdzieś zdychać. Do was też mogą się przyczepić, bo ich stać na to.

Któregoś wieczoru ojciec wracał z komendy na kwaterę w Rabce. Dwaj nieznajomi podeszli, stanowczo zaprosili do knajpy na Nowym Świecie w Rabce. Posadzili przy stoliku, położyli piwo i wódkę. Dosiadł się Ogień.

- Nie wstawaj Swoku – rzekł mu jowialnie, pseudonimem, którego nie słyszał od dwóch lat. – Pamiętasz, na co przysięgałeś?

- Polskę. Niepodległą, demokratyczną – odpowiedział tata.

- A jaką budujesz? Komu pomagasz? Chcesz za marny grosz strzelać do swoich braci? Nie kazali ci się jeszcze zapisać do Płatnych Pachołków Rosji? Będiesz mordercą i katem z Bezpieki? Co ci będę gadał, zobacz dookoła co się dzieje. Tylko się nie oszukuj.

Nigdy się nie tłumaczył mamie dlaczego znów idzie do lasu. Wieczorem oznajmił jej swoją decyzję. Rano już go nie było w małżeńskim łóżku. W myślach musiał się jednak usprawiedliwiać przed nią. Kiedy tak siedział przez pięć minut pod ścianą kościółka w Ostrowsku, ostatnie swoje pięć minut, też musiał przemawiać do mamy, do swojej Neli, z

którą nie nagadał się nigdy za bardzo. W nadziei, że zimowy wiatr zanieśnie jego myśli do Chyżnego. A ona tylko poczuła ukłucie w serce, kiedy się tego dnia słońce pochylało nad Tatrami. Jego ostatnie: Kocham cię. Albo: Przepraszam. Żegnaj.

## Posłowie

Właściwie powinienem Wam podziękować. To Wasza historia, Wasza opowieść. Orawa Wasza i Podhale. Wasze góry, łąki, krajobraz, Wasi dziadkowie, ojcowie krążą po tych kartkach. Wysłuchałem tej opowieści od wielu ludzi, których tu po imieniu nie sposób wymienić, wygrzebałem w dokumentach, przeżyłem ją razem z Wami. Dziękuję Wam za to wzruszenie.

Zaś tym, którzy wcześniej nie smakowali orawskich i podhalańskich opowieści, powiem tyle — to wszystko jest prawda. Poskładałem ją tylko w jeden obraz.

# Spis Treści

<b>Rozdział I</b>	<b>2</b>
Jak i za czyją sprawą na świat przybył Franek Michalak.	
<b>Rozdział II</b>	<b>12</b>
Jak na świat przyszła Polska i Czechosłowacja i za czyją sprawą podzieliła się Orawa.	
<b>Rozdział III</b>	<b>23</b>
Jak Niemcy zabili Wendelina Michalaka, a Słowacy zabrali Orawę Polsce.	
<b>Rozdział IV</b>	<b>32</b>
Jak Franek zaplątał się w politykę.	
<b>Rozdział V</b>	<b>42</b>
Jak na świecie robi się coraz gorzej, ale dla Franka nie to jest najważniejsze.	
<b>Rozdział VI</b>	<b>50</b>
Jak Franek skrzesał iskrę i już trzeba się żegnać.	
<b>Rozdział VII</b>	<b>60</b>
Jak do głosu dochodzi prawnuk Stefana Zbeli, wnuk Wendelina Michalaka i syn Franka, czyli wszystko od nowa.	
<b>Rozdział VIII</b>	<b>68</b>
Jak zginął Franek Michalak. Jak zginął Szymon Wencel. Jak zginęło wielu ludzi na wojnie domowej.	
<b>Posłowie</b>	<b>73</b>